



**LUCAS**



# **UCIECZKA Z PIEKŁA**

**"PAMIĘTNIK SATANISTY"**

Tytuł oryginału - Vier Jahre Hölle und zurück

Przekład: Marta de Laurans



Copyright © 1995 by Gustav Lübke Verlag GmbH, Bergisch Gladbach  
Copyright © for the Polish edition by Agencja praw Autorskich i Wydawnictwo "Interart", Warszawa 1996  
Copyright © for the Polish translation by Maria de Laurans



## SPIS TREŚCI

WSTĘP.....	3
PRZEDMOWA .....	4
ROZDZIAŁ 1.....	7
ROZDZIAŁ 2.....	14
ROZDZIAŁ 3.....	20
ROZDZIAŁ 4.....	24
ROZDZIAŁ 5.....	31
ROZDZIAŁ 6.....	35
ROZDZIAŁ 7.....	38
ROZDZIAŁ 8.....	45
ROZDZIAŁ 9.....	50
ROZDZIAŁ 10a.....	57
ROZDZIAŁ 10b.....	59
ROZDZIAŁ 11.....	67
ROZDZIAŁ 12.....	73
ROZDZIAŁ 13.....	81
ROZDZIAŁ 14.....	89
ROZDZIAŁ 15.....	96
ROZDZIAŁ 16.....	102
ROZDZIAŁ 17.....	108
POSŁOWIE .....	110
OSTRZEŻENIE DLA MOICH BYŁYCH BRACI .....	113
ZAKOŃCZENIE.....	113



## WSTĘP

KOMENTARZ OD NONAME (

<http://noname.zum.pl/noname/content/ucieczka/index.php3?spis> )

Satanizm... Czym jest? Religią czy po prostu chęcią czynienia zła. Czy jest ktoś, kto potrafi odpowiedzieć na to pytanie? Czy ktoś z nas zetknął się z tą najbardziej podziemną, okrutną i chorą odmianą satanizmu? Raczej nie... Jest wielu, którzy określają się mianem satanistów. Mówią, że satanizm sam w sobie nie jest zły. Mówią, że wszyscy się mylą... Być może mają rację... Lecz istnieją także inni sataniści. Ludzie, którzy pod płaszczykiem tej wiary dają upust swym chorym pragnieniom i złym żądzom. W rzeczywistości satanizm u nich prowadzi do zadawania innemu człowiekowi bólu i zabijania niewinnych istot. Znajdują usprawiedliwienie dla swych czynów i chorej natury właśnie w kulcie Szatana...



Fot. Satanizm to kult Lucyfera

Przedstawiamy Wam książkę – „PAMIĘTNIK SATANISTY”. Człowieka, który wpadł w sidła sekty czcicieli Szatana. Ludzi złych, chorych, okrutnych, nie znających litości. Chcemy pokazać Wam dzieje młodego chłopaka Łukasza, który przez długi czas nie mogąc uciec przed satanistami, bojąc się o własne życie, pozwolił zmienić się w okrutnego potwora. Zmuszono go do okropnych rzeczy, zniszczył życie swoje i ludzi, na których najbardziej mu zależało. Pozwolił sterować swoimi czynami, wykonywał rozkazy ludzi, którzy chcieli wykorzenić w nim wszelkie uczucia; miłość, przyjaźń, współczucie... coś takiego nie mogło dla niego istnieć. Pozostawała mu tylko nienawiść, spustoszona psychika i ogromne poczucie winy spowodowane czynami, do których został przymuszony... Jednak zanim rozpoczniecie lekturę, chcielibyśmy o coś Was bardzo prosić. **Książka ta, ze względu na swoją tematykę nie powinna być czytana przez osoby młode, których psychika nie jest jeszcze w pełni ukształtowana.** Bardzo zależy nam na tym abyście nas w pełni zrozumieli i spełnili naszą usilną prośbę.

*Z poważaniem redakcja **NoName***

# PRZEDMOWA

## SATANIZM DZISIAJ

Mówi ksiądz Jürgen Hauskeller

**NIE WIERZĘ W ANI JEDNO SŁOWO NAPISANE W TEJ KSIĄŻCE. TAKI PROBLEM DZISIAJ NIE ISTNIEJE, A JUŻ NA PEWNO NIE W NIEMCZECH.**

Takie będą przypuszczalnie państwa wrażenia po przeczytaniu tej książki.

Przed dwoma laty zareagowałbym pewnie w ten sam sposób po podobnej lekturze. Wtedy to, w kwietniu 1993 roku, w moim mieście Sonderhausen, trzech licealistów zamordowało Sandro B. trzech sprawcy i krąg ich przyjaciół przez lata mieli poprzez filmy wideo, literaturę i muzykę kontakt z ideologią satanistyczną. Istnieje bowiem subkultura, która propaguje, przede wszystkim wśród młodzieży, idee satanizmu za pomocą obrazu, książek i taśm.

Podczas procesu przeciwko mordercom Sandro B. sędziowie stwierdzili, że wpływ satanizmu miał decydujące znaczenie dla zmiany osobowości sprawców i doprowadził w rezultacie do popełnienia tego przerażającego czynu. A i tak w Sonderhausen ujawnił się satanizm we wcześniejszym stadium rozwoju.

Nic nie przemawia za tym, że zamordowanie Sandro B. miało związek z obrzędem rytualnym, będącym częścią czarnej mszy. Popełniony czyn nie był, więc morderstwem rytualnym. Stwierdzeniu, że satanizm w Sonderhausen jest wynalazkiem mediów i prasy, jednoznacznie zaprzeczają fakty i dowody przedstawione podczas procesu w sali sądu w Mühlhausen. Wstrząsające było odkrycie, jak duże niebezpieczeństwo stanowi ideologia satanistyczna i do jakich nieszczęść może doprowadzić, nawet w tak nierozwiniętej postaci, ze słabą strukturą organizacyjną i naiwnie prowadzonymi rytuałami, ale za to z podłożem ideologicznym i silną osobą przywódcy.

Badania przeprowadzone jesienią 1994 roku przez Instytut Psychologii przy Uniwersytecie im. Fryderyka Schillera w Jenie wśród uczniów szkół średnich w Turyngii wykazały, że 35,5 procent młodzieży miało kontakt z praktykami okultystycznymi. Większość podawała, jako przykład: wrózenie z kart i ruchów wahadełka, wirowanie talerzyków. Do uczestnictwa w czarnych mszach przyznał się jeden procent młodzieży, co oznacza, że dwa tysiące uczniów w Turyngii zetknęło się z satanizmem. Wyniki tej ankiety pokrywają się z liczbami z Nadrenii Palatynatu, a więc sytuacja w innych krajach związkowych może być podobna. Nauczyciele i kuratorzy potwierdzają, że zjawisko

satanizmu jest przede wszystkim znane wśród uczniów szkół licealnych i zawodowych.

Powody są różne i nie można podać jednej przyczyny. Czar magii, siła złych mocy, ideologia zapewniająca przewagę, wymagająca hartu ducha i posługująca się przemocą jest nieprawdopodobnie ekscytująca, tajemnicza i bardzo przyciąga niektórych młodych ludzi.

W ciągu ostatnich dwóch lat zapoznałem się ze zjawiskiem satanizmu w jego całkiem jeszcze innej formie. Poznałem osobiście Łukasza, który dzieli się w tej książce swoimi przeżyciami. Bardzo mnie wówczas poruszyła jego historia. Już teraz wiem, że jest prawdziwa i nie stanowi wyjątku. Rozmawiałem również z Marlies, która zajęła się Łukaszem w czasie, kiedy opuścił grupę satanistyczną i która napisała postowie do tej książki. Łukasz nie był jedynym, który szukał u niej pomocy i rady. Marlies opiekuje się także innymi, którzy usiłują odejść bądź też odeszli już od satanizmu.

Specjaliści zajmujący się fenomenem satanizmu w Niemczech potwierdzili realność wspomnień spisanych w tej książce. Istnieje w Niemczech silne środowisko satanistów zorganizowane na wzór łóż, z powiązaniem międzynarodowymi. Podczas obrzędów popełniane są przestępstwa i dochodzi nawet do morderstw oraz składania w ofierze nowo narodzonych i nie narodzonych dzieci. Niezależnie od tego, czy można akceptować każdy szczegół zamieszczonej w tej książce relacji, cała działalność satanistów, z ich brutalnością i perwersją, odpowiada rzeczywistości. To środowisko nie jest już przystanią dla zabłąkanej młodzieży, lecz polem działania dorosłych z prawie wszystkich grup zawodowych i społecznych. Jest wielce prawdopodobne, że nowych członków rekrutuje się spośród młodzieży, która w okresie dojrzewania, poszukując wzorców życia, uległa ideologii satanistycznej.

Pytanie, które pojawia się po lekturze tej książki, brzmi: Jak to się dzieje, że dochodzi do takich rzeczy i nie ingeruje w nie państwo, policja i prawo? Przecież są popełniane przestępstwa, gwałcone kobiety i mordowani ludzie! To nie może ujść bezkarnie. Aparat ścigania powinien się tym poważnie zająć!

Jak wynika z doświadczenia, wykrycie sprawców w tym przypadku jest wyjątkowo bardzo trudne. W grupach satanistycznych obowiązuje ścisłe dotrzymywanie tajemnicy. Osobom chcącym odejść od grupy zagraża się dzisiaj śmiercią. Z tego powodu zmieniono w tej książce nazwy miejscowości i imiona postaci. Sądy, ścigając przestępstwa tego typu, wymagają rzetelnego materiału dowodowego, przedstawienia ofiar i świadków. Z tego powodu nie powiodły się do tej pory próby ukarania winnych. Przez kraje skandynawskie, a zwłaszcza Norwegię, przeszła w ostatnich latach fala satanizmu. Ginęli ludzie, ponad dwadzieścia kościołów zostało spalonych. Prawo było bezsilne.

Słowo "bezradność" najwierniej określa sytuację w Niemczech. Kiedy poszkodowany zgłasza się na policję i chce złożyć zeznania o działalności satanistów, zostaje z reguły odesłany, ponieważ nikt nie wierzy jego relacji. W najlepszym razie protokół łąduje w segregatorze. Nierzadkie jest zjawisko, że ludzie chcący złożyć zeznanie o przestępstwach popełnianych przez satanistów są wyśmiewani, ponieważ urzędnicy uznają ich opowieści za niewiarygodną bzdurę.

Wiedza społeczeństwa na temat satanizmu, jako ugrupowania okultystycznego prowadzącego działalność przestępczą, jest jeszcze bardzo mała. Przyczyną jest nieświadomość, obojętność i brak chęci do poznania wszystkich tych okropieństw. Pojedyncze wydarzenia pobudzają na krótko opinię publiczną, tak jak proces w Stanach Zjednoczonych przeciwko sataniście Charlesowi Mansonowi i jego zwolennikom. W 1969 roku zamordowali oni w bestialski sposób ciężarną aktorkę Sharon Tate Polański, jej czterech gości i małżeństwo z sąsiedztwa.

Przed paroma laty, z inicjatywy poszkodowanych i pod wpływem opinii publicznej, odbyła się w angielskiej Izbie Gmin debata na temat przestępstw i wykroczeń popełnianych przez grupy satanistyczne. W wyniku debaty powołano specjalną komisję przy Scotland Yardzie. Jak do tej pory jest to jedyny przypadek poruszenia tego społecznego i międzynarodowego problemu, w wyniku, którego podjęto decyzje polityczne.

Także politycy w Niemczech powinni poszukać rozwiązań, które pomogłyby ochronić obywateli przed zagrożeniem ze strony satanistów. Pierwszym krokiem jest zapoznanie aparatu policyjnego i sądowego z ideologią i praktykami grup satanistycznych w celu lepszego zrozumienia i poznania problemu. Przyczyniłoby się to również do zwrócenia większej uwagi na występowanie tego zjawiska. W ten sposób stworzono by podstawy zaufania, ośmielające poszkodowanych i chcących odejść od grupy satanistycznej do składania zeznań i wyrażenia zgody na ich protokołowanie.

Pocieszające jest, że istnieje sieć poradni, grupy założone z inicjatywy poszkodowanych i punkty informacji o sektach, które służą pomocą, radą, wsparciem oraz danymi na temat tego zjawiska. Dotknięci działalnością sekt i ich bliscy powinni zwrócić się do tego typu instytucji.

Przede wszystkim jednak zadaniem społeczeństwa jest rozpoznawanie i zwalczanie niebezpieczeństwa grożącego od strony satanizmu. Może to nastąpić dzięki dostatecznej informacji i uświadomieniu tego problemu. To zadanie należy głównie do szkół, organizacji młodzieżowych, kościoła i rodziców. Musi temu towarzyszyć ściganie sprawców, co leży już w gestii organów ustawodawczych, policji i sądownictwa.

Nie wierzę w ani jedno słowo z tej książki. Takie zjawisko nie istnieje, a już na pewno nie w Niemczech. Takie będą przypuszczalnie państwa wrażenia po przeczytaniu tej książki. Jest to jednak prawda. Nawet jeżeli nam nieznaną, niedostępną i tylko czasami przedostającą się do opinii publicznej. Nawet jeśli wydaje się nieprawdopodobna i niepojęta, treść tej książki jest częścią otaczającej nas rzeczywistości.

## **ROZDZIAŁ 1**

To znowu on, mężczyzna z nożem. Jakieś dziesięć, dwanaście metrów ode mnie. Stałem na wielkim placu, w tle którego widać było wysokie domy odcinające się od pomarańczowoczerwonego, wieczornego nieba. Z czarnych, rozproszonych chmur mżył deszcz. Bruk pokryty był zwłokami. Ciałami ludzi. Zdawało się, że nikt ich nie dostrzega. Ludzie w pośpiechu przecinali plac, tak zajęci własnymi sprawami, że nawet nie zauważyli deszczu, który barwił ich parasole na czerwono. Mężczyzna z nożem powoli zbliżał się do kobiety. Jego biała, splamiona krwią koszula przykleiła się do ciała. Ciemne, mokre kosmyki włosów opadały na twarz. Z końcówek włosów kapła krew. Mężczyzna zatrzymał się przed rudowłosą kobietą w czerwonej sukience. Wiedziałem, co się teraz stanie. Nie mogłem jednak nic zrobić. Nic. Moje ciało odmówiło posłuszeństwa tylko przyglądałem się. Bez ruchu. Wstrzymałem oddech. Stopy, jakby przyklejone do asfaltu, trzymały mnie w miejscu. Język przywarł do podniebienia. Chciałem ostrzec tę kobietę, usiłowałem krzyknąć, ale ze zdławionej krtani nie dochodził żaden dźwięk. Nie da się więc niczemu zapobiec. Powoli, prawie czule, mężczyzna wepchnął nóż między żebra kobiety. Młode ciało niewiasty bezgłośnie osunęło się na ziemię pod jego stopy. Morderca z obojętną pogardą ominął martwą kobietę.

Jego ostatnia ofiara. Czy wszyscy ludzie na placu byli ślepi? Czy nie widzieli, co tu się wydarzyło? Powietrze stało w miejscu i upiorna cisza zalegała na placu.

Nikt nic nie zauważył. Ale ja, ja to widziałem. Miałem wrażenie, że zaraz się uduszę. Chciałem uciec, zebrałem wszystkie siły, ale nie mogłem ruszyć się z miejsca. Morderca wodził wzrokiem, szukając czegoś... I nagle zjawił się przede mną, z ustami wykrzywionymi w uśmiechu, patrząc na mnie surowym, zimnym i pustym wzrokiem. Widziałem oczy człowieka pozbawionego uczuć. Zamierzył się na mnie nożem. Spokojny i pewny zwycięstwa. Bezradny, czekając na śmierć, wpatrywałem się w błyszczące ostrze - nie, nie!

Obudziłem się z krzykiem. Oblany zimnym potem, z sercem walącym jak młot, drżałem. Wszystko minęło. Uciekłem. Jeszcze raz udało mi się obudzić, zanim zdążył mnie zabić. Znam ten sen dobrze. Chyba nigdy się do niego nie

przyzwyczaję. Towarzyszy mi od piętnastych urodzin. Od dnia, kiedy stałem się wyznawcą Szatana.

Dorastałem w różnych domach. Mając jedenaście lat zwróciłem się do Urzędu Opieki nad Nieletnimi z prośbą o skierowanie do internatu. Tak, ja sam. Pragnąłem wtedy tylko jednego, odejść z domu. Od mojego wiecznie cuchnącego alkoholem, tureckiego ojczyma, który bił nas bez najmniejszego powodu. Od mojej tchórzliwej, niepewnej siebie matki, nigdy nie mającej własnego zdania i nie potrafiącej obronić swoich pięciorga dzieci przed jego złym humorem i niesprawiedliwością.

Z okazji moich piętnastych urodzin dostałem dwa dni urlopu. Tak jakbym kiedykolwiek obchodził urodziny. O prezentach i przyjęciach urodzinowych słyszałem tylko od kolegów z klasy i dzieci z sąsiedztwa.

Ale dobrze, miałem w takim razie wolne. Całe dwa dni, które chciałem jakoś wykorzystać. Zdecydowałem się pojechać do mojej siostry. Mogłem u niej nocować, kiedy kierownictwo domu zezwalało mi na wyjście. Wychowawcom było jednak obojętne, kiedy i czy w ogóle się tam pojawiałem. Nikt o to nie pytał. Podobnie jak w poprzednie urodziny poszedłem do pierwszej lepszej dyskoteki, zafundowałem sobie piwo i piłem za swoje zdrowie. W złym humorze i wściekły z powodu gównianych urodzin, siedziałem przy barze popijając piwo. Tego wieczoru miałem tylko jedno życzenie i jeden cel. Sprowokować kogoś i pobić. Po prostu przywalić jakiemuś dupkowi. Wyładować na kimś całą nagromadzoną nienawiść, rozczarowanie i smutek, który dławił mnie w gardle jak wielka klucha. Bić, znęcać się, zadawać ból - to by mi dobrze zrobiło. Poczuję się lepiej na widok skomlącego zwijającego się z bólu gnojka. Bić - tego nauczyłem się, kiedy jeszcze byłem mały. Od mojego nieopanowanego ojczyma i później w internacie od starszych chłopców. Tłuczono i bito mnie tak długo, aż stałem się na tyle duży i silny, żeby się bronić.

W takim nastroju znalazł mnie Piotrek, kumpel z sąsiedztwa, z czasów kiedy jeszcze mieszkałem z "rodzicami". Wiem, czego ci trzeba – stwierdził; chodź ze mną! Spotykam się zaraz z paroma przyjaciółmi na seansie spirytystycznym.

Słyszałem już o tej zabawie, siada się przy stoliku i wywołuje jakieś duchy. Po co. Nie mam na to chęci, ale może to ciekawsze niż stanie tu samemu w dyskotecie. Poszedłem wiec. W samochodzie Piotrka szybko spostrzegłem, że nie jedziemy do jego domu, ale w kierunku zabudowań fabrycznych.

To niespodzianka - uspokoił mnie. Zaparkował samochód na skraju lasu, przed terenem fabryki. Szliśmy dalej drogą przez las, świecąc latarkami. Była lodowata, gwiaździsta, zimowa noc i tylko wąski sierp księżycy rzucał słabe



światło. Pod nogami skrzypiał śnieg. Im dalej zagłębialiśmy się w las, tym bardziej czułem się nieswojo. Zadawałem Piotrkowi dociekliwe pytania. Odpowiadał zdawkowo: - Będiesz się dobrze bawić. Chciałeś przecież kogoś pobić. Wierz mi, trafiłeś świetnie!

Po wyjściu z lasu Piotrek prowadził mnie żwirowymi drogami i starymi torami kolejowymi. Czołgaliśmy się nawet przez rury, aż wreszcie wyszliśmy na otwartą przestrzeń. Nagle nie byliśmy już sami. Zauważyłem dziesięć, może piętnaście osób. Niektóre z nich tworzyły niewielkie grupki. W ciemnościach za nimi spostrzegłem podłużny, mający może trzy metry wysokości magazyn. Przed nim, po prawej stronie, płonęło osłonięte ognisko. Wodę poczułem, zanim jeszcze zdążyłem ją usłyszeć i zobaczyć. Obok magazynu płynęła szemrając mała rzeczka. Kiedy zbliżyliśmy się do zgromadzonych, zauważyłem ich dziwne stroje. Wszyscy ubrani byli w długie, brązowe habit, a na głowy mieli zarzucone kaptury. W tych strojach przypominali mnichów. Mnisi? Tutaj! Chociaż było już dosyć późno, schodziło się coraz więcej ludzi. Wielu było ubranych zwyczajnie. Ci, zaraz po przyjsciu, znikali w magazynie. Kilka postaci w habitach rozmawiało przytłumionym głosem na zewnątrz budynku, inne kręciły się niespokojnie. Zdawało się, że wszyscy na coś czekają ale na co? Piotrek pociągnął mnie za rękaw, żeby przedstawić zamaskowanemu człowiekowi, który oddalił się od grupy i podszedł do nas. Jego beżowy habit wraz z narzutką w kolorze kasztanowym, przypominającą wyglądem kamizelkę, ciągnął się lekko po ziemi i widać było tylko ręce zarysowujące się pod materiałem. Ogromny kaptur skrywał twarz i jedynie przez dwie wąskie szparki można było zobaczyć białka jego oczu. Czułem się coraz bardziej nieswojo. - To jest Łukasz - przedstawił mnie Piotrek. - Znamy się jeszcze z dzieciństwa.

Potem dodał coś dla mnie zupełnie niezrozumiałego. - Mistrz rozpoznał w nim sprzymierzeńca. Będzie bardzo pomocny w budowie jego królestwa. A głos spod kaptura odpowiedział: - Przyszedł na świat; jako chrześcijanin. Dzisiaj połączy się z zaświatami. Zaświaty? Co to ma znaczyć? Co to za bzdura? Przez głowę przelatywały mi tysiące myśli i pytań. Co ja mam wspólnego z zaświatami? Czy to oznacza, że chcą mnie zabić? On chyba zwariował! Muszę stąd zwiewać! Zamaskowany mężczyzna przeszył mnie wzrokiem. Czy zauważył moją panikę? Po chwili jednak odwrócił się i odszedł. Zwróciłem się do Piotrka, szukając pomocy. - Nie bój się, uspokój i poczekaj. Zostań tutaj, ja zaraz wrócę - wyszeptał. Zostałem sam. Przez głowę gorączkowo przelatywała myśl, czy nie zaryzykować i nie uciec do pobliskiego lasu. Po prostu zwiąć.

Właściwie okazja po temu była znakomita, gdyż wydawało się, że nikt nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi. Mimo to czułem się obserwowany. Cholera! Każdy najmniejszy krok po tej posypanej żwirem i przykrytej śniegiem

ziemi będzie tak głośny, że cały plan pójdzie na marne. Wszyscy natychmiast spostrzegą, że chcę zwać. Zrezygnowałem z ucieczki i stałem w miejscu, czując się tak samotny, jak jeszcze nigdy w życiu.

Wrócił Piotrek. Miał na sobie także brązowy habit, dokładnie taki, jak wszystkie te niesamowite postacie stojące w rzędzie przed bocznym wejściem do magazynu. - O co chodzi? Jak ty wyglądasz? Wylądowałem w jakiejś sekcji, czy co! - Chciałem koniecznie wiedzieć.

Jego głos brzmiał obco, kiedy odpowiedział: - Sam zobaczysz. Teraz bądź cicho. Ustawiliśmy się w kolejce za ostatnim człowiekiem w habitach. Każdy z pseudo mnichów przed nami niósł pod lewą pachą książkę, a w prawej ręce coś na kształt różańca. Na nim zawieszony był odwrócony do góry nogami krzyż z kości. Grupka przeszła w skupieniu przez hale, mamrocząc niezrozumiałe dla mnie słowa, które brzmieniem przypominały modlitwę. A w tylnych szeregach tego dziwnego pochodu maszerowałem ja, z bijącym szybko sercem, jako jedyny ubrany w dżinsy i kurtkę, nie mając pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Wnętrze hali kryło się w migotliwym świetle rozlicznych świec. Trzeba przyznać, że był to niesamowity widok, ale tylko na pierwszy rzut oka. Około trzydziestu ludzi w habitach, oświetlonych jedynie płomieniami świec, ustawilo się w półkolu przed stołem z potężnych betonowych płyt. Było to coś w rodzaju ołtarza, ponieważ wisiał nad nim duży, odwrócony górną częścią do dołu, krzyż z kości. Dokładnie taki sam jak te małe krzyże na różańcach. Obeszliśmy ołtarz i zamknęliśmy krąg. Ukradkiem przyjrzałem się ludziom, ale nie mogłem rozpoznać, czy habitę skrywały mężczyźni, czy kobiety. Nagle Piotrek wyciągnął mnie z kręgu wprost przed ołtarz.

Przedmioty, które leżały na stole, wcale mi się nie podobały. Na samym środku marmurowego podestu stał złoty kielich w kształcie czaszki. Obok niego znajdowała się mała złota miseczka i butelka po winie, wypełniona czymś gęstym i ciemnoczerwonym. Chyba nie krwią? Po prawej i lewej stronie leżały starannie poukładane różne noże i sztylety. Do każdego rogu masywnego blatu przymocowany był ciężki, żelazny łańcuch. Łańcuchy zakończone były szerokimi, regulowanymi kajdanami, jakie widuje się właściwie tylko na filmach grozy, w scenach tortur. - Nie wyjdiesz stąd żywy! - w mojej głowie panował chaos i przerażenie, a ręce pociły się ze zdenerwowania. Dłonie w kieszeniach kurtki same złożyły się w pięści. Na czole i nad górną wargą ukazały się kropelki potu. - Weź się w kupę, tylko nie daj po sobie poznać strachu - powtarzałem sobie w duchu. Jednocześnie zastanawiałem się intensywnie, co ja takiego zrobiłem Piotrkowi, że mnie w to wplątał. Zresztą i tak było za późno na pytania.

Za ołtarzem otworzyły się drzwi i weszło przez nie czterech wysokich, barczystych mężczyzn. Byli ubrani w czarne habitę i mieli na plecach biały znak.

Chociaż ich twarze także ukryte były pod kapturami, wydali mi się w budowie ciała i postawie szczególnie groźni. Za nimi wszedł mężczyzna w beżowym habicie. Był to kapłan, który powitał mnie tak tajemniczo na początku.

Podszedł do ołtarza, a za nim czterej olbrzymi, najprawdopodobniej ochroniarze. Teraz kapłan stał dokładnie naprzeciwko mnie. Dzielił nas jedynie blat stołu. Nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Wpatrywałem się z uwagą w ciemnoczerwony płyn, który przelewał ostrożnie, prawie czule z butelki do kielicha w kształcie czaszki. Później podniósł oburącz kielich nad głowę i znów wymamrotał formułkę w obcym języku, przypominającą modlitwy łacińskie w kościele. Pierwsze słowa, które zrozumiałem, brzmiały: - Jest w naszym kręgu chrześcijanin, który chce połączyć się z zaświatami. W imię Szatana, Jego Ekscelencji... Jego słowa docierały do mnie jak zza mgły.

Po prostu nie mogłem uwierzyć. A więc to sataniści! Otaczali mnie sataniści! Niezłe gówno. Ładny mi seans spirytystyczny! Z czoła spływał mi zimny pot, utrudniał widzenie i szczypał w oczy. Miałem pietra, i to wielkiego. Nie odważyłem się otrzeć potu dłońmi. Ochroniarze wyglądali zbyt groźnie.

Niespodziewanie pojawił się przede mną, on, kapłan: - Chrześcijanin musi zostać oczyszczony - usłyszałem jego głos. Chciałem zrobić krok w tył, ale nie mogłem się ruszyć. Jakaś nieznana siła trzymała mnie w miejscu. Stał tak blisko przy mnie, że nasze ciała prawie się dotykały. Przez wąskie szpary na oczy świdrował mnie bezlitosnym wzrokiem. Miałem wrażenie, że przenika w głąb mózgu i wypełnia całe moje ja, zgadując każdą myśl. - Ta krew cię oczyści - powiedział i podniósł kielich do swoich ust. Złość rostała we mnie z minuty na minutę i czułem nieodpartą chęć, aby walnąć go w twarz z całą wzmożoną przez strach siłą. Zamiast tego odwróciłem tylko głowę. Jeśli już nie mogłem bić, chciałem stawiać bierny opór. Najlepiej jak umiałem. Nie miałem najmniejszego zamiaru pić z tej trupiej czaszki, zwłaszcza że stało się dla mnie jasne, że to wcale nie jest czerwone wino.

Nie miałem jednak szans. Dwaj ochroniarze przyszli mu na pomoc. Przytrzymali mnie mocno. Jeden chwycił za kark z taką siłą, że myślałem, że mi go złamie. Musiałem wypić. Była to krew. Z obrzydzenia prawie zwróciłem pierwszy łyk. Mimowolnie połknąłem drugi, resztę wypłem bez przymusu. Już się nie bałem, wstręt minął, czułem w ustach tylko smak wody. - Jest oczyszczony, wśród chrześcijan nie ma już dla niego miejsca - ogłosił kapłan.

Od teraz masz służyć Szatanowi, Lucyferowi, który jest naszym Panem. Odwrócił się i zdjął z ołtarza małą złotą miseczkę wypełnioną krwią. Zanurzył w niej kciuk, wypowiedział kilka tajemniczych formułek i rozkazał, żebym podszedł. Zrobiłem to. Zrozumiałem, że wszelki opór nie ma sensu. Pojąłem, że tę noc przeżyję jedynie zgadzając się na wszystko. Nie była to grupa młodzieży

zafascynowanej okultyzmem. To byli dorośli ludzie. Szaleni i niebezpieczni. Dalej odprawiając nade mną egzorcyzmy, kapłan malował zanurzonym we krwi kciukiem znak odwróconego krzyża na moim czole, nosie, brodzie i na krtani. Potem zostałem uwolniony. Mogłem ukryć się wśród anonimowych wiernych. Następne godziny przeżyłem jak we śnie. Cała ta msza ciągnęła się nieskończenie długo. Kapłan prowadził monolog po łacinie, co chwila wzywając Szatana. Wierni modlili się, klękali, modlili i znów klękali. Całą wieczność musieliśmy wytrzymać klęcząc na kamiennej podłodze. Robiłem to co inni, żeby tylko się nie wyróżniać. Wszystko mi zobojętniało.

Straciłem poczucie czasu, prawie już nie miałem czucia w kolanach i w nogach. Moje ja znajdowało się w jakimś dziwnym odurzeniu, czułem się jednocześnie lekki i ciężki. Słowa kapłana i ciche modlitwy zebranych pobrzmiwały w mojej głowie. Pogłos jak podczas uroczystej mszy w kościele. Spojrzałem do góry, żeby się upewnić, że jednak nie jestem w kościele o wysokim sklepieniu. Nade mną był tylko płaski sufit hali.

Kręciło mi się w głowie i zbierało na wymioty. Czy podali mi jakieś narkotyki? Może chcieli mnie uzależnić? Ponownie zacząłem się bać. Czułem się chory, rozbity i było mi słabo. Drżałem i przelatywały mi po plecach zimne dreszcze. Ze strachu? Z zimna? Nie miałem pojęcia. Ta okropna msza nie miała końca. Obojętnie obserwowałem, jak kapłan ponownie napełnia kielich. Naczynie wędrowało po sali z rąk do rąk. Każdy z obecnych podnosił je do ust i upijał z niego po łyku. Kapłan podniósł głos i zrozumiałem jego następne słowa: - Zbliża się czas ofiarowania!

Po wszystkich tych przeżyciach myślałem tylko o jednym - przyszła kolej na mnie. W tym momencie doszło do moich uszu rozpaczliwe beczenie owcy. Ten odgłos napełnił mnie grozą. Człowiek w habicie ciągnął przez drzwi do ołtarza rozpaczliwie broniące się zwierze. Jego widok wzbudził moje współczucie, ale jednocześnie odczułem ogromną ulgę. Mogłem być przynajmniej pewien, że to nie ja będę ofiarą.

Czterej na czarno przebrani osiłkowie położyli owce na ołtarzu i przymocowali jej nogi żelaznymi kajdanami. Zręcznie naprężyli łańcuchy tak, że zwierze nie mogło się poruszyć. Przeróżliwe beczenie rozbrzmiewało w pustej hali jak krzyk człowieka wzywającego pomocy. Lubiłem zwierzęta. Od czasu do czasu rozmawiałem z nimi. Potrafiły słuchać i wydawało się, że wszystko rozumieją. Słyszałem od moich tureckich przyjaciół, że owce są szczególnie wrażliwe. A ten baranek ofiarny na ołtarzu zdawał się wiedzieć, że wybiła jego ostatnia godzina. Tylko ani on, ani ja nie wiedzieliśmy jeszcze, jaka straszna śmierć go czeka. Nie mogłem już dłużej wytrzymać tego beczenia, ale też nie starczyło mi odwagi, żeby zatkać uszy. A potem znowu pojawiła się ta

niesamowita siła i nieodparta chęć każąca stać mi w miejscu i oglądać rzeczy, przeciwko którym bronił się rozum.

Kapłan wziął jeden z przygotowanych noży i pokazał go pilnie wpatrującym się w niego wiernym. Kabłąkowate ostrze błysnęło w świetle licznych świec. Rękojeść miała kształt odwróconego krzyża. Rzadkiej urody sztylet do tak wyjątkowo ohydneho rytuału.

Monotonny głos kapłana wypełniał hale: - Ofiara jest gotowa. Rozpocznijmy adoracje. Chwalmy Szatana, chwalmy Lucyfera i jego zstąpienie na ziemi. Mówiąc dalej, pochylił się do przodu i rozciął beczącemu zwierzęciu brzuch. Kiedy zobaczyłem ręce kapłana znikające w otwartej ranie, ponownie zrobiło mi się niedobrze i zimno.

Gdzie ja wylądowałem, pytałem sam siebie zmieszany, patrząc cały czas w kierunku ołtarza. Teraz kapłan wyciągnął z wnętrza owcy czerwona, mięsistą bryłę - serce. Trzymał je wysoko na wyprostowanych, umazanych krwią rękach. Donośnym głosem zażądał energicznie: - Chwalcie Szatana!

Zwrócił się do swoich czterech olbrzymów i podał im serce. Ale po co? Stało się coś niewyobrażalnego. Każdy z nich odgryzł kawałek, pożuł i połknął. Ponownie ogarnęła mnie panika. Czy będę musiał zrobić to samo? Czy uda mi się przewyciężyć wstręt i nie zemdleć? Miałem jednak szczęście, ponieważ także i kapłan chciał mieć swój udział. Podniósł kaptur na tyle wysoko, żeby odsłonić usta i zjadł resztę surowego serca. Żuł powoli i ze smakiem. Zastanawiałem się, co jeszcze będę mógł i musiał wytrzymać.

Mogłem oczywiście zamknąć oczy albo wpatrywać się w podłogę, ale bałem się, że nie zauważę w porę następnego ataku kapłana, na który wciąż czekałem. Ta myśl była dużo okropniejsza niż wszystko pozostałe. Sztylet został użyty jeszcze raz. Tym razem do nacięcia tętnicy szyjnej ofiary. Świeża, ciepła zwierzęca krew spływała do kielicha w kształcie czaszki. Chciało mi się rzygać. Teraz bezimienni ludzie w habitach mieli zaszczyt opróżnić kielich. Potem odbyła się następna lekcja, nauczanie czy też dziękczynienie w języku łacińskim.

Oczy mnie piekły, nie wiem, czy ze zmęczenia, czy z powodu nie wyptakanych łez. Pragnąłem tylko uciec z tego piekła, od tych potworów. Aż do dzisiejszej nocy byłem przekonany, że nic nie jest w stanie mnie poruszyć ani przygnębić. W sprawach przemocy nie miałem sobie równych. Uważałem się za silnego, nieczułego i zahartowanego. Wierzyłem, że w każdej sytuacji świetnie sobie poradzę i naśmiewałem się z moich kolegów, którzy z byle głupstwem lecieli do matki. Ta noc wyprowadziła mnie z błędu.

Kiedy kapłan wreszcie zakończył makabryczne przedstawienie i ogłosił, gdzie i kiedy odbędzie się następne spotkanie, niczego bardziej nie pragnąłem

niż matki. Matki, w której spokojnych i pewnych ramionach mógłbym się teraz schronić. Na zewnątrz czekał na mnie Piotrek. Szaleniec, któremu zawdzięczałem udział w tym koszmarze. Hala prawie opustoszała, a ja zapadłem się w sobie zupełnie wytrącony z równowagi. Siedziałem skulony pośrodku kamiennej podłogi, ramionami objąłem kolana i nieobecny wzrokiem wpatrywałem się w dal. Na nowo ogarnęło mnie obrzydzenie.

Zerwałem się na równe nogi i pogałem na zewnątrz, żeby wsadzić dwa palce w gardło i zwymiotować. Miałem nadzieję, że przyniesie mi to ulgę, nawet jeżeli tylko fizyczna. Nic z tego nie wyszło. - Poczekaj chwilę - usłyszałem za sobą nadzwyczaj nieprzyjemny głos kapłana. Zjawił się jak na zawołanie. Przeżyłem tę noc i poczułem nagle, że jestem tak wściekły jak jeszcze nigdy w życiu. Ekspłodowałem: - Co ty sobie właściwie wyobrażasz, że kto ty jesteś, ty świnió, ty ohydny, tchórzliwy morderco. Nie myśl tylko, że się ciebie boję. Wasze obrzydliwe gierki możecie sobie dalej prowadzić beze mnie i naprawdę możecie mówić o szczęściu, jeśli nie napędzę na was glin. Czy to jasne? Nie chcę mieć z wami nic wspólnego. A z Piotrkiem jeszcze poważnie porozmawiam.

Moje słowa nie zrobiły na kapłanie żadnego wrażenia. Jego oczy błyszczały, kiedy poprosił, żebym podał mu rękę. Rozkazujący ton zaskoczył mnie. Wyciągnąłem dłoń. Sądziłem, że na pożegnanie. Trzask! Krzyknąłem i z bólu napłynęły mi do oczu łzy. Złamał mi środkowy palec. Zbliżył do mojej twarzy swoją, skryta pod kapturem i wyszeptał: - Jeżeli nie przyjdiesz na następne spotkanie, przyprowadzimy cię. Dorwiemy także twoich przyjaciół i będziesz się mógł przyglądać, jak ich zabijamy. A kiedy oni już umrą, przyjdzie kolej na ciebie. Z tymi słowami zniknął w ciemnościach.

Mój palec pulsował, a ból promieniował na całe ramię. Po policzkach płynęły mi łzy bólu i zwątpienia. Byłem kupką nieszczęścia. W takim stanie znalazł mnie Piotrek. To, co powiedział, miało mnie pocieszyć: - To jest twoje przeznaczenie, Łukasz. Zaakceptuj to i żyj z tym.

Nie starczyło mi sił, żeby odpowiedzieć. Nie mogłem i nie chciałem myśleć. Nie miałem ochoty dyskutować ani robić mu wyrzutów. Chciałem tylko pojechać do mojej siostry, a stamtąd do szpitala. I pozbyć się Piotrka jak najszybciej i nigdy go już nie spotkać. Jak się okazało, nie miało mi się to udać.

## **ROZDZIAŁ 2**

Następny tydzień spędziłem jak w transie. Mechanicznie wypełniałem codzienne obowiązki i odwaląłem praktykę malarską. Właściwie do tej pory praca sprawiała mi większą przyjemność niż nauka, ale po mszy straciłem na wszystko ochotę. Paplanina kolegów z pracy i wychowawców wcale mnie nie interesowała, a ich głosy docierały do mnie jak zza mgły. Całe otoczenie

wydawało mi się nierealne. Spałem niewiele, gdyż zaraz po zamknięciu oczu widziałem owce, habity, spojrzenie kapłana i krew, krew, wszędzie krew.

Ze złamanego palca wytłumaczyłem się następująco: wracając nocą do domu, poślizgnąłem się na drodze i upadłem. Każdego, który chciał koniecznie wiedzieć, co się stało, częstowałem tą historyjką. Nie miałem odwagi nikomu zaufać. Cholernie się bałem następnego weekendu w rodzinnym mieście. Nie chciałem oglądać pogromu dokonywanego przez sektę. Zgłosiłem wiec do kierownictwa internatu, że w nadchodzący weekend nie jadę do domu. Nie rozumieli, o co mi chodzi. "Jechać do domu" oznaczało dla większości z nas całkowitą wolność na czterdzieści osiem godzin. Nie mówiło się o tym głośno, ale była to jakby publiczna tajemnica. W rzeczywistości prawie nikt z nas nie wracał na sobotę i niedzielę do rodziców. Ze zrozumiałych powodów. Żaden z nas nie miał dobrych układów z rodzicami, gdyby tak było, nie byłibyśmy wszyscy w ośrodku dla społecznie trudnej młodzieży. Nie byliśmy bowiem aniołami. Denerwowały mnie nieufne, choć usprawiedliwione pytania wychowawców. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko na nie głupio odpowiadać: - A co ja mam do roboty w domu? Równie dobrze mogę nudzić się tutaj i przywalić kilku gnojkom. Tydzień minął o wiele za szybko. Nadeszło piątkowe popołudnie. Leżałem na łóżku w moim pokoju i słuchałem odprężającej muzyki - "Rhythm of Re-as" Pink Floyd. Zadzwoił telefon.

Piotrek. - Idziesz jutro przecież, prawda? Przyjadę po ciebie wieczorem o dziesiątej do twojej siostry. Przeszedł mnie zimny dreszcz i żołądek mi się ścisnął. - Skąd masz mój numer telefonu? Skąd w ogóle wiesz, że ja mieszkam w tym mieście? - wyjąkałem. - Wiemy o tobie wszystko - odpowiedział spokojnie Piotrek. - Wiemy, gdzie mieszkasz, kim są twoi przyjaciele, gdzie odbywasz praktykę i jak nazywa się twój majster. Po tych słowach odłożył słuchawkę.

Wpadłem w panikę. Zacząłem się trząść. Przerażony biegałem po całym domu, z pokoju do pokoju i poczekalni. Nie chciałem mówić, ale pragnąłem mieć wokół siebie ludzi. Potrzebowałem poczucia bezpieczeństwa. Nurtowała mnie tylko jedna myśl: - Co ja mam teraz zrobić?

Kiedy trzy godziny później zjawiała się u mnie moja dziewczyna Sandra, leżałem na łóżku i gapiłem się w sufit. Sandra zauważyła, że coś ze mną jest nie w porządku. Przytuliła się do mnie, a ja chowając twarz w jej długich, ciemnych włosach, przypomniałem sobie groźbę kapłana: - Jeśli nie przyjdiesz, najpierw zabijemy twoich przyjaciół...!

Cholera jasna! Wszystko jest takie skomplikowane. Nie chciałem tam wrócić za żadne skarby! Ale jeśli te obrzydliwe kreatury mówiły poważnie? Jeżeli rzeczywiście zrobią coś Sandrze albo któremuś z moich przyjaciół... Bałem się potwornie i napawało mnie to wielkim wstrętem, ale nie zniósłbym

odpowiedzialności w razie, gdyby coś stało się z Sandrą. I ja byłbym jeszcze temu winny! Okropne! Przez długie minuty dręczyły mnie wątpliwości. W końcu zwyciężyła troska o Sandrę. Wiedziałem, że muszę iść na mszę.

Pojechałem więc do mojej siostry Sylwii, u której spędzałem do tej pory wszystkie wolne weekendy. Już w dzieciństwie była dla mnie najważniejszą osobą. Rozumieliśmy się bardzo dobrze. Mając siedemnaście lat wyprowadziła się z domu. Poczułem się wówczas opuszczony i zdradzony, ale później zrozumiałem doskonale, co nią powodowało i cieszyłem się, że mogę u niej znaleźć schronienie na sobotę i niedzielę. Sylwia nie wtrącała się w moje sprawy, mogłem przychodzić i wychodzić, kiedy i dokąd tylko chciałem. Zawsze jednak była gotowa do pomocy, jeśli jej potrzebowałem.

Oczywiście także i ona zauważyła, że się zmieniłem. Nie słuchałem, kiedy do mnie mówiła, byłem podenerwowany, cichy i zamknięty w sobie. Jakże chętnie otworzyłbym przed nią serce, ale przecież także i ona nie była w stanie mi pomóc w tej beznadziejnej sytuacji. Poza tym od telefonu Piotrka czułem się stale obserwowany. Kto wie, może nawet w mieszkaniu Sylwii był zamontowany podsłuch... Tego piątkowego wieczoru nie odważyłem się wyjść z domu, ogłuszałem się muzyką i przygnębiony wałęsałem bez słowa po całym mieszkaniu. W sobotni wieczór, około dziesiątej, przełamałem jednak wewnętrzny opór i opuściłem mieszkanie Sylwii.

Piotrek czekał już na mnie, niedbale oparty o samochód. Jak się tak na niego patrzyło, sprawiał bardziej wrażenie zagorzałego kulturysty, niż człowieka prowadzącego tajemnicze, demoniczne życie. Piotrek był miły. Uroczy, przyjacielski facet. Miał z tego powodu ogromne powodzenie u kobiet i dla wielu mężczyzn był znakomitym kumplem. Zawsze przyciągał ludzi. Także i ja czułem się miło wyróżniony, że ten sympatyczny typ się ze mną zadaje. A poza tym był przecież o kilka lat starszy. Jak to się można pomylić w ocenie ludzi, myślałem. Od ostatniej soboty był dla mnie największym draniem, jakiego spotkałem w życiu. Jakby nie wystarczało, że sam działa w tej sekcji, to jeszcze wciąga w to szambo przyjaciół! Usiłowałem z nim pogadać w samochodzie, powiedzieć, co o tym wszystkim sądzę, ale nie udało mi się. Za każdym razem, kiedy zaczynałem mówić, włączał na cały regulator muzykę heavy metalową. Nie miałem szans. I znowu siedziałem obok niego w samochodzie. I znowu jechaliśmy w kierunku opuszczonych zabudowań fabrycznych, i później, potykając się, szliśmy przez ciemny lasek. Nie zamieniliśmy ani słowa.

Miałem jak najgorsze przeczucia. Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk. Przeszedł mnie zimny dreszcz i włosy stanęły dęba. Chciałem natychmiast zawrócić. Piotrek złapał mnie mocno za ramię i pociągnął za sobą. - Co to było? - wyszeptałem. Piotrek - To drobiazg, ktoś był testowany, ile może wytrzymać.



Ty też przez to przejdiesz. Nie przejmuj się uderzenia są tak zadawane, że nikt od nich nie umiera. - I to ma być przyjaźń? - wysapałem, bezskutecznie usiłując wyzwolić się z jego uchwytu. - Przyjaźniliśmy się przecież w dzieciństwie, byliśmy sąsiadami, a ty pozwolisz teraz znęcać się nade mną?

- No, no, nie jest znowu tak źle. Potrwa to wszystko może ze dwie godziny, i potem już należysz do nas. A to ci się spodoba! Piotrek dowlóknął mnie na miejsce spotkań całej tej bandy i nie miałem już odwrotu. Nie mogłem się skompromitować przed innymi, więc z pozornie pewną siebie miną dreptałem dalej za Piotrkim. Dotarliśmy do ogniska przed halą. W świetle płomieni spostrzegłem nieruchomy kształt, złożony ze strzępków ubrania i kończyn. Potrzebowałem kilku sekund, żeby rozpoznać, że na ziemi leży chłopak mniej więcej w moim wieku. Dokładnie skatowany. Z otworów nabrzmiącej twarzy płynęła krew. Nie można było rozpoznać konturów. Chłopak nie jęczał, nie wydawał z siebie żadnego głosu. Piotrek był zachwycony, a ja musiałem się odwrócić.

I wtedy zobaczyłem, że zbliża się do mnie beżowa sylwetka kapłana. W jego głosie pobrzmiwała nutka wesołości, kiedy powiedział półgłosem: - Moi uczniowie, oto przedstawiam wam nowego członka sekty. Powitajcie go gorąco!

Zanim się zorientowałem, zdarto ze mnie kurtkę, sweter i koszulę. W tę zimową noc, przy trzaskającym mrozie, kilku ludzi zaciągnęło mnie za budynek magazynu i łańcuchami przywiązało mój nagi tułów do żelaznych prętów płotu. Kapłan zawołał: - Panie i Mistrzu Lucyferze, pozwól mu zaakceptować ból. Daj mu siłę przyjąć ten twój dar bez słowa skargi, stać się twoim wiernym sługą.

Jeszcze nie skończył mówić, a już zaczęli mnie bić. Po pierwszym uderzeniu w nos dostrzegłem zamglonym wzrokiem, że zebrało się przede mną około dwudziestu ludzi. Kolejny człowiek skryty pod kapturem wziął rozpęd i kopnął mnie w żołądek. Skuliłem się. Posypał się na mnie grad uderzeń i kopniaków. Czułem, że moje głowa i nogi są jedną wielką bezkształtną masą. Wisiałem bezwładnie na prętach, tylko łańcuchy na przegubach rąk trzymały mnie w górze. Potem znowu dostałem potężny cios w nos. Głowa podskoczyła mi do góry. Niewyraźnie zobaczyłem zarysy grubego drąga. Z całą siłą wylądował na moim udzie..

Musiałem przetrzymać trzy rundy tej tortury. Kiedy później to obliczałem, wyszło mi, że dostałem około sześćdziesięciu potężnych uderzeń. W pewnym momencie straciłem chyba przytomność. Do moich uszu długo docierały jęki, stękania i krzyki i minęło dużo czasu zanim pojąłem, że to ze mnie wydobywały się te żałosne dźwięki. Kiedy się ocknąłem, leżałem na kocu obok ogniska.

Dokładnie w tym miejscu gdzie zaraz po przyjsciu zobaczyłem tę inną kupkę nieszczęścia. Byłem sam.

Najmniejszy ruch powodował niesamowity ból. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak leżeć bez ruchu w miejscu i wpatrywać się w nocne niebo, na którym widziałem zamazane świetlne punkciki gwiazd. Usłyszałem uspokajające szemranie rzeki. W tym momencie wszystko mi zobojętniało. Przeżyłem i byłem pewien, że nic gorszego nie może mnie spotkać. Jakżeż miałem się mylić!

Nagle pochyliła się nade mną jakaś zamaskowana postać. Podniosła moją głowę i wlała mi do ust trochę krwi, której nieprzyjemny smak pozostał mi w pamięci jeszcze od ostatniej mszy. Zrobiło mi się niedobrze i zwymiotowałem czując się tak, jakbym wypluł żołądek razem z płucami. - Pij dalej - była to jedyna reakcja tego człowieka. Nie miałem wyboru, gdyż z powodu bólu nie mogłem się bronić. Dzisiaj jestem pewien, że do tego napoju dodano narkotyków, ponieważ po krótkim czasie zaczęło kręcić mi się w głowie i widziałem wszystko podwójnie. Przeszedł za to paraliżujący ból, który mnie obezwładniał.

Jakąś chwilę potem, nie wiem dokładnie kiedy, ponieważ straciłem rachubę czasu, ujrzałem nad sobą kapłana. Spojrzał cynicznie na moją opuchniętą twarz. Z zadowoleniem obejrzał mój nagi, poraniony tułów. - Szatan wybrał cię na swojego syna - powiedział i na potwierdzenie tych słów kopnął mnie między obolałe żebra.

Żadna odpowiedź nie przyszła mi do głowy, więc uśmiechnąłem się bezczelnie popękanymi wargami. Dziwnym trafem dzięki temu wydałem mu się sympatyczny. Mimo to mój odpoczynek nie trwał długo. Kapłan pstryknął palcami i natychmiast pojawili się czterej jego ochroniarze, złapali mnie za ramiona i pociągnęli za sobą.

Co mnie teraz czeka, zastanawiałem się w duchu, ale bezwolnie poddałem się losowi. Brutalnie rzucili mnie na tory kolejowe. Tory! W środku wszystko we mnie krzyczało, ale na zewnątrz nie wydobyłem żadnego tonu. Kapłan podązał za nami. Gdy jego przybocznicy przywiązywali mnie za ręce i nogi do szyn, wyjaśnił mi: - Oto ostatnia część egzaminu. Aby stać się prawdziwym synem twojego nowego Pana, musisz umrzeć. My wszyscy, którzy jesteśmy jego sługami, jesteśmy martwi. Zginęliśmy pod kołami pociągu zesłanego przez Szatana, naszego Władcę. Do zobaczenia w nowym Świecie, do którego dane jest ci teraz wstąpić - z tymi słowami zniknął.

Nie minęło dużo czasu, a wydawało mi się, że słyszę turkotanie i stukot nadjeżdżającego pociągu towarowego. Szyny po moich obu stronach zaczęły drzeć brzęczeć. Rzeczywiście pociąg! Głuchy odgłos maszyny zbliżał się. Sztywny

z przerażenia i bezradny wsłuchiwałem się w coraz to donośniejsze grzmienie żelaznego potwora, który miał mi pomóc dostać się w zaświaty. Nie bałem się nawet, ale byłem wściekły. Po prostu wszystko gotowało się we mnie z wściekłości. Przez głowę przelatywały mi szalone myśli. Przepętany nienawiścią wyobrażałem sobie, jak można by wykończyć ten obrzydliwy pomiot ohydny szatana. Trzeba by zrzucić na nich bombę atomową. Każdego z nich posiekałbym, pokawałkował i rozdeptał, gdybym tylko spotkał ich ponownie. W ostatnich sekundach, zanim przejechał mnie pociąg, myślałem o mojej przyjaciółce Sandrze.

Z powrotem na ten świat sprowadziły mnie delikatne ukłucia igieł. Ostrożnie podniosłem głowę i rozejrzałem się dookoła. Leżałem przymocowany łańcuchami do ołtarza. Byłem całkowicie nagi. Jeden z wyznawców Szatana tatuował mi na lewym ramieniu pentagram z trzema szóstkami. Moje ciało usłane było magicznymi znakami. Namalowane były krwią. Pokrywały wszystkie rany, opuchlizny, szramy i siniaki. Mrozące krew w żyłach dzieło sztuki. Kapłan stał mi za głową, trzymał dłonie nad moją twarzą i modlił się. Usiłowałem się odwrócić, ale opuścił niżej ręce, jakby chciał przytrzymać mnie w miejscu, tak, że dotykały prawie czubka mojego nosa. Poddałem się bezradnie niewidzialnej sile jego rąk. Monotonnie brzmiące słowa modlitw członków sekty i dziwna przewlekła muzyka działały na mnie uspokajająco. Głos kapłana dźwięczał zbyt donośnie, kiedy powiedział: - Jesteś teraz synem Szatana, częścią naszego Pana i Mistrza. Będziesz żył i czuł jak Szatan, będziesz miał jego władzę i dostąpisz zaszczytu rozpowszechniania i budowania wraz z nami jego potęgi.

Zmieszanemu, obolałemu i wyczerpanemu pozwolono mi odejść do sąsiedniego pomieszczenia. W tej żałosnej drodze wspierali mnie dwaj ochroniarze kapłana. To było zresztą dobre, bo każdy najmniejszy ruch powodował ból we wszystkich rejonach ciała. Już podczas schodzenia z ołtarza o mało co nie straciłem przytomności z bólu. Pomogli mi nawet ubrać się. Nie udałooby mi się zrobić tego samemu. Poza tym zwracali uwagę na to, żebym nie stał krwawych, magicznych znaków.

Dopiero teraz dotarło do mnie, że jeszcze żyję i że jednak nie przejechał mnie pociąg. Przyjąłem to z niedowierzaniem i byłem całkowicie pewien, że wszyscy ci ludzie dookoła są chorzy umysłowo. W drodze powrotnej do domu Piotrek wyjaśnił mi, że ta historia z pociągiem została zainscenizowana za pomocą kilku trików i kasety magnetofonowej. - Zwykły terror psychiczny, ale bardzo skuteczny, żeby sprawdzić odporność nowych członków - powiedział lakonicznie. - Ty dobrze to przeszedłeś. Wiedziałem, że będziesz do nas pasował. Nie odpowiedziałem mu. Bardziej mnie teraz interesowało, jak ja wytłumaczę siostrze mój wygląd.

Sylwia nie spała jeszcze, kiedy około szóstej dotarłem do domu. Nie dała się oczywiście zbyć machnięciem ręki, więc wybełkotałem coś o meczu piłki nożnej, który zakończył się bijatyką z chuliganami. Była zła na mnie, ale uparła się zawieźć mnie natychmiast do szpitala. Zdążyłem jeszcze w łazience zmyć z ciała krwawe symbole. Właściwie marzyłem tylko o łóżku, ale z perspektywy czasu muszę przyznać, że miała wówczas rację. Przegub prawej ręki był strzaskany, dolna szczęka pęknięta, nos uszkodzony, a żebra połamane. Lekarz dyżurny stwierdził, kręcąc głową, że opatrywał już kilka ofiar starć z chuliganami, ale tak skatowany pacjent jeszcze mu się nie trafił.

### **ROZDZIAŁ 3**

Do tej pory nie umiem powiedzieć co we mnie wówczas wstąpiło. Czy był to wpływ sekty, czy tygodniami dokuczający ból kości, który spowodował moje opętanie i agresję? W internacie posypały się na mnie prace karne. Musiałem czyścić kuchnię, sprzątać, nie wolno mi było oglądać telewizji, opuszczać domu i zabrano mi kieszonkowe. Im więcej kar na mnie nakładano, tym bezczelniej pyskowałem i kłóciłem się z wychowawcami. Dopiero gdy zagrożono mi zakazem wyjścia z internatu na weekendy, powstrzymałem swoją niewytłumaczalną nienawiść i gniew. Nie chciałem ryzykować chłosty ze strony satanistów za nieobecność na mszy.

Okazało się, że Piotrek będzie moim nauczycielem. Z tych około pięćdziesięciu osób, które stanowiły trzon naszej grupy znalazłem jedynie jego twarz i tylko z nim się kontaktowałem poza oficjalnymi spotkaniami. On to priorytetowo nauczył mnie podstawowych reguł satanizmu:

Szatan jest uosobieniem zła. Symbol satanistów - odwrócony do góry nogami krzyż, oznacza całkowite odwrócenie się od wartości chrześcijańskich.



Fot. Szatan to wcielenie zła

Piotrek wyjaśnił mi także hierarchię obowiązującą w sekcie. Każda grupa składa się z wewnętrznego i zewnętrznego kręgu. Zewnętrzny krąg, zwany również zgrają, tworzą nowicjusze, odstępcy, kobiety i zwolennicy. Czy rzeczywiście istnieją ludzie dobrowolnie przystępujący do satanistów? Na to pytanie odpowiedzią było jedynie wściekłe spojrzenie Piotrka. Kapłan, dowiadywałem się dalej, jest zwierzchnikiem wewnętrznego i zewnętrznego kręgu. Najmniejsza oznaka nieposłuszeństwa i niepodporządkowania się jest surowo karana.

Wewnętrzny krąg tworzą uczniowie. Wybiera ich spośród zgrai kapłan, w nagrodę za szczególne osiągnięcia. Na takie wyróżnienie można zasłużyć wykrywając lub donosząc na chcącego odstąpić od sekty. Można też zwrócić na siebie uwagę wyjątkową brutalnością i bezwzględnością, tak jak to miało miejsce w moim przypadku. Na pierwszy rzut oka uczniowie odróżniają się od zgrai habitem. Co jednak jest najważniejsze, uczniowie są kandydatami na kapłanów - przez zdanie sześciu egzaminów muszą udowodnić swoje satanistyczne zdolności.

Czterej olbrzymi, których brałem za ochroniarzy kapłana szatana, zwani są, oprawcami, demonami Pana lub siepaczami. Zajmują szczególną pozycję w wewnętrznym kręgu. Podczas mszy są pomocnikami kapłana, natomiast ich zadaniem, na co dzień jest tropienie i wyłapywanie tych, którzy chcą odstąpić od sekty. Do nich należy też sprowadzanie tych odszczepieńców do wspólnoty, a jeśli to niemożliwe, zabijanie ich. - Są, to niebezpieczne maszyny wojownicze, bezwzględne i bezlitosne. Jak do tej pory nikt im nie umknął - ostrzegł mnie Piotrek.

Nie mógł mi w tym momencie powiedzieć więcej. Dal mi tylko jeszcze jedną radę na koniec: - Nie zastanawiaj się nad rozkazami, które musisz wykonywać, bo i tak na nic Ci się to nie przyda. W stosunku do Szatana wciąż musisz potwierdzać szacunek i posłuszeństwo. Nie możesz sobie pozwolić na uczucia. Powiem więcej, one są po prostu zabronione!

Od tej pory poświęcałem wszystkie weekendy Szatanowi. To było moim przeznaczeniem. Nie mogłem się temu sprzeciwić. Na szczęście nie przy każdym spotkaniu odprawiana była czarna msza. Czasami odbywały się szkolenia i wykłady na temat filozofii życia satanistów, przedstawiano świetlaną przyszłość, która oczekiwała nas, kiedy tylko Szatan i jego nauka podbiją świat. Wtedy wszystko to, na co teraz ciężko harujemy, będzie należało do nas. Nawet rzeczy, które w tym momencie były dla nas nieosiągalne, dobra doczesne takie jak dom, wspaniały samochód będziemy mogli sobie zwyczajnie wziąć. Staniemy się przecież panami, a ta garstka niewierzących - niewolnikami. Szczegółowo opisywano nam akty przemocy, gwałtu, tortury i morderstwa

dokonywane na chrześcijanach. Słyszeliśmy wciąż: - Jeżeli chrześcijanka zajdzie w ciążę z satanistą, należy zabić dziecko urodzone z tego związku, ponieważ przyszło na świat z martwą duszą. Najlepiej od razu zabić matkę.

Były to dla mnie historie z dreszczykiem, które opowiada się wieczorem przy ognisku w gronie dobrych znajomych. Moim zamiłowaniem do horrorów budziłem zazwyczaj zdziwienie wśród kolegów z internatu. Kiedy wypożyczałem film wideo, już po paru minutach siedziałem przeważnie sam przed telewizorem. Im brutalniejszy, tym lepszy. Trzeba być silnym i bezwzględny, żeby coś w życiu osiągnąć. Te filmy były dla mnie przygotowaniem do prawdziwego życia. Zahartowały mnie. Imponowała mi bezwzględna siła, nigdy nie myślałem o jej ofiarach. Niestychanie bawiło mnie obrzydzenie jedzenia moim współlokatorom szczegółowymi opisami masakr i opowiadaniem im koszmarów na dobranoc. Nie lubili mnie za to, ale ja widziałem w tym wyższy cel - wyśmiewałem i wykpiwałem ich słabość i tchórzostwo. Uważałem, że jestem wspaniałym facetem. Silnym typem.

Nic więc dziwnego, że opowieści kapłana nie robiły na mnie wrażenia. Chciał tylko sprawdzić naszą odwagę. Nie wydawało mi się prawdopodobne, że kiedykolwiek sam mógłbym przeżyć wszystkie te okropieństwa i rytuały. Te wieczory były dużo przyjemniejsze od ciągnących się w nieskończoność i po części niezrozumiałych mszy, które uwieńczała tradycyjna ofiara, składana ze zwierząt. Nie przyszło mi do głowy, że celem tych szkoleń było pranie mózgu.

Obok części teoretycznej odbywała się też część praktyczna. Nazywało się to "akcjami wspólnoty". Podczas takich akcji biliśmy chrześcijan, zakłócaliśmy msze w kościołach, napastowaliśmy i zastraszaliśmy wiernych. Według nauk kapłana działaliśmy w "służbie Szatana", ale mnie sprawiało to po prostu satysfakcję. Nareszcie zaliczałem się do silnych i byłem chwalony za używanie przemocy, za którą mnie do tej pory karano. Mogłem wreszcie wyładować całą moją nagromadzoną agresję i frustrację. Wystarczało, że wspominałem cięgi, które dostawałem od ojczyma, a później od starszych chłopaków w internacie, a już nie miałem żadnych oporów, żeby bić słabszych i bezbronnych. Wsparcie i uznanie grupy wzmacniało moją wiarę w siebie i dawało mi poczucie nieznannej dotąd siły. To było wspaniałe uczucie.

Fakt, że bez trudu przyswajałem sobie znaczenie symboli i zasady satanizmu, umacniał mnie w przekonaniu, że rzeczywiście jestem stworzony do takiego życia. Na co dzień, bowiem nieco trudniej przychodziła mi nauka w szkole i nigdy nie byłem w stanie zapamiętać składu i znaczenia mieszanek farb podczas praktyki malarskiej.

W naszej grupie znajdowały się również kobiety. Zdawało się, że nie muszą wypełniać żadnych zadań. Podczas mszy nikt ich nie nagabywał i stały

wśród wiernych w swojej części kręgu. Kiedy w czasie szkoleń kapłan mówił o gwałtach i zabijaniu dzieci, nie budziło to w nich żadnego protestu. Nie poruszał ich też fakt, że kiedy w wyniku orgii satanistka zajdzie w ciążę, musi ofiarować dziecko Szatanowi. Możliwe, że podobnie jak ja, nie wierzyły w te historie. Nie wiem, co to były za kobiety.

Nie mogłem sobie wyobrazić, że wszystkie przeszły przez ten okropny rytuał przyjęcia do sekty. Piotrek wyjaśnił mi: - Kobieta, która zwiąże się z satanistą, staje się automatycznie członkiem wspólnoty i nie potrzebuje zdawać egzaminu wstępnego. Jest później dobrem wspólnym, co oznacza, że może ją mieć, kto tylko zechce. Wiesz przecież, że Szatan nie toleruje miłości i chęci posiadania powodowanej takim uczuciem. Zszokowała mnie ta wiadomość. Nikt mi przecież nie może zabronić zakochać się! A kiedy już jestem zakochany, wcale nie mam ochoty dzielić się moją dziewczyną, z innymi facetami. Sandra! Musze natychmiast z nią, zerwać. Co za szczęście, że nie wspomniałem o niej Piotrkowi.

Decyzja o rozstaniu nie przyszła łatwo. Musiało do tego jednak dojść, ponieważ za żadną, cenę nie chciałem wprowadzić Sandry do sekty. Same odwiedziny u niej były ryzykiem. Paraliżował mnie strach przed demonami Pana. Kluczyłem i sprawdzałem, czy nikt mnie nie śledzi. Łamałem sobie przy tym głowę, jak mam zakończyć te historie nie raniąc Sandry zbyt boleśnie. Nie mogłem powiedzieć jej prawdy. Ta okropna tajemnica i strach o moich nie przeczuwających niczego przyjaciół, ciążyły mi tego dnia potwornie. Zupełnie załamany zadzwoniłem do drzwi mieszkania rodziców Sandry. Otworzyła drzwi osobiście i od razu chciała mi się rzucić na szyję. Przerażony odsunąłem ją od siebie. A co będzie, jeśli nie udało mi się zgubić oprawców? Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby właśnie dziś dowiedzieli się o istnieniu mojej dziewczyny.

Sandrze nie spodobało się, że ją odpycham. - O co ci chodzi? Nie widzieliśmy się od trzech tygodni i nawet mnie nie pocałujesz? Po co w ogóle przyszedłeś? Szybko wciągnąłem ją do pokoju i zamknąłem za nami drzwi. Potem położyłem się na jej łóżku i wpatrywałem w sufit. Musiała mnie źle zrozumieć, gdyż przysiadła się do mnie i zaczęła pokrywać moją twarz pocałunkami. Nie umiałem zaprotestować. Zamknąłem oczy i rozkoszowałem się jej bliskością, delikatnymi dotknięciami. Opadłem na łóżko i zapomniałem, po co tu przyszedłem. Istniało tylko jej ciepłe ciało i coraz bardziej natarczywe wargi. Przytuliła się mocniej. Ból złamanych żeber otrzeźwił mnie.

Niespodziewanie zerwałem się i zacząłem krzyczeć: - Czego ty właściwie ode mnie chcesz? Robisz mi wyrzuty tylko, dlatego, że nie widzieliśmy się przez trzy tygodnie! Nie jesteśmy w końcu małżeństwem. Mogę robić, co mi się

podoba. Teraz wolę spędzać czas z przyjaciółmi niż z tobą. Jeśli ci to nie odpowiada, lepiej będzie, gdy się rozstaniemy.

Rzucając się w napadzie szału przed jej łóżkiem, odważyłem się tylko króciutko na nią spojrzeć. Zobaczyłem jej szeroko otwarte oczy, w których pojawiły się łzy. Sandra wpatrywała się we mnie ciężko przerażona. Ale to tylko mnie bardziej rozwścieczyło. Przekornie myślałem - jesteś satanistą. Żadnych uczuć. Żadnego współczucia. Ta myśl sprowokowała mnie do dalszej awantury: - Nie potrzebuję nikogo, kto się mnie uczepli. Do łóżka też już znalazłem lepszą.

Moja nienawiść, którą zionąłem do tej biednej dziewczyny, była niczym nie uzasadniona. Musiałem ją przecież czymś skrzywdzić! Jak inaczej bym się jej pozbył? Jej płacz rozdzierał mi serce. Schwyciła moją dłoń i tylko zawodziła: - Co ja ci takiego zrobiłam? Nie chciałam cię urazić!

Błagała mnie wciąż, żebym z nią o tym porozmawiał. Ja jednak nie mogłem i nie chciałem. Bezradny odtrąciłem ją i wybiegłem z domu na złamanie karku. Później godzinami wałęsałem się po mieście, przeklinając satanistów, Piotrka i siebie. Pocieszała mnie jedynie myśl, że w ten sposób uratowałem Sandrze życie, nawet jeśli ona ma się o tym nigdy nie dowiedzieć.

## **ROZDZIAŁ 4**

Minęły prawie dwa miesiące. Na mszach pojawiałem się regularnie co tydzień. Pewnego razu kapłan poinformował mnie sucho, że już nadszedł czas mojego drugiego egzaminu. - Udowodniłeś, że potrafisz żyć i czuć jak Szatan. Dziś wieczór pokażesz, że umiesz także postępować jak Szatan. Jeżeli zdasz ten egzamin, zostaniesz przyjęty do wewnętrznego kręgu.

Byłem jeszcze przerażająco naiwny, mimo tego wszystkiego, co przeżyłem wśród satanistów. Tak naiwny, że nowe wyzwanie napawało mnie dumą. Poczułem się wyróżniony, że po tak krótkim czasie awansuję do rangi ucznia. Wiedziałem w końcu, że w zgrai było mnóstwo osób, które latami czekają nadaremnie na takie wyróżnienie. A jednak ja spośród nich zwróciłem na siebie uwagę. Byłem z siebie zadowolony, gdyż na rozkaz umiałem bez skrępowań, bez zastanawiania się nad tym i bez najmniejszych odruchów współczucia bić obcych ludzi. Prawdopodobnie Piotrek opowiedział im o doskonałym humorze, w jakim się znajdowałem po każdej takiej akcji. Uznanie i szacunek, z jakim się spotykałem, sprawiał, że czułem się szczęśliwy. Dla kapłana moja euforia była jednak dowodem na to, że przyjąłem Szatana i nadawałem się na dobrego lub raczej posłusznego ucznia. Jednego z tych, którzy przez wytrwały trening mogą osiągnąć pozycje kapłana.



Zanim minie tydzień, także i ja będę należał do grupy uczniów. Do tej starannie wybranej elity, która gromadzi się wokół kapłana. Również i mnie będzie wolno nosić brązowy habit z kapturem, dostanę szatańską biblię (szóstą i siódmą księgę Mojżesza) i odwrócony krzyż - a więc przedmioty, które na pierwszy rzut oka odróżnią mnie od zgrai zwolenników. Znajdę nowy dom, mój nowy dom. Ta myśl sprawiała mi przyjemność.

Do tej pory nie byłem świadkiem egzaminu na ucznia, a Piotrek milczał na ten temat jak zaklęty. Udzielał mi tylko najpotrzebniejszych informacji. Właściwie dlaczego? Ta uporczywa myśl psuła mój dobry nastrój. Obrazy bezlitosnego znęcania się nad ludźmi, które i mnie dotknęło podczas egzaminu wstępnego, zawładnęły moimi myślami, pozbawiły mnie pewności siebie. Ogarnęło mnie widmo strachu. Panika! Co zrobić mi tym razem? Czy podołam? Czy przeżyję?

Z miękkimi kolanami i walącym jak miot sercem zająłem wskazane mi miejsce przed ołtarzem. Sprawiałem wrażenie opanowanego, wzrok utkwilem w złotym kielichu w kształcie czaszki. W zamglonym blasku świec czaszka przybrała wyraz bezczelnie drwiącego pyska. Zamknąłem oczy i szybko potrząsnąłem głową, żeby przepędzić paraliżujące, tchórzliwe myśli. Przestań myśleć! Patrz gdzieś indziej, rozkazałem sobie.

Wkroczył kapłan w otoczeniu czterech oprawców. Jeden z nich ciągnął za sobą owcę. Sprawnie i szybko przymocowali ją do ołtarza. Do tej pory ofiara ze zwierzęcia była punktem kulminacyjnym czarnej mszy i składano ją dopiero pod koniec spotkania. Dzisiaj wszystko było inaczej. Dzisiaj ofiara z owcy rozpoczęła msze. Jako pierwszy mogłem wypić krew zwierzęcia. Kapłan podał mi kielich ze słowami: - Skosztuj tej dobrej duszy, ona da ci siłę podołać twojemu zadaniu.

Ulegle wypilem pierwszy łyk. Później kapłan podniósł kielich do ust. Także i to było niezwykle, ponieważ normalnie on pił jako pierwszy i dopiero potem podawał napój uczniom. Tym razem nie.

Kapłan odstawił kielich na blat ołtarza. Następnie pochylił się i wyciągnął z malej klatki, której wcześniej nie zauważyłem, chomika. Wetknął mi go do ręki, spojrzał surowo w oczy i rozkazał: - Jedz!

Chyba musialem się przesłyszeć! Przecież nie mówi tego serio! Zimny głos kapłana docierał do mnie coraz wyraźniej: - Masz odgryźć mu głowę!

Przerażony gapiłem się na niego, nie dowierzając własnym uszom. - Nie mogę, nie mogę - szeptałem zduszonym głosem. Niewykonanie rozkazu! Jak mogłem sobie na to pozwolić? Kapłan schwycił nagle moją lewą rękę i złamał mi mały palec. Zamiast go jednak później puścić, ścisnął go coraz mocniej. Wyłem i jęczałem. - Wsadź jego głowę do ust i odgryź! - bezlitośnie żądał

kapłan. - Jeśli tego nie zrobisz, złożymy cię w ofierze! Szatan, nasz Pan wymaga od ciebie, żebyś czerpał z tego sile i oczyścił duszę z chrześcijaństwa.

Stałem bez ruchu jak sparaliżowany. Jeden z oprawców złapał mnie i przytrzymał. Potem dwoma ciosami w żebra usiłowano przekonać mnie do wykonania polecenia. Z obrzydzeniem potrząsnąłem przecząco głową. Kapłan nie dał jednak za wygraną: - Jedz, rozkazuje ci Szatan, nasz Mistrz. Tylko w ten sposób twoja dusza zostanie oczyszczona i dostanie się do królestwa ciemności. Kapłan stanął bardzo blisko mnie. Poprzez kaptur czułem jego oddech na twarzy. Ciągłe jeszcze ścisnął moją dłoń i ból złamanej kości stawał się nieznośny. Całkowicie nieprzytomny i zrezygnowany uczyniłem to, co musiałem. Zapadła cisza. - Bardzo dobrze - pochwalił mnie mój prześladowca.

A teraz pogryź i połknij. O nie! Jak mam to zrobić? Resztkami cynizmu uciekłem się do pomocy wyobraźni. Usiłowałem sobie wyobrazić, że rozgryzam właśnie twardego cukierka. To pomogło, cholernie niewiele, ale pomogło. Mimo to potrzebowałem godzin, żeby wszystko połknąć. W tym czasie oprawcy trzymali mnie w szachu. Wciąż wzdrygałem się i chciałem zrezygnować. Kosztowało mnie to wiele trudu. Za każdą oznakę sprzeciwu i odmowy sypały się na mnie dalsze razy. Siłą powstrzymywałem się, żeby nie wymiotować. - Nie próbuj rzygać! - szepnął mi jeden z oprawców do ucha i wykręcił mi lewe ramię do tyłu tak, że mi je wywichnął. Podczas gdy ja walczyłem ze łzami, dławiłem się, połykałem i znowu się dławiłem, reszta grupy klęczała wokół nas ze spuszczonej głowami. Moim męczarniom towarzyszył monotony pomruk ich modlitw.

Kiedy już przeszedłem przez tę torturę, zostałem nagrodzony. Dostałem nowy habit, który mogłem natychmiast nałożyć i przysłonić twarz kapturem. Kapłan powrócił do ołtarza, na którym jeszcze leżała owca. Zręcznym ruchem zanurzył ręce w zwierzęciu i wyciągnął ociekające krwią serce. Podniósł je do góry na wyprostowanych ramionach i powiedział: - Przyjmijcie ofiarę i chwalcie Szatana! Nasz brat dowiódł, że ma w sobie żądzę mordu! Chwalcie Szatana!

Kaptur skrywał i chłodził moją pulsującą z bólu twarz. Pod maską z brązowego materiału mogłem nareszcie odreagować całe nagromadzone we mnie obrzydzenie. Grymasy same malowały mi się na twarzy, ale na zewnątrz starałem się zachować spokój. Ta próba pokazała mi tylko jedno - byłem bezradny wobec brutalności sekty i związany z nią na wieki. Zapomniałem już o przyjemności, którą odczuwałem w czasie akcji wspólnoty. Kapłan upokorzył mnie i dał do zrozumienia, że to on jest tym, który posiada władzę, a ja należę do tych, którzy muszą się jej podporządkować.

Kiedy Piotrek odwoził mnie rano do domu, robiłem mu wyrzuty. W końcu to on zapewniał mnie po egzaminie wstępnym, że nie może się już wydarzyć nic

gorszego. Tłumaczył się wprawdzie, ale powiedział też: - Tylko w ten sposób zbliżysz się do Szatana. Musisz czynić zło, a nienawiść ma stać się treścią twojego życia. Przechodząc przez trening obrzydzenia pozbywasz się zakorzenionych w tobie wartości chrześcijańskich. Potem poczujesz w sobie moc Szatana. Obiecując mi tę moc, która miała mi dać niepojętą siłę, Piotrek usiłował mnie pocieszyć. Nie wierzyłem w ani jedno słowo, miałem tylko nadzieję, że to prawda. Powoli zacząłem pojmować, że nikt nie przyłączyłby się do tych czcicieli Szatana, gdyby od początku grali w otwarte karty.

Tego ranka Piotrek zawiózł mnie do szpitala, chociaż wcale go o to nie prosiłem. Lekarz dyżurny opatrywał mnie nie po raz pierwszy. Po badaniu powiedział kręcąc głową: - Czy nie mógłbyś prowadzić normalnego życia, chłopcze? Co jeszcze zamierzasz zdziałać?

Zdawał sobie jednak sprawę, że wypytywanie i dochodzenie prawdy spowoduje tylko serię kłamstw i nic więcej. Z tego powodu nie pytał mnie już o przyczynę moich obrażeń. Lubiłem go. Uśmiechnąłem się do niego zadziornie, a on zabrał się do pracy. Nastawił mi ramię, założył opatrunek na moje obolałe żebra, wsadził w gips złamany łokieć i palec. I tak nie mogłem zbyt długo nosić łagodzących ból opatrunków. W internacie zgłosiłem, że jestem chory i skłamałem, że spędzę te trzy dni zwolnienia u siostry. W rzeczywistości przenocowałem u mojego przyjaciela z dzieciństwa Svena.

Zanim wróciłem do internatu, pomógł mi, choć niechętnie, zdjąć gips. Nie rozumiał, o co mi chodzi, ale ktoś mnie wówczas rozumiał? Poza tym działałem według zasady satanistów - głos swoją wiarę, ale nigdy wśród chrześcijan, bo jej nie pojmą. Jak wytłumaczyłbym nowy gips mojemu wychowawcy? Jak mógłbym opowiedzieć katolickim wychowawcom o sile Szatana?

Nie miałem ochoty wysłuchiwać nudnego zrządzenia. Aby uniknąć nowego przesłuchania, wołałem już bez szemrania chodzić na praktykę malarską ze spuchniętymi i bolącymi kończynami. Żeby przetrzymać dzień, zaciskałem zęby i starałem się zapomnieć o bólu, powtarzając bez przerwy, jak modlitwę przewodnią myśli satanistów: - Służ Szatanowi, on da ci siłę. Służ Szatanowi, on da ci siłę...

Właściwie miałem potężnego cykora, że bogobojni wychowawcy w internacie dowiedzą się o moich praktykach satanistycznych. Ta obawa pomogła mi wytrzymać bez ochronnego opatrunku gipsowego. Wmawiałem sobie, że działam w służbie Szatanowi. Będzie ze mnie dumny. Jednocześnie odczuwałem pogardę dla wychowawców. Cóż to byli za głupcy! Zarówno opiekunowie, jak i koledzy. **Ja, Łukasz - niechciane dziecko, ja, Łukasz - z domu dziecka, byłem teraz uczniem Szatana i posiadałem moc Lucyfera.** A ta moc dawała mi nieprawdopodobną siłę. Siłę Szatana. Dzięki niej byłem

wystarczająco pewny siebie, żeby odgrywać coś przed tymi nie mającymi o niczym pojęcia zarozumialcami. Podobałem się sobie w roli odszczepieńca, odmienca i męczennika. Mój ból zniknął jak ręką odjął. Uśmierzyłem go. Działalem jak w transie. Czułem się wspaniale.

W następnych dniach musiałem pić bardzo dużo, żeby pozbyć się z gardła futrzanego osadu. Jednak tak naprawdę ten posmak chomika nie chciał minąć. Straciłem również apetyt, na mięso nie byłem w stanie spojrzeć. Wciąż bolał mnie brzuch, a kiedy mi się odbijało, czułem w ustach zatęchły smród. Ale nawet nie mogłem wsadzić palców w gardło! Mysi, ze miałbym zobaczyć to zwierze jeszcze raz, w jakiegokolwiek postaci, doprowadzała mnie do szaleństwa.

Im mniej dni pozostawało do następnej soboty, tym mniejszą miałem ochotę na spotkanie z Szatanem. Bałem się następnej mszy. Odczuwałem strach przed tym, co jeszcze może się zdarzyć. Ale pojawiało się we mnie też niezrozumiałe pragnienie, które zniewalało myśli i kazało mi iść na mszę. W końcu nie na każdej mszy będę musiał zjadać chomika. Ta myśl uspokoiła mnie. Znowu zakiełkowała we mnie odwaga. Ciągnęło mnie do tej wspólnoty, która właściwie wspólnotą nie była. Nie podejmowaliśmy wspólnych decyzji, robił to za nas kapłan. Mimo to była to moja grupa. Byli jedynymi ludźmi, dającymi mi wspaniałe, drogocenne poczucie, że nie jestem zerem. Pod koniec tygodnia nastrój mi się poprawił i czułem się przyjemnie pusty. Tak, pusty, gdyż wszystko we mnie wygaśło i umarło. Czy to były moje uczucia? Moja dusza? Zdawało się, że pożegnałem się z dobrą stroną mojego sumienia. Trening obrzydzenia osiągnął swój cel. Zalecono mi tylko pić regularnie krew, żeby oczyścić duszę z chrześcijaństwa. Poszedłem w tym celu do rzeźnika i wymyśliłem historyjkę o babce, która przygotowuje ze świńskiej krwi znakomite sosy. Na twarzy rzeźnika nie pokazał się cień niedowierzania, a ja dostałem to, czego chciałem.

Po co dobrowolnie, bez najmniejszego przymusu piłem krew? Stało się dla mnie jasne, że jestem obserwowany przez demony Pana. Wiedzieli tak nieprawdopodobnie wiele o mnie. Za dużo. Sprawy, o których nie mógł mieć pojęcia nawet mój stary przyjaciel Piotrek, gdyż wydarzyły się już po wyprowadzce z domu i rozstaniu z nim. Uwierzyłem, że sataniści są wszędzie. Gdybym nie pił tej krwi w internacie, jaka kara spotkałaby mnie tym razem? Może pobito by mnie, a może złożono ze mnie ofiarę. Zawsze towarzyszył mi koszmar, strach górujący nad wszystkim. Śmierć na ołtarzu u satanistów. Byłem więźniem własnego strachu. Nie, to już wolę pić krew. Krew smakuje lepiej od śmierci. A pożyć jeszcze chciałem, przynajmniej jeszcze trochę. W porządku, moje życie układało się do dupy, ale nie chciałem tak szybko rezygnować. Jeszcze nie!

W początkach kwietnia, jakieś trzy tygodnie po moim egzaminie, odwiedził naszą grupę amerykański kapłan. Potwierdził opowieści, że jesteśmy częścią organizacji międzynarodowej, posiadającej dużą władzę i ogromne wpływy. Ten kapłan był inny, sprawiał obrzydliwe i niesamowite wrażenie. Jeszcze przed rozpoczęciem mszy zostałem, jako nowy uczeń, wezwany do pokoiku na tyłach budynku. Piotrek zdążył mnie tylko krótko ostrzec: - Mów tylko to, co myślisz i w żadnym wypadku nic innego.

Wiedziałem już, że mogę polegać na jego radach. Bardzo często mi pomogły. Kiedy stanąłem przed tajemniczą sylwetką skrytego pod habitem Amerykanina, ogarnęło mnie dziwne, paraliżujące uczucie. Promieniowało od niego coś obcego, zagrażającego, prawie demonicznego. Mogłem to odczytać tylko z jego oczu, a myliłem się rzadko. Będąc wśród satanistów nauczyłem się oceniać ludzi po wyrazie oczu. Zresztą nie miałem innej możliwości, ponieważ wszyscy byli stale zamaskowani.

W jego spojrzeniu była bezwzględność i surowość, kiedy spytał szorstko: - Jaka wiarę przyjąłeś? Z dobrym wychowaniem to ten typ miał niewiele wspólnego. - Żadnej - odpowiedziałem, pamiętając słowa Piotrka, żeby trzymać się prawdy. Na tym się jednak skończyło. Jego pięść wylądowała na mojej twarzy. Jednocześnie kopnął mnie w udo. Upadłem na ziemię, ale on nie przestawał na mnie nacierać. Bił jak profesjonalista, gdyż nic mi nie złamał. Zwijając się z bólu leżałem przed nim na podłodze i nie mogłem się podnieść. - Przyjąłeś wiarę Szatana, a poza tym żadnej innej - usłyszałem tuż nad uchem jego głos. Ten facet znakomicie mówił po niemiecku. Prawie nie było słyhać amerykańskiego akcentu. - Zapamiętaj to sobie - wiarę Szatana! - powtarzał to zdanie na okrągło, nie przestając mnie kopać.

Dobrze - myślałem - wierzę w Szatana i jestem diabłem. Przysięgam, że z moich ust nie wydobędzie się żaden dźwięk. Mimo to on syknął mi do ucha: - Nie jesteś diabłem, jesteś synem Szatana.

O rany! Ten facet czytał w myślach! To było najgorsze odkrycie podczas tego spotkania. Ukradł mi moje jedyne schronienie, moją jedyną własność. Moje najskrytsze myśli były dla niego jak otwarta książka. Zgniółł mnie, wdarł się we mnie jak złodziej do skarbcza, Po kryjomu, z wyrachowaniem i po cichu. "Myśli są wolne" - mogłem zapomnieć o tym haśle. W mig udało mu się dokonać dzięki swoim nieprawdopodobnym zdolnościom czegoś, czego nie udało się zrobić naszemu kapłanowi od chwili mojego wstąpienia do sekty. Złamał mnie, pozbawił mnie wolności - wolności myślenia. Stałem się przezroczysty jak szkło i tak samo jak ono, kruchy. Był czarodziejem, Szatanem w ludzkiej postaci.

Włosy stanęły mi dęba, zimny pot wystąpił na ciele. Zacisnąłem oczy i starałem się za wszelką cenę przestać myśleć. Tylko nie myśleć, przyjąć wszystko bez sprzeciwu. Pod wpływem jego kopniaków straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, Amerykanin wciąż jeszcze stał koło mnie. Rozmawiał cicho z dwoma innymi uczniami. Chciałem wyjść. Uciec z tego okropnego pokoju, uciec stąd, od tego agresywnego szaleńca z siłą Szatana. Po prostu zwać. Marzyłem, żeby uwolnić się od tej niepojętej siły, od Szatana, który czerpał przyjemność z mojego cierpienia, bólu i upokorzenia.

Nagle kapłan odwrócił się do mnie. Nieświadomie zamknąłem oczy i wstrzymałem oddech. Moje ciało i twarz owiał lodowaty oddech kapłana. Wyszepiał tonem nie znoszącym sprzeciwu: - Jeśli odejdziesz, zginiesz. Nim to nastąpi, będziesz nieskończenie nieszczęśliwy. Nie pojąłem wówczas, o co chodzi z tym "nieskończenie nieszczęśliwy". Nic mi to nie mówiło. Zapamiętałem jednak to zdanie. Dopiero dużo później miałem zrozumieć jego sens.

Z odrazą podniósł mnie do góry, przydusił ramieniem od tyłu i wyskrzecztał: - Jeśli poprzesz Szatana i przyjmiesz jego wiarę, będziesz szczęśliwy. Nie odpowiedziałem i wstrzymałem myśli. Dopiero na zewnątrz ośmieliłem się pomyśleć: Jak można być szczęśliwym, kiedy jest się ciągle bitym? Tylko czysta przemoc, i nic więcej, miała mnie nauczyć czcić Szatana. To była ich recepta, ale mnie odstraszała ta ciągła przemoc. Nie wiem właściwie dlaczego, bo przecież byłem do niej przyzwyczajony. Od dzieciństwa było to jedyne prawo, któremu musiałem się stale podporządkowywać.

Na przykład mój ojczym zmienił to prawo w okrutną zabawę. Kiedy miałem trzy lata, poszliśmy na spacer nad kanał. Nagle ojczym doszedł do wniosku, że nadeszła pora, żebym nauczył się pływać. Nie zastanawiając się ani chwili, wrzucił mnie do wody. Walczyłem o życie! Nawet kiedy już po tym wydarzeniu wiedziałem, że umiem utrzymać się na powierzchni, unikałem basenów jak ognia. Od tamtej pory nie wszedłem jeszcze dobrowolnie do wody. Innym razem ojczym zabrał moją młodszą siostrę Katię i mnie na kiermasz. Czy to było mile? Także i tam obowiązywała zasada - będziemy się dobrze bawić, ale to ja ustalam, co znaczy dobra zabawa. Pomimo że panicznie bałem się kolejki wysokościowej, zmusił mnie do jazdy w zawrotnym tempie przez góry i doliny. Po prostu zignorował moje wrzaski i płacz. Od tego czasu cierpię na lęk wysokości.

Chociaż z jednej strony odpychało mnie bezlitosne okrucieństwo sekty, z drugiej czułem się wśród satanistów jak u siebie. Może dlatego, że metody, którymi się posługiwali, przypominały mi dzieciństwo. Amerykański kapłan nie używał na przykład żadnych formułek grzecznościowych i nie marnował czasu

na powitania. Narzucał każdemu swoją wolę - bezpośrednio, autorytatywnie i bez szacunku dla drugiego człowieka, co mnie wciąż zdumiewało. Pominąwszy już jego zdolności odczytywania myśli, był dla mnie osobą, przed którą czułem niesłychany respekt. Końcowy efekt satanistycznej tresury. Był odpychający i fascynujący jednocześnie. Człowiek - robot. Czy chciałem być taki jak on? Bezsensowne pytanie, moja droga była wytyczona przez kapłana i narzucona przez Szatana. To już zrozumiałem dobrze. Tego dnia straciłem nadzieję, że kiedykolwiek wyjdę z sekty.

## **ROZDZIAŁ 5**

W następnych miesiącach poznawałem lepiej Szatana i jego ideologię. W wyniku tych nauk miałem pozbyć się w myśleniu i działaniu wszelkich cech uznanych powszechnie za zalety człowieka - ciepła, życzliwości i współczucia. Po prostu miały zniknąć. Był to długi okres przygotowań do drugiego egzaminu.

Wszystko zaczęło się dosyć niewinnie. Z początku miałem napadać na ulicy obcych ludzi. Kapłan wysyłał ze mną zawsze dwie osoby towarzyszące. Miały one za zadanie wskazać mi na ulicy wybraną ofiarę. Poza tym pilnowali, żebym tego biednego faceta dostatecznie mocno stłukł. Po takiej akcji składali kapłanowi sprawozdanie. Na tym sprawa kończyła się.

Za pierwszym razem żal mi było młodego mężczyzny, którego mi wyszukali. Niczego nie przeczuwając, stał na ulicy w pobliżu dyskoteki, flirtując z dwiema dziewczynami. To był właśnie ten, którego miałem załatwić. No tak, musiałem jakoś zacząć... Obraziłem jedną z dziewczyn. Zadziałało. Przyjął rolę bohaterskiego obrońcy i zaczął się ze mną kłócić bez przekonania. Nie zdawał się brać mnie na poważnie. Jego lekceważąca poza, taksujące spojrzenie, którym mnie obrzucał, wyniosła mina i głupia gadanina doprowadziły mnie do szału. Zawsze chętnie odpierałem argumenty ciosami. Nauczyłem się tego od ojczyma. Tak więc przyładowałem mu jako pierwszy. Podskakiwałem przed nim tak, jak robią to bokserzy. - No, chodźże, odważ się maminsynku! - prowokowałem go, zadowolony z siebie.

Zaskoczony zrobił krok do tyłu i wyraz obojętności zniknął z jego twarzy. Przestraszony rozglądał się bezradnie wokół. Ten młody człowiek stracił nagle pewność siebie, ale ponieważ był w towarzystwie, nie mógł się już wycofać. Usiłował mnie zaatakować. Uśmiechnąłem się pewien zwycięstwa. Nie miał żadnej szansy w bójce ze mną. Wiedziałem o tym. Po pierwszym uderzeniu wzrósł mi poziom adrenaliny. Dwa, trzy ciosy w twarz, jeden w żołądek i osunął się na ziemię. Z okrzykiem triumfu rzuciłem się na tego zarozumiałego gnojka i tłukłem go, ile wlezie, tak jakby to on był winien, że znalazłem się w sytuacji bez wyjścia. Biłem go jak oszalały. Straciłem kontakt z otoczeniem, zupełnie jakbym

był odurzony. Dzisiaj nie umiem nawet powiedzieć, czy mój przeciwnik się bronił. Nagle pojawił się Piotrek, oderwał mnie od niego i krzyknął: - Starczy, zwiewamy!

Z dyskoteki biegło do nas kilku osiłków, więc czym prędzej wzięliśmy nogi za pas. Biegliśmy jak najszybciej, dopóki nie upewniliśmy się, że nikt nas nie goni. Czułem się wspaniale, byłem podekscytowany i szczęśliwy. Kiedy wróciliśmy na teren fabryczny, kapłan pochwalił mój wyczyn podczas mszy. Zyskałem uznanie, a moja siła została doceniona. Czego można chcieć więcej?

Niestety, Szatan chciał więcej. Nie zadowolił się tym, że byłem w stosunku do obcych agresywny, podły i złośliwy. Przyszła kolej na moich przyjaciół. Dirk był pierwszym, którego musiałem poświęcić Szatanowi. Przybyliśmy właśnie z Piotrkim do hali, kiedy podszedł do nas kapłan. Nie zdążyłem jeszcze nawet włożyć habitu. Bez owijania sprawy w bawełnę przeszedł do rzeczy: - Mam dla ciebie zadanie - Dirk Weber. Idź i załatw go! - Ale, ale to jest przecież mój przyjaciel - wyjąkałem w szoku. Na pewno zaszła jakaś pomyłka. - Jednak nie! Oczywiście nie. - Satanizm nie toleruje przyjaźni. Przyjaźń jest chrześcijańską wartością, którą musimy zniszczyć - zagrzmiał kapłan. Potem zaczerpnął powietrza i dodał prawie przyjaźnie: - To zadanie pomoże ci lepiej zrozumieć Szatana i zbliżyć się do naszego Pana. Jego przyjazny ton ośmielił mnie do zadania pytania: - A jeśli tego nie zrobię?

W zimnych, rybich oczach kapłana pojawił się błysk, ale odpowiedział mi spokojnie: - Zostaniesz złożony w ofierze. Z ciężkim sercem poszedłem wykonać zadanie. Nie musiałem oglądać się za siebie. Oczywiście moi kontrolerzy nie spuszczą mnie z oczu. Co najmniej dwóch oprawców kapłana podążało za mną. A więc głowa do góry, wypiąć pierś, wyprostować plecy i nadać krokom energiczniejszy rytm. Nie powinni zobaczyć, jakie mam podłe samopoczucie.

Droga do knajpy, w której bywał Dirk, zajęła mi pół godziny. Zanim wszedłem, pomodliłem się do nieba (błuźnierca!): - Panie Boże, nie pozwól, żeby on tu był! On jednak był i ucieszył się ogromnie na mój widok. - Jak się masz, stary! Chodź tu, postawię ci kolejkę - darł się przez cały lokal. W ostatniej chwili zawałałem się jeszcze. Oblał mnie zimny pot. Zastanawiałem się gorączkowo, jak rozłoszczę mojego dobrodusznego, grubego i miłego przyjaciela. Aby zyskać na czasie, przyjąłem od niego piwo, które radośnie podstawił mi pod nos. Nie odpowiedziałem na jego uśmiech. Przyszło mi to z trudem. Kosztowało mnie dużo wysiłku, żeby wyżyć się na dobrym kumplu.

Prowokacyjnie wyrwałem mu szklankę z ręki i wypłem jeden łyk. Potem wsparłem się o bar i z obrażoną miną patrzyłem ponuro przed siebie. Dirk usiłował dowiedzieć się, o co chodzi. - Człowieku, co się z tobą dzieje? Czy jakaś panienka puściła cię w trąbę? Chodź, zabawimy się! Próbowałem naśladować



obojętny sposób mówienia kapłana: - Odczep się ode mnie, stary. Nie masz o niczym pojęcia! Dałem mu przy tym kuksańca łokciem w żebra. Wystarczająco mocnego, żeby wytrącić mu z dłoni szklankę z piwem, którą właśnie podnosił do ust. W knajpie zrobiło się naraz cicho.

Dirk próbował wciąż jeszcze załagodzić sytuację. Lekko rozdrażniony, ale bez najmniejszej ochoty uderzenia mnie, powiedział ze zrozumieniem: - Chodź, Łukasz, postawisz mi teraz piwo, usiądziemy sobie z boku i pogadamy, powiesz o co chodzi!

Dostrzegłem szansę dla siebie. - W porządku, tylko że nie mogę mówić tutaj w środku. Wyjdźmy na zewnątrz. Piwo dostaniesz po powrocie. Czułem się jak potworna świnia. Postąpiłem jak ohydny, podły zdrajca. Nienawidziłem siebie samego za tę plugawą, podstępną gadkę. Nie było jednak wyjścia - on albo ja. Nie chciałem skończyć na ołtarzu, przywiązany tymi budzącymi grozę łańcuchami. Nie miałem wyboru. Musiałem dalej brnąć w tę ohydną grę.

W geście zaufania Dirk objął mnie przy wyjściu swoim mocnym ramieniem. Na zewnątrz odeszliśmy kilka kroków od knajpy. Nie zamieniliśmy ani słowa. Czy nie zauważył, że drżałem na całym ciele? Dlaczego nie uciekasz, idioto, krzyczało we mnie wszystko. Zaraz potem dodałem sobie odwagi. Co za głupiec. Zasłużył sobie na to!

Dirk zatrzymał się, zwrócił do mnie z westchnieniem i zaczął nalegać: - No, mów, wywal to z siebie! Przecież nie może być aż tak źle! - Jest jeszcze gorzej niż źle, ale nie zrozumiesz tego - odpowiedziałem, wziętem zamach i z całej siły walnąłem go w żołądek. Z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami Dirk zatoczył się do przodu. Wykorzystałem okazję na cios sierpowy w szczękę. Podczas upadku głowa odskoczyła mu do tyłu. Dwa, trzy kopniaki w żebra. Starczy! Obiecałem sobie szybko załatwić sprawę. Nie powinien przynajmniej długo cierpieć. I nie powinien mieć czasu, żeby wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia i współczucie.

Zanim stamtąd zwałem, przewróciłem go na bok. Nie chciałem przecież, żeby udusił się krwotokiem z nosa lub rzygowinami. Potem uciekłem. Moi kontrolerzy musieli wszystko widzieć. Świadom obowiązku pobiegłem z powrotem na teren fabryczny, narzuciłem na siebie habit i niepostrzeżenie wmieszałem się w tłum uczniów. Msza rozpoczęła się już dawno.

Tego typu przygotowania do następnego egzaminu trwały przez miesiąc. Prawie co tydzień dostawałem podobne zlecenie. Ledwo przyszedłem, a już kapłan zarzucał mnie kolejnymi nazwiskami: Christoph Hager, Werner Siegländer, Detlef Kooster... Byli koledzy z klasy, sąsiedzi, znajomi, przyjaciele. Bez słowa sprzeciwu i posłusznie natychmiast spełniałem swój obowiązek. Na

pokaz przyjąłem pozę zahartowanego. Od środka gryzło mnie nieczyste sumienie. Odczuwałem współczucie dla moich ofiar i wstyd. Tak, wstydziłem się napadać na nieświadomych niczego, ufających mi przyjaciół. Nadużywałem ich zaufania jak wyrachowana, nieobliczalna bestia. Do tego dochodziła bezradność. Byłem więźniem bez żadnych praw, bez wolności słowa i podejmowania decyzji. Postanowiłem więc zachować dystans do moich poczynań. Wyobrażałem sobie w tym celu, że jestem kimś innym. Robotem. Bez czucia i słuchu. Początkowo było to bardzo trudne, ale z czasem pomagało mi. Żebym chociaż wiedział, po co mam to wszystko robić.

Próbowałem wypytać Piotrka. To "zabijanie przyjaźni", jak on to nazwał, jest treningiem zahartowującym. Wyjaśnił mi, że jest on potrzebny, żeby mnie przygotować do następnej próby. - Po co ci przyjaciele? To są pasożyty. Chcą twoich pieniędzy, twojej uwagi, współczucia. Gównu! Teraz masz nas. I musisz udowodnić, że jesteśmy dla ciebie ważniejsi niż starzy kumple. - A co z nami oboma? - sprzeciwiłem się. - Przecież my też jesteśmy przyjaciółmi?! - My jesteśmy wspólnotą. Zapomnij to głupie słowo - przyjaźń - padła szorstka riposta. Zabolęła mnie jego odpowiedź. Dlaczego właściwie?

Im dłużej o tym myślałem, tym większy sens miała ta teoria uczuć. Żadnych przyjaciół, żadnych emocji, a więc i żadnych rozczarowań. To chyba ułatwia życie? Szatan chciał przecież dla mnie jak najlepiej. Już to pojąłem. Tak więc dalej wypełniałem te pozornie bezsensowne rozkazy. Ślepy, głuchy, z coraz większą pogardą i obojętnością w stosunku do ludzi.

Andy, Matt, Geggi, Werner... wszystkich spotkałem niby przypadkiem, i zgodnie z rozkazem, pobiłem. W ten sposób do momentu drugiego egzaminu straciłem około dwudziestu starych, dobrych przyjaciół. Tylko o tym nie myśleć! Jednak tłukąc moich kumpli tak, że potrzebowali pomocy lekarskiej, nie wiedziałem, kogo nienawidzę bardziej - Szatana czy siebie.

Niepokoiliła mnie wciąż jedna sprawa - skąd kapłan bierze wszystkie te nazwiska? Najpierw podejrzewałem Piotrka, ale skąd mógł znać ludzi, których poznałem mieszkając w różnych miastach, w internatach? To mogła być sprawka amerykańskiego kapłana, tego który potrafił czytać w myślach. Od tej pory starałem się nie myśleć już więcej o przyjaciółach. Nawet kiedy w pobliżu nie było żadnego satanisty. Nigdy nie mogłem być pewien.

Podczas napadów na przyjaciół zasłaniałem się tylko trochę. Owładnęła mną cicha chęć odczuwania bólu. Nic z tego jednak nie wyszło. Moje ofiary prawie się nie broniły. Czy dlatego, że nie mogły pojąć, po co ja to robię? Czy dlatego, że ich niewprawne ciosy nie były w stanie mnie skrzywdzić? Treningi prowadzone przez kapłana opłaciły się. Moja technika uderzenia poprawiała się stale, dzięki wielu lekcjom pokazowym. A może była to zasługa Szatana, który

przychodził mi z pomocą, sprawiając, że stawałem się silny i odporny na ciosy. Zamieniałem się w potwora, przed którym ja sam odczuwałem obawę. Trwała moja bezsensowna walka przeciwko życiu - o życie.

Nie wiedziałem już, kim jestem. Czułem się związany z satanistami, a potem odzywała się stara lojalność w stosunku do moich dawnych przyjaciół. Kiedy wiedziałem, że nikt mnie nie obserwuje, usiłowałem kilkakrotnie usprawiedliwiać się przed moimi ofiarami. Dawałem wyjaśnienia, które nawet mnie wydawały się niewiarygodne, bez znaczenia i oklepane: - Nie wiem, co we mnie wstąpiło... Za dużo alkoholu we krwi... Mam chandrę... Żałosne.

Obrzucali mnie nieufnym spojrzeniem, odwracali się plecami i zostawiali samego. Żeby chociaż na mnie krzyczeli albo próbowali bić! Na pewno bym się nie bronił. Ale nawet tego nie byłem godny. Coraz szersze kręgi zataczała wieść - Łukasz zwariował, jest agresywny i nieobliczalny. W ten sposób odwrócili się ode mnie również ludzie, których do tej pory zaoszczędził wybór satanistów. Sekta osiągnęła swój cel. Straciłem przyjaciół. Co ta strata miała dla mnie oznaczać, spostrzegłem dużo później. Przyjaźń łączy w sobie poczucie przynależności do kogoś, zrozumienie, zaufanie, akceptację. Kiedy nie ma się przyjaciół, nie ma też nikogo, do kogo można się zwrócić po pomoc. Tylko odizolowanie, samotność i bracia z sekty. To było właściwym celem treningów zahartowujących, ale nie rozumiałem tego wówczas. W moim życiu obowiązywała tylko jedna zasada - wykonuj rozkazy albo zginiesz - a umierać jeszcze nie chciałem. Jeszcze nie.

W mojej pamięci zachowały się pobite i poranione twarze przyjaciół. W nocnym koszmarze pojawiali się oni w gronie nieboszczyków. We śnie, z którego przerażonego wyrywał mnie mężczyzna z nożem, także na nich skapywała krew z tego niebezpiecznie czerwonego nieba.

## **ROZDZIAŁ 6**

W internacie zaczęły się trudności, ponieważ rano spałem zbyt długo i stale spóźniałem się na zajęcia. Jak mogłem im wytłumaczyć, że strach przed tym lub innym koszmarem nocnym nie pozwalał mi zasnąć. Całymi nocami włóczyłem się po domu, schodami w górę i w dół, do ogrodu i z powrotem do pokoju. Żeby tylko nie zamykać oczu! Żeby tylko nie zasnąć! Jednocześnie bałem się milczenia nocy. Nie mogłem wytrzymać ciszy panującej przed zaśnięciem. Moje zmysły wyostrzały się. Ze wszystkich stron docierały do mnie szmery - szepczące głosy, przemykające cienie. Czy były to duchy? Demony? Czy nasłani przez satanistów szpiedzy, którzy mieli mnie kontrolować?

Moim jedynym przyjacielem i pocieszycielem w tym czasie był alkohol. Nie było to jednak mile widziane w internacie. Musiałem wysłuchiwać wciąż od

wychowawców bezsensownych gadek. W jakiś sposób zajmowali się mną oczywiście. Próbowali mnie podejść różnymi sztuczkami pedagogicznymi. Czy miałem powiedzieć im prawdę? Zaufać przynajmniej jednemu z nich? Czy w ogóle by mi uwierzyli? Nigdy! W ten oto sposób coraz bardziej zaplątywałem się w sieć kłamstw, odrzucenia i nieufności.

Myślałem nawet o samobójstwie. Coraz częściej, ale miecz Damoklesa wisiał zbyt blisko mnie. Podczas jednego ze szkoleń, usłyszałem. - Oczywiście istnieją durnie, którzy uważają, że uda im się uciec od żądań Szatana, gdy popełnią samobójstwo...

Jestem pewien, że kapłan uśmiechał się, kiedy cichym głosem opowiadał o konsekwencjach tego czynu: - ale przecież samobójstwo musi zostać ukarane. Tak chce Szatan. Sądźcie, że nie można ukarać martwego? Mylicie się. Członek jego rodziny, prawdopodobnie ktoś, dla kogo samobójca był bliską osobą, zginie na stole ofiarnym. I możecie być pewni, że będzie to powolna i okrutna śmierć.

Ostatnie wyjście, ostatnia droga ucieczki - wolna śmierć, została zniweczona. Poza tym jego wypowiedzi nie robiły na mnie dużego wrażenia. Przyjmowałem do wiadomości wszystko, co usłyszałem, i tak nie da się tego zmienić. Czy złapią moją siostrę Sylwię, czy też jej wówczas ośmiomiesięcznego synka - Daniela? Wszystko jest możliwe. Piotrek nauczył mnie już, że historie zasłyszane podczas spotkań trzeba brać jak najbardziej serio. Włosy stawały mi dęba, gdyż mówiono nie tylko o bezsensownych, według satanistów, samobójstwach, ale poświęcano też coraz więcej miejsca ofiarom z krwi. Przynajmniej teoretycznie byłem wiec przygotowany na noc, kiedy po raz pierwszy miałem być świadkiem ofiary złożonej z niemowlęcia.

Zaraz po przybyciu do hali usłyszeliśmy przenikliwe krzyki kobiety. Następowały między nimi długie przerwy. Nie miałem jeszcze pojęcia, o co chodzi. Jednak wkrótce kapłan wyjaśnił nam i poinformował całą zgromadzoną sektę o radosnym wydarzeniu, które nas oczekuje. Otóż u jednej z satanistek, którą właśnie w tym momencie opiekują się w pomieszczeniu obok dwaj grupowi lekarze, wystąpiły dziś rano bóle porodowe. - Szatan pragnie ofiary jeszcze dzisiaj - oznajmił kapłan zdecydowanie. Rozpoczął msze i modliliśmy się trzy godziny. Nasze mamrotanie zagłuszane było ciągle przerażającymi krzykami przyszłej matki. Sądząc po odgłosach, musiała potwornie cierpieć. Nie sądzę, żeby ci dwaj "lekarze" w jakikolwiek sposób złagodzili jej ból.

Krzyki wzmogły się, aż wreszcie stało się. Jeden z uczniów przyniósł z sali obok maleńkiego, nagiego noworodka i podał go kapłanowi. Zupełnie sparaliżowany utkwiełem oczy w kapłanie i starałem się nic nie widzieć. Nie chciałem widzieć, co robią. Świeżo upieczona matka zwlokła się ze swojego legowiska z sąsiedniej sali, żeby wziąć udział w ceremonii. Jej obojętność była

zupełnie nie z tego świata. Zrobiło to na mnie przerażające wrażenie, innym zaś zaimponowało. W końcu przed chwilą urodziła dziecko. Skrywała swoje uczucia - cóż za dowód miłości do Szatana! Żeby jeszcze bardziej zbliżyć się do niego, pozwolono jej zjeść maleńkie serduszko. Morderstwa dzieci stały się częstym punktem programu. Nigdy nie dopuściłem myśli o tym i nigdy też o tym nie rozmawiałem. Obojętne. Obojętne! To jest prawo Szatana. **Każde spłodzone w sekcie dziecko musi być złożone w ofierze Szatanowi.** Satanista jest posłuszny. Jedyne kobiety, które zaszły w ciążę z kapłanem Szatana, mogły zachować swoje dzieci. Były one wychowywane na dzieci diabła. Wmawiano nam, że wszystkie pozostałe dzieci przychodzą na świat z martwą duszą i dlatego muszą zginąć. Niektóre zaraz po narodzinach, inne w wieku trzech, sześciu miesięcy. To zależało od Szatana i od tego, kiedy nakazał złożenie ofiary kapłanowi. Tak więc obawa o mojego małego siostrzeńca nie była taka całkiem nieuzasadniona. Nie miałoby najmniejszych skrupułów, żeby go zamordować, kiedy popełniłbym samobójstwo.

Musiałem więc żyć choćby z tego powodu! I być dalej bezwarunkowo posłuszny. Kapłan osiągnął swój cel. Stałem się całkowicie uległy, bezwolny, zdany na pastwę Szatana i jego zgrai. Pranie mózgu odbyło się tak, że nawet tego nie spostrzegłem. Czułem się coraz bardziej samotny. Jedyne, co mi pozostało, to moi bracia w Szatanie. Szatan, mój pan i władca, i kapłani, którzy coraz bardziej oplątywali moją duszę i zabijali we mnie wszystko dobre, tak jak ja musiałem "pozabijać" przyjaźnie.

Resztką moich emocji zachowywała się tak, jakby jeździła kolejką wysokogórską. Moje nastroje wahały się od depresji przepełnionej poczuciem winy do nieopisanych stanów euforii. W niektórych momentach zachwycało mnie, że koledzy w pracy i w internacie schodzili mi z drogi. Z politowaniem współczułem im z powodu ich niewiedzy i uważałem się za lepszego. Silny, nietykalny i swobodny. Kiedy indziej znów czułem się zupełnie pusty w środku, pozbawiony wszelkich uczuć jak upiór. W takim stanie nikt, ani nic nie mogło do mnie dotrzeć, tak jakbym już umarł. To było potworne, ale nic nie mogłem zrobić. Istniała w tym czasie jeszcze tylko jedna osoba, którą świadomie spostrzegałem - Natalia. Zналиśmy się od wieków, byliśmy kiedyś nierozłącznymi kumplami. Była jedynym człowiekiem, któremu mogłem opowiedzieć o wszystkich moich problemach, troskach, lękach i potrzebach. Istniała między nami jedna z tych nielicznych, platonicznych, ale bardzo bliskich przyjaźni między kobietą i mężczyzną. Właściwie poszlibyśmy też chętnie razem do łóżka, gdyby nie obawa, że zniszczymy tym nasz układ.

Od kiedy wstąpiłem do sekty, widywaliśmy się rzadziej. Było mi trudno utrzymać przed nią tajemnicę. Spotkania z nią stały się męczarnią, ponieważ

bardzo chciałem jej o wszystkim opowiedzieć. Otworzyć przed nią swoje serce. Tylko ten jeden jedyny raz o tym porozmawiać. Nie chciałem jej jednak narażać. Prawdopodobnie nie pojęłaby beznadziejności mojej sytuacji. Zresztą jak mogłaby? Przecież nie można opisać tych rzeczy, trzeba przez nie przejść. Z pewnością szukałaby sposobu, żeby mi pomóc. Mogłoby to ją kosztować życie. Milczałem więc dalej i coraz bardziej zamykałem się w sobie. Za każdym razem, gdy się widywaliśmy, drżałem o jej bezpieczeństwo. Idąc do niej nadrabiałem drogi, usiłowałem zgubić ewentualnych prześladowców. Byliśmy jak brat i siostra, ale nie mogłem być pewien, że moi obserwatorzy nie wezmą jej za moją dziewczynę. Zmusiliby mnie wtedy, żebym zabrał Natalie na msze... Nie do pomyślenia!

Naturalnie spostrzegła zmianę we mnie. Moje wahania nastrojów, mój brak koncentracji w czasie rozmowy, moja niecierpliwość i zapalczywość. Nawet jeśli widywaliśmy się rzadko, nie udawało mi się opanować przynajmniej na czas tych krótkich dwóch czy trzech godzin. W takich momentach Natalia zawsze robiła się smutna. Próbowwała czytać w mojej twarzy, podczas gdy zapewniałem ją wciąż gorąco, że wszystko jest w najlepszym porządku. A kiedy na pożegnanie brała mnie w ramiona i przytulała mocno, czułem się przynajmniej na chwilę lepiej.

## **ROZDZIAŁ 7**

Także Piotrek zauważył, że jestem często w kiepskiej formie. Usiłował wyciągnąć mnie z depresji opowiadając mi o wielkim święcie, które miało się odbyć w lipcu. Co roku, w tę noc sataniści obchodzą najważniejszą dla siebie uroczystość. - Spotykają się tam wszystkie grupy naszego związku z całych Niemiec. I odbędzie się wielka orgia, podczas której będziesz mógł młócić wszystkie kobiety, które tylko zapragniesz mieć - opowiadał zafascynowany.

Wydało mi się to raczej obrzydliwe. Jeśli chodziło o dziewczyny, miałem zawsze potrzebę wyłączności. Nawet gdy sypiałem z dziewczyną, która nic dla mnie nie znaczyła (satanizm nie akceptuje miłości, jedynie nienawiść), nie chciałem jej dzielić z innymi mężczyznami. Już sama myśl, że z tą kobietą kochał się tego samego wieczoru jeden, albo nawet kilku mężczyzn, napawała mnie odrazą. Jak w takich warunkach może mi stać? Nic już nie wolno posiadać na własność. Nie można mieć już nawet własnych myśli, chodzić własnymi drogami. Dlaczego w takiej sytuacji seks miałby sprawiać przyjemność i zależeć tylko od ciebie? Piotrek trafił w sedno sprawy, mówiąc: - Nie marudź, stary. Chcesz czy nie chcesz i tak musisz w tym uczestniczyć.

Nie miałem pojęcia, co się tam jeszcze może dzieć. Wypytywałem więc Piotrka. Chciałem wiedzieć jak najwięcej. Byłem zaintrygowany. Udało mi się w

końcu wyciągnąć z Piotrka więcej o tym tajemniczym święcie. Odbić się ono miało na dużym cmentarzu, a punktem kulminacyjnym miało być wielkie, uroczyste złożenie ofiary. A my, nowicjusze możemy się przygotować na kilka miłych niespodzianek. Cóż to znowu miało znaczyć? Jak do tej pory sataniści jeszcze mnie miło nie zaskoczyli. Wspominając dotychczasowe wydarzenia, spodziewałem się wszystkiego najgorszego. - Czy ja to przeżyję? - Jasne, przecież jesteś satanistą nie dla żartu - odpowiedział mi zadziornie.

Oczywiście. Czego oczekiwałem? Po co właściwie dopytywałem się wciąż z nadzieją, niepewny siebie? Gdzieś w głębi duszy marzyła mi się przyjazna, uspokajająca odpowiedź. Coś pięknego, na co mógłbym się szczerze i serdecznie cieszyć. I znowu pojawiła się nagle nieodparta potrzeba ciepła i bezpieczeństwa. Pragnąłem być daleko stąd, w świecie wolnym od satanistów. Żadnego zła, jedynie codzienność, praca, jedzenie, sen. I ukochana dziewczyna. Do przytulania, obejmowania, śmiania się i bycia szczęśliwym. Ale to było tylko marzenie, sen. Tęskniłem do niego i nienawidziłem go, gdyż wiedziałem, że dla Łukasza satanisty nigdy się nie ziści.

7 lipca przyjechał po mnie Piotrek. Był bardzo podekscytowany i rozradowany. Szedł na to święto z lekkim sercem. Zresztą, przecież nie był nowicjuszem i nie musiał łamać sobie głowy, jakie przemiłe niespodzianki tam go czekają. Ze strachu przed nieznanym zaschło mi w gardle. - Czy przeżyję tę noc? - to pytanie nurtowało mnie i nie opuszczało ani na chwilę.

Po przybyciu na cmentarz nie mogłem uwierzyć w to, co widzę. Trzaskające ogniska skrywały ponurą okolicę w przytulnym, czerwonym i ciepłym blasku. Całość przypominała nastrój spotkań skautowskich. Cienkie sylwetki krzyży i wielkie cienie nagrobków chwiały się w migocącym świetle. Nieco dalej, w ciemnościach tańczyły setki małych, jasnych światełek. Kiedy podeszliśmy bliżej, zauważyłem otwarty grobowiec, otoczony niezliczonymi, czarnymi świecami. Pojedyncze płomienie łączyły się tuż nad ziemią w błyszczący, rozedrgany krąg światła. Prawie jak aureola, pomyślałem.

Tablica nagrobna przykryta była czarną chustą, a przed nią stał wielki, imponujący, biały krzyż satanistyczny z drewna. Powoli wąskie ścieżki między grobami wypełniały się prawie niewidocznymi sylwetkami. Po krótkiej chwili cmentarz pulsował życiem. Piotrek uprzedzał mnie wprawdzie, że na tym święcie spotkają się bracia z całych Niemiec, ale nie liczyłem się z tyloma uczestnikami. Zwłaszcza, że do uroczystości dopuszczeni byli jedynie uczniowie, kapłani i demony Pana. Nie śniło mi się nawet, że jest ich aż tylu. A i tak do tej pory nie widziałem żadnego kapłana. Były za to kobiety, mnóstwo pięknych kobiet.

Po raz pierwszy dotarło do mnie, jaką sieć miała nasza organizacja w Niemczech. Kręciło się tam jakieś dwieście pięćdziesiąt postaci w habitach. Do tego dochodziły jeszcze kobiety. Każda ubrana była w długą do samej ziemi i pofałdowaną pelerynę z czarnego aksamitu. Nie było to właściwie nic innego jak duży kawał materiału ściągniętego sznurkiem i zarzuconego na ramiona. Pod spodem były nagie. I żadna z nich nie zadawała sobie trudu, żeby przytrzymać rozchodzącą się na boki przy każdym ruchu pelerynę. Kokietowały swoimi sprężystymi piersiami, krągłymi udami i delikatną skórą, na której widniały satanistyczne symbole namalowane krwią. W ciemnościach rzucał się w oczy jasny odcień ich ciał. Czy było to podniecające? Może w innych warunkach, tak.

Dotychczas, na Boga, nie pojmuję, jak to nie najcichsze i z daleka widoczne, bo oświetlone ogniskami święto, odbywające się na głównym cmentarzu, nie ściągnęło policji. Podejrzewam, że przekupiono strażników cmentarnych. W końcu spotkanie się tak wielu ludzi wymagało przygotowań. Przywieziono tu nawet z hali fabrycznej, ważący chyba tony, blat ołtarza z przymocowanymi do niego żelaznymi kajdanami. Został złożony nad otwartym grobem.

Przybycie kapłanów jako osobnej grupy było znakiem rozpoczęcia uroczystości. Wśród nich znajdowali się nawet Amerykanie. Różnili się od niemieckich kapłanów wymalowanym na habitach pentagramem. Piotrek wskazał mi miejsce między innymi nowicjuszami. Wszystko było doskonale zorganizowane. Z przodu kapłani ustawili się nad grobem w półokręgu. Po przeciwległej stronie zamykaliśmy go my uczniowie. W pierwszym rzędzie stali uczniowie o wyższej randze. Ja znalazłem się w piątym i ostatnim rzędzie. Kobiety zniknęły.

Kapłani męczyli nas, a już na pewno mnie, przez trzy godziny. Niekończące się modlitwy, adoracje i nauki - nie mogłem już wytrzymać w miejscu! Później wreszcie wprowadzono kozła. Z ulgą wraz z innymi upadłem na kolana. Do tej pory nie byłem świadkiem ofiarowania kozła. Wraz z koziorożcem są ulubionymi zwierzętami Szatana, który często wciela się w ich postać. Dlatego też ich krew posiada szczególnie silną, magiczną moc. - Patrzcie na tę czystą duszę, na tę niewinną duszę - zaintonował chór kapłanów. - Patrzcie, co On nam zesłał! Chwalcie Szatana! - Jeden z kapłanów wystąpił naprzód, żeby dokonać rytuału ofiarowania. Wycinając serce kozłowi, zwrócił się jeszcze raz do nas, uczniów, ze słowami: - Kosztując jego krwi poczujecie w sobie obecność Szatana.

Siła, jaką da wam to zwierzę, jest równa mocy Szatana. Ta krew to prawdziwy duch zła. I on zabije w was dobrego ducha. Chwalcie Szatana! On



żyje z nami! My żyjemy w nim! Ułynęło sporo czasu, zanim liczne kielichy dla różnych grup zostały napełnione krwią kozła. Jeszcze więcej zanim kielich doszedł do mnie. Upiłem łyk i podałem naczynie dalej. Zaciekawiony wsłuchiwałem się w siebie i czekałem na szczególny przyływ siły, na jakąkolwiek zmianę. Nic jednak nie czułem. Po prostu nic.

Znudzony czekałem na następny punkt programu. Przemowa. Przyszła kolej na arcykapłana. Wygłosił płomienną mowę na temat zataczającego coraz większe kręgi i zyskującego poparcie na całym świecie ruchu satanistycznego. Mówił zupełnie jak polityk na wiecu przedwyborczym. Wychwalał międzynarodową współpracę grup satanistycznych naszej organizacji, która miała tylko jeden cel: przejęcie panowania nad światem przez naszą "mroczną wspólnotę". Zachwycony mówił o wpływowych postaciach życia publicznego, polityki i gospodarki, które przyłączyły się do naszej ideologii. Wymienił nawet ich nazwiska, ale nie znałem żadnego z nich. Mimo to zrobił na mnie wrażenie. Jeśli dojdę do stopnia kapłana, czeka mnie wspaniała przyszłość. Z tego powodu postanowiłem od tej pory jeszcze bardziej się starać. Słuchałem jednym uchem słów mówcy i czułem jednocześnie letnie nocne powietrze przynoszące stęchły zapach z otwartych grobów... Gdybym tak nie musiał stać ciągle bez ruchu! Jak długo to potrwa i przede wszystkim, jakie męki mnie jeszcze czekały? Myślałem wciąż o zapowiedzianych przez Piotrka, miłych niespodziankach". Może miał na myśli kobiety. One jako niespodzianka dla nas. Te, które widziałem, wyglądały rzeczywiście znakomicie. Lecz mimo ich wystawionych na widok publiczny wdzięków, nie pociągał mnie w żaden sposób anonimowy seks. I jak to ma się odbywać? Czy mam to robić na oczach wszystkich obecnych? Czy w ogóle podołam? A jeśli ..... Poruszenie wśród uczniów wyrwało mnie z zamyślenia. Przemowa się skończyła.

Kapłani zajęli miejsca po prawej i lewej stronie grobu. Jeden z niemieckich kapłanów wystąpił na przód. Nie miał pentagramu na habicie. Stał z rozłożonymi ramionami i zdawał się na coś czekać. Dwa demony Pana, jak nazywano też oprawców, prowadziły do ołtarza młodą kobietę w czarnej pelerynie. Kapłan przyjął ją z otwartymi ramionami. Zdjął z niej okrycie. Ukazało się idealnie piękne nagie ciało. Jej skóra była pomalowana.

Powoli, bardzo powoli odwróciła się przodem do nas uczniów. Długie blond włosy opadały na jej pełne piersi i sięgały aż do pępka. Zaskoczył mnie tylko wyraz jej pięknej twarzy. Była martwa, skamieniała. Dziewczyna jak w transie położyła się na płycie ołtarza. Usłyszałem chrzęst łańcuchów. Przeraziłem się. Dwaj oprawcy wcisnęli jej delikatne nadgarstki i przeguby nóg w żelazne kajdany. Groźnie i natarczywie rozbrzmiewał szcęk łańcuchów w tę letnią noc. Niewiarygodne, ale ona zdawała się niczemu nie sprzeciwiać. Z jej

ust nie dobywał się żaden dźwięk i nie podejmowała widocznej próby obrony. Wyraz jej twarzy był spokojny i opanowany, jej oddech równy. Dobrowolna służba Szatanowi? Czy była odurzona narkotykami? Nigdy się już nie dowiem.

Kręciło mi się w głowie. Przecież oni nie mogli... jej zabić? Nie, nie odważą się na to. Zrobiło mi się gorąco czułem, jak po plecach spływają mi kropelki potu. Nie wytrzymam tego! - Idę stąd! - wyrwało mi się na głos. - Jeśli to zrobisz, zabiją cię - szepnął jakiś chłopak obok.

To poskutkowało. Lęk o moje własne życie był silniejszy niż chęć ucieczki. Zostałem. Przypatrywałem się dalej. Skóra dziewczyny lśniła jasno w świetle księżyca. Niedługo już kapłan bowiem rozsmarował resztę krwi zwierzęcej na jej ciele. Powoli, prawie czule rysował pentagramy wokół brodawek i krzyż Szatana na czole. Potem zrobił krok do tyłu i przyglądał się swemu dziełu. Panowała zupełna cisza. Trwając w przerażającym napięciu zapomniałem oddychać. Nieoczekiwanie kapłan wydal z siebie zwierzęcy krzyk i rzucił się na nieruchomo leżącą kobietę. Z fanatyczną żądzą wdarł się w nią. Odetchnąłem z ulgą. Moja obawa, że stanę się świadkiem masakry ludzkiej, była nieuzasadniona. Poza tym Piotrek mówił jedynie o orgii. Seks bez miłości. Dopóki tylko musiałem się przyglądać, wszystko było w porządku. Młoda kobieta na pewno wiedziała, co ją czeka. Jak dzikie zwierze kapłan wyżywał się na jej nieruchomym ciele. Potem przyszła kolej na innych.

Kapłani po kolei wchodzili w nią. Było ich około dwudziestu. Młoda kobieta leżała bez ruchu, przykuta łańcuchami. Tępo wpatrywała się w niebo, tak jakby ją nic nie obchodziło. Tak jakby to nie było jej ciało, które właśnie gwałcono, wykorzystywano i bezczeszczono. Dlaczego musieliśmy się przyglądać? Czy to miało być podniecające? Uważałem, że to obrzydliwe. Wstydiłem się. Wreszcie ostatni kapłan pozostawił w niej swoje nasienie. To jednak nie był koniec. Pierwszy kapłan znów do niej podszedł. Stał u wezłowia ołtarza, zwrócony twarzą do nas. Młoda kobieta leżała cały czas apatycznie na zimnym, pustym ołtarzu. Kapłan stał za nią tak, że nie mogła go zobaczyć. Znowu wyciągnął przed siebie ramiona. Jego głos brzmiał podniośle i szorstko, kiedy powiedział: - Zabierz ze sobą naszą spermę do królestwa ciemności, do Szatana, naszego Pana!

Jego ramię wyprostowało się nagle i z wielkim impetem wbił dziewczynie między żebra zakrzywiony sztylet, który do tej pory ukrywał w prawej ręce. Serce podeszło mi do gardła. Zrobiło mi się słabo, niedobrze czułem tylko szum krwi w głowie. Moje oczy szukały schronienia wśród żwiru na ścieżce pod stopami. Zrobiło się cicho. Żadnego krzyku, żadnego dźwięku, żadnego oddechu. Ktoś stojący dalej w moim rzędzie, upadł.

A wiec to była ta zapowiedziana niespodzianka! Udała się im. Nie chciałem się już dłużej przyglądać. Nie mogłem. Starczy. Koniec. Kurczowo utkwiałem wzrok w ziemi - musiałem się przecież czegoś trzymać... poważne przestępstwo. "Podczas mszy uwaga satanisty winna być zwrócona wyłącznie na kapłana". Musieliśmy się przypatrywać żeby się zahartować. Rytuwały miały być treningiem. Kto odwraca wzrok jest mięczakiem, śmierdzącym tchórzem i wątpi w nauki Szatana. Poza tym chciano w ten sposób zapobiec przyglądaniu się innym członkom grupy i ewentualnemu ich rozpoznaniu. Najdrobniejsza chwila nieuwagi była surowo karana. I chociaż nieraz miałem do czynienia z chłostą, starałem się zawsze wpatrywać w ołtarz. Tym razem zdołałem się opanować jedynie nadludzką siłą. Moje nogi drżały, przez ciało przechodziły na przemian zimne i gorące dreszcze. W ustach czułem suchotę, a w gardle dławiała mnie wielka klucha, która nie pozwalała oddychać.

Znowu przyszedł mi na pomoc nieznajomy sąsiad: - Twój kapłan gapi się tu cały czas - szepnął. Wbrew własnej woli podniosłem głowę. Ołtarz był pusty i jedynie pobrudzony krwią blat przypominał o przed chwilą popełnionym morderstwie. Ciecz, która skapywała z ołtarza, była ludzką krwią. Ludzka krew wsiąkała w ziemię. To było rytualne zabójstwo, święta czynność, próbowałem w siebie wmówić. Ale gdzieś w środku wszystko we mnie krzychało: Morderstwo! Morderstwo! To było morderstwo!

Powoli szary i zmęczony świt przykrywał okoliczne krzewy i drzewa. Teraz wróciły kobiety. Najpierw wmieszały się w grono kapłanów, którzy natychmiast rzucili się na nie łapczywie. Usiłowałem się opanować. Czy teraz mam się jeszcze kochać z jakąś kobietą? Czułem się pusty i wykończony. Może uda mi się jednak niepostrzeżenie zniknąć z tego przerażającego spędu kopulujących wszędzie ludzkich ciał.

Rozejrzałem się ukradkiem wokół i mój wzrok napotkał parę przenikliwie wpatrujących się we mnie oczu. Mój kapłan obserwował mnie. Wbił we mnie wzrok, czekając i śledząc każdy mój ruch, jak gotujący się do skoku drapieznik. Zniszczy mnie bezlitośnie, jeśli nie uczynię tego, czego ode mnie oczekuje. Na jego niemy rozkaz zareagowałem jak zahipnotyzowany królik. Zatrzymałem się i rozejrzałem niepewnie dookoła. I nagle usłyszałem ten wyraźny głos: - Chwal Szatana i przyjmij jego sukę!

Ruszyłem z miejsca. Utkwiłem wzrok w ładnych, małych piersiach. Nie patrzyłem na twarz. Dzisiaj nie pamiętam już, czy była blondynką czy brunetką, wysoką czy niską. Nie chciałem tego wiedzieć. Jakaś kobieta. Bezimiennie, bez uczucia, wierny Szatanowi. Moje ręce stały się samodzielne. Zniknęły pod jej na wpół rozsuniętą peleryną. Jej ciało było chłodne. Lodowate. Przewróciłem ją na ziemię, zadarłem habit, rozpiąłem spodnie i zaczęło się. Całość nie trwała długo.

Dziewczyna chciała kochać się dalej, ale ja uwolniłem się od niej. Spełniłem swój obowiązek i teraz chciałem odejść.

Otumaniony i z nogami jak z ołowiu zawlokłem się do samochodu Piotrka. Co za diabeł we mnie wstąpił? To była czysta żądza, zwierzęce pożądanie. Ogarnęła mnie natychmiastowa chęć odreagowania. Rzuciłem się na nią jak zwierzę. Teraz, kiedy znów mogłem myśleć, wstrząsało to mną.

Nie mam pojęcia, czy minęło pięć minut, czy godzina do chwili, gdy Piotrek wrócił do samochodu. Byłem wykończony. Świat się dla mnie załamał. Nie było już nic świętego. Zresztą jak mogło być? Morderstwo! Gwałty! Zatraciłem jasność myślenia. Jak pusty worek oparłem się o samochód i patrzyłem tępo przed siebie, nic nie widząc.

Piotrek był tak podekscytowany i podniecony, że zawiózł mnie aż pod drzwi internatu. Jego prostacka gadanina i kumpelskie spoufalanie bardzo mnie irytowały. Demonstracyjnie zamknąłem oczy i jego paplanina trafiała w mur, który sobie w duchu zbudowałem. W internacie zerwałem z siebie ubranie i wzięłem prysznic. Gorąca woda ożywiła mnie, mózg odtajał, i przyszedł wspomnienia. Gdybym tak się od razu położył! Teraz wracały obrazy tej nocy.

Stała mi przed oczami prześliczna twarz zamordowanej kobiety i dopiero teraz uświadomiłem sobie jej bezradność. Męczyło mnie to. Potem ukazała mi się zamaskowana twarz kapłana. W momencie, kiedy wbijał sztylet, zastąpiła ją ohydna rzeczywista morda diabła... Znowu powróciła do mnie ta cisza, w której się wszystko odbywało. To było takie niepojęte! Takie okrutne. Nieludzkie. Zdawało się, że te okropne obrazy rozsadzają mi czaszkę. Gorąca woda oblewała mnie i nie pozostało mi nic innego, jak w bezsilnej złości walić pięściami w kafelki. Jeśli byłby tu Piotrek, udusiłbym go gołymi rękami.

Nienawidzę go, nienawidzę kapłana, nienawidzę tej całej zgrai! Było za późno. Stałem się świadkiem morderstwa i nie zapobiegłem mu. Czy powinienem iść na policję? Uznaliby zapewne, że zwariowałem i wystaliby mnie do domu. Albo przekazali do zakładu psychiatrycznego. Nie miałem najmniejszego dowodu. Nie wiedziałem, kim była kobieta i nie wiedziałem, co zrobili z jej ciałem. Na tę myśl zwymiotowałem. Widziałem, jak strumień wody spłukuje wszystko. Wystarczająco dużo nasłuchiwałem się o metodach usuwania uciążliwych resztek ciała. Kawałkowane przez rzeźników, rozpuszczane w kwasach.

W pewnym momencie do drzwi łazienki zaczęli dobijać się moi współmieszkańcy. Stąd wiedziałem, że jest już rano. Wreszcie mogłem pójść do pracy i zapomnieć o tym strasznym wydarzeniu. Wyłączyć myśli jak telewizor i

rozkoszować się moim cudownie normalnym otoczeniem. Spędzę zupełnie zwykły dzień.

## **ROZDZIAŁ 8**

Stanowczość i opanowanie pomogły mi przetrwać następne dni. Noce natomiast były nie do zniesienia. Miałem czerwone oczy i spuchnięte powieki, ponieważ prawie nie spałem. Sunąłem bezradnie ulicami i zaułkami mojego miasta, a zimne nocne powietrze przynajmniej na jakiś czas chłodziło umysł. Przeganiało wszystkie te okropne obrazy i myśli, które zżerały mój mózg. Ktoregoś razu zaczął mnie Dieter, mój sąsiad z pokoju. - Hej, stary, czy ty masz nie po kolei w głowie? Przez sen walisz ciągle w ścianę i każdej nocy mnie budzisz!

Później opowiadał, że próbował mnie obudzić. - Mamrotałeś coś niewyraźnie i twój głos brzmiał tak jakoś dziwnie... - Obrzucił mnie nieufnym spojrzeniem i dodał: -... takie głuche, ochryple szeptanie. Miałeś przy tym bladą i nieruchomą twarz i bardzo mocno zaciśnięte oczy. Potrząsałem tobą, krzychałem i nawet uderzyłem cię kilka razy. Ale ty na nic nie reagowałeś, jakbyś był w innym świecie. - Zastanowił się przez chwilę szukając słów: - Wyglądałeś jak oddychający trup!

Dieter bardzo przejął się tym wydarzeniem. Przyglądał mi się badawczo, ale nie był w stanie znieść mojego spojrzenia. Budziłem w nim grozę. Nauczyłem się już nie pokazywać po sobie lęku. - Kiedy za dużo wypiję, śpię jak zabity - uspokoiłem go.

Tego wieczoru przestawiłem łóżko na środek pokoju. Kto wie, może następnym razem będę mówił nieco wyraźniej i kiedy Dieter przyjdzie, żeby mnie obudzić... Nie do pomyślenia, co by się stało, gdybym wygadał przez sen moje okropne przeżycia.

Żeby przespać przynajmniej kilka godzin głęboko bez koszmarów, potrzebowałem alkoholu. Piłem aż do utraty przytomności. Niestety, to nie zawsze funkcjonowało. Piątkowy wieczór był szczególnie trudny, bo była to noc poprzedzająca czarną mszę, a więc czekało mnie spotkanie z mordercami. Z rzeźnikami, którzy jutro mają decydować o moim życiu, ponieważ odważyłem się podczas rytuału satanistycznego patrzeć na ziemię. Była to zdrada mojego Pana i Mistrza i dlatego powinienem ponieść karę. Jutro. Ale dziś jeszcze mogłem się ogłuszyć i znieczulić alkoholem. Przepiłem w ten wieczór jakieś sto pięćdziesiąt marek. Żałosna próba zapomnienia o wszystkim - o strachu przed kapłanem i odrażającej orgii.

Pijany do nieprzytomności zataczałem się idąc do domu. Zaledwie jednak znalazłem się sam w pokoju, pojawiły się duchy. Halucynacje. Alkohol dopełnił dzieła. Leżałem na łóżku i wszystko kręciło się wokół. Od kręcącej się w mojej głowie karuzeli odrywały się różne postacie. Otaczali mnie martwi ludzie. W panice zerwałem się na równe nogi i otworzyłem oczy. Upiory zniknęły. Nikogo nie było. Nic. Mimo to miałem wrażenie, że nie jestem sam. Coś się tu znajdowało! I nagle wiedziałem - gdzieś tutaj jest ukryty trup! Ta myśl mnie opętała. W całkowitym obłędzie i gnany potwornym strachem przeszukiwałem pomieszczenie. Szarpnięciem otworzyłem drzwi szafy - nic! Zajrzałem pod łóżko - nic! Sapiąc i jęcząc wtuliłem się w ścianę w najdalszym kącie pokoju. Wstrzymałem oddech i wsłuchiwałem się w ciszę.

Ktoś tam był. Czułem to wyraźnie. Zimny oddech, lekki przeciąg. To coś poruszało się, ale nie mogłem tego zobaczyć. Chłód i mglisty cień jakiejś istoty zbliżał się do mnie powoli. Wstrząsały mną dreszcze. Kobieta z ołtarza? Czy była to dusza zamordowanej? Każdy mięsień w moim ciele był tak napięty, że zdawało się, że zaraz pęknie. Pot ściekał mi po plecach, zalewał oczy i kapał z brody. Co teraz? Co się ze mną stanie? W głuchy łomot mojego pulsu wdarł się nagle jej głos: - Łukasz! Łukasz!... Dlaczego mi nie pomogłeś? - wołała tak smutno i beznadziejnie.

Zatkałem uszy palcami. Chciałem, żeby zniknęła, żeby zamilkł ten głos, który brzmiał jak wycie kojota. Jednak jej głos dźwięczał w mojej głowie. - Proszę, nie! - szepnąłem błagalnie. - Jak mogłem ci pomóc? Ty też się nie broniłaś! Sądziłem, że robisz to wszystko z własnej woli. Skąd mogłem wiedzieć, że cię zabiją? - krzyczałem na nią zrozpaczony. Łzy ciekły mi z oczu. Waliłem głową w ścianę. Niech ten głos wreszcie zamilknie! Precz, precz, precz!

Chciałem uciec, ale alkohol odebrał mi władzę w nogach. A może uczyniła to obecność duszy zamordowanej? Zapadłem się w siebie jak mokry worek. Wyczerpała się moja chęć obrony i opuściła mnie siła. Przez głowę przelatywały mi strzępy myśli. Jakie moce bawiły się ze mną w tak okrutny sposób? Czy to Szatan wystawiał mnie na próbę? Czy miałem jeszcze ten słaby punkt, tak bardzo wyśmiewane przez mojego Pana sumienie? Jeśli widzi teraz tę kupkę nieszczęścia kulącą się w kącie, zobaczy, że nie jestem godny zostać jego uczniem. Także i kapłan się o tym dowie. On zawsze wie wszystko. Dlaczego miałby nie mieć bezpośredniego kontaktu z Szatanem? Nie, nie! Ja zwariuje! Oszaleje! Płakałem bezradny.

Następnego ranka obudził mnie przeszywający ból. Ciągle jeszcze kurczowo kucałem w kącie pokoju. Potrzebowałem pół godziny, żeby rozruszać moje zdrętwiałe ciało. Była sobota. Dzień następnej mszy. I zarazem dzień mojej kary.

Msza rozpoczęła się. Znowu adoracja Szatana po łacinie. Spokojna godzina spędzona na szeptaniu formułek. Bez chwili strachu. Uspokoilem się wewnątrz. Prawdopodobnie niepotrzebnie się tak denerwowałem. Może mój postępek został niezauważony.

Kapłan przerwał swoją przemowę i zrobił nienaturalnie długą przerwę. Zapanowała w hali taka cisza, że słycać było, jak trzeszczą knoty palących się świec. - Łukasz! Feliks! - nasze imiona przeszły ciszę jak cięcie batem. Kapłan rzucił je z pogardą w głąb sali. A wiec jednak! Teraz przyszła kolej na mnie. Wystąpiliśmy na środek zawstydzeni i upokorzeni, z opuszczonymi głowami. Kapłan półgłosem odczytał listę naszych przewinień popełnionych podczas pamiętnej nocy. Feliks był tym żalonym stworzeniem, które straciło przytomność podczas dokonywania rytualnego mordy. - Czy jesteście gotowi przyjąć karę?

Co za głupie pytanie! Czy mieliśmy jakiś wybór? Czy miałem powiedzieć nie? Czarny humor! Oczywiście powstrzymałem się od wszelkich komentarzy i ulegle kiwałem głową. - Rozbierać się! - rozkazano nam. Golusieńcy, jedynie w kapturach na głowach, zostaliśmy przez demony Pana zagonieni do rzadko używanej tylnej części hali. Było to bardzo upokarzające. Musieliśmy przejść przez utworzony przez zgraję szpaler. Mijaliśmy skamieniałe twarze i nienawistnie uśmiechnięte gęby. Musieliśmy wytrzymać pogardliwe spojrzenia. Kiedy dotarliśmy na koniec hali, wepchnięto nas do nieoświetlonego kąta. Natknąłem się na duże koryto wypełnione prawie po brzegi płynem. - Włóż! - warknął na mnie oprawca. Kwas? Woda z piraniami? Spodziewałem się wszystkiego, ale posłuchałem mimowolnie.

Ta ciecz, w której wylądowałem, to nie była woda. Była to gęsta, zimna, śliska i kleista masa. Kadź nie była głęboka. Siedząc czułem nierówności i miękkie śluzowate przedmioty, które pływały dookoła. Śmierdziało to trochę mięsem, które zbyt długo leżało w lodówce. Ochronnie przykryłem moje genitalia rękoma. Tylko się nie ruszać, myślałem. Jeszcze ciągle nie zdawałem sobie sprawy, w czym siedzę.

Feliksowi, siedzącemu w kadzi poza zasięgiem mojego wzroku, powodziło się nie lepiej. Ale w tych przerażających minutach i tak zapominałem o nim całkowicie. Potwornie się bałem, że mnie coś zacznie gryźć. Kiedy nic takiego nie nastąpiło, odzyskałem znowu pewność siebie. Ostrożnie obmacywałem kadź. Dotknąłem palcami czegoś, co przypominało miękki, gumowy szlauch. Czy był to martwy wąż? Koniecznie chciałem to wiedzieć. Wyjąłem wiec tę rzecz na powierzchnie i spróbowałem przyjrzeć się temu w półmroku. Nie było to łatwe. Przedmiot był tak śliski i śluzowaty, że wypadał mi z rąk. Stanął nade mną

kapłan i szepnął: - Przyjrzyj się temu dobrze. To jest jelito człowieka, który chciał od nas odejść.

Nie przyszło mi do głowy, że może być to znowu jedna ze stosowanych przez nich tortur psychicznych, tak jak ta z domniemanym pociągami, który mnie przejechał. Myślałem tylko o jednym - wnętrzności! Podskoczyłem jak oparzony i chciałem zwać. Ale nic z tego. Nade mną już stał oprawca. Brutalnie wepchnął mnie z powrotem do wanny, zerwał z mojej głowy kaptur i zanurzył mnie w cieczy. Krztusząc się, dławiąc i parszcząc wyszedłem na powierzchnię. Moje ciało było poplamione krwią, we włosy wplątały mi się resztki ludzkich szczątków. Mój żołądek zbuntował się. Za jednym zamachem zwymiotowałem całą zawartość żołądka do tej breji. Nie zdążyłem prawie zaczerpnąć powietrza, a już pomocnik kapłana wepchnął mnie z powrotem. Powtarzał tę czynność i powtarzał. Rzygałem długo, aż do momentu, gdy już nic, ale to zupełnie nic poza powietrzem nie wychodziło z żołądka. W pewnym momencie straciłem przytomność.

Do rzeczywistości, która stała się koszmarem, przywołały mnie silne uderzenia w twarz. Kiedy oprzytomniałem, byłem pochylony do przodu i oparty o brzeg kadzi. Trząłem się z obrzydzenia i zimna. Rozpoznałem tylko mgliście postać kapłana, ponieważ maż zaklejała mi oczy. Grzmiał nad nami: - Siła Szatana jest siłą martwych i demonów. Ta kąpiel wzmocni was, da wam siłę, żebyście mogli spełniać życzenia Szatana!

Energicznym ruchem głowy dał znak swoim pomocnikom. Dwóch z nich złapało mnie pod ręce, wyciągnęło z kadzi, zawlokło do wysokiego na dwa metry, drewnianego krzyża satanistycznego i oparło mnie o niego. Owinęli mnie od stóp do głów drutem kolczastym i przymocowali do krzyża. Kątem oka widziałem, że z Feliksem robią to samo. A potem zostawili nas tak na trzy godziny - nagich, pokrytych zaschniętą skorupą, i poniżonych. Przy najmniejszym ruchu drut pozostawiał na ciele małe ranki, z których sączyła się ciepła krew. Starałem się nie myśleć o tym, co właśnie przeszedłem. Nie mogłem się poruszać i to było w tym momencie ważne.

Kapłan spokojnie kontynuował mszę. Nikt nie zwracał już na nas uwagi. Uwolniono nas dopiero po ofiarowaniu, na końcu mszy. Ciągłe jeszcze nieprzejednany, kapłan zagrzmiął nad nami: - Ubierać się i za mną! - mówiąc te słowa rzucił każdemu z nas śpiwór pod nogi. Przed halą stała czarna limuzyna z przyciemnianymi szybami. Dwaj oprawcy wrzucili nas na tylne siedzenie wielkości pokoju mieszkalnego i wsiedli za nami. Kapłan i jeszcze jeden pomocnik usiedli na przednich siedzeniach. Przyciemniona szyba zasłaniała nam widok z przodu. Normalnie cieszyłbym się bardzo przejażdżką w takim wozie,



ale tym razem była to podróż w nieznaną. Być może nawet nasz karawan. I nie pomyliłem się aż tak bardzo.

Kiedy po około dziesięciominutowej jeździe zostaliśmy razem ze śpiworami wyciągnięci przez naszych prześladowców z samochodu, okazało się, że stoimy przed cmentarzem. Zaciągnęli nas na teren cmentarza, prowadzili wzdłuż niezliczonej ilości grobów i wąskimi, piaszczystymi ścieżkami ciągle dalej i dalej. Potem zostawili nas i zniknęli.

Staliśmy z Feliksem samiuteńcy jak palec, pośrodku wielkiego, nieznanego cmentarza. Było gdzieś tak około trzeciej nad ranem. Panowały jeszcze zupełne ciemności. Było mi niedobrze, słabo i okropnie. Nogi trzęsły mi się jak galareta, a otoczenie widziałem jak za mgłą.

Nagle Feliks załamał się zupełnie. Początkowo sapał tylko i jęczał. Potem zaczął krzyczeć i chyba miał halucynacje, bo bił powietrze wokół siebie jak dziki i błagał niewidzialne postacie, żeby zostawiły go w spokoju. Zebrałem wszystkie siły i uderzyłem go z prawej i lewej. Drżał teraz tylko i uchwycił się mojej ręki. Potykał się u mego boku, szlochając bezradnie. Czułem się fatalnie. Słyszałem szmery, wyobrażałem sobie, że ktoś puka mnie w ramię. Nie było jednak nikogo. Czy drwiły z nas duchy zmarłych? Odwracałem się szybko na każdy szelest w krzakach, ale nie widziałem nikogo. Terror psychiczny. Ktoś tam jest, a ty nie wiesz, kto. Jest ich tam wielu, a ty nie wiesz gdzie. Feliks był zupełnie jak oszalały. Mówiłem do niego uspokajająco, aż bełkotał coś tylko niewyraźnie pod nosem.

Feliks miał omamy, ale i ja utraciłem jasność umysłu. Na próżno usiłowałem się zorientować, gdzie jestem. Macałem ostrożnie dookoła, żeby nie wpaść przez pomyłkę, w panice do otwartego grobu. A może właśnie mieli taki zamiar? Zamordować nas i wrzucić do pierwszego lepszego grobu? Nikt by nas tam nie odnalazł. Zostawili nas samych, żeby się jeszcze trochę poznać. Mogli czatować na nas za każdą płytą nagrobną, za każdym krzakiem. Wiedziałem przecież, że dla oprawców kapłana było dziecinną zabawą jednym ruchem skrócić komuś kark. Z moimi 178 centymetrami wzrostu byłem w porównaniu z tymi typami krasnoludkiem, nie sięgającym im nawet do gardła.

Chwyciłem mocno za rękę jęczącego i szlochającego Feliksa i pociągnąłem go za sobą. Wprawdzie nie nadawał się do niczego, ale był dla mnie ostatnią deską ratunku. Towarzysz niedoli, za którego czułem się odpowiedzialny. Istota ludzka, którą musiałem chronić. Gdybym był sam, poddałbym się już. A tak opanowałem się, odetchnąłem głęboko i zmobilizowałem resztkę sił. Musimy uciec tym rzeźnikom. Musimy powrócić do cywilizowanego świata.

Dla kapłana i jego demonów była to znów jedna z gier. Powinienem to właściwie już wiedzieć. Ponowne schwycenie nas nie sprawiło im najmniejszego

kłopotu. Szliśmy prosto w ich ramiona. Nagle otoczyli nas. Nie było ucieczki. Zrezygnowany zamknąłem oczy i marzyłem tylko, żeby się to szybko skończyło. Jeśli teraz umrzesz, będziesz to przynajmniej mieć za sobą. Będziesz zbawiony. Ale kapłan wymyślił dla nas nową torturę. Zamierzał dalej się nad nami znęcać. To jest oczywiście dużo bardziej zabawne, niż zabić kogoś szybko i bezboleśnie.

Zaprowadzili nas do dwóch otwartych grobów. Trzej pomocnicy kapłana wydobyli na powierzchnię dwie trumny. - Otwierać! - rozkazał kapłan.

Feliks skulił się, a ja cofnąłem się przerażony. Dwa ciosy w nerki zmusiły mnie do posłuszeństwa. Chwyciłem łom, który podał mi kapłan i podważyłem wieko trumny. Uderzył mnie ostry smród rozkładającego się ciała i pobudził do rzygania. Same kwasy żołądkowe. Wejść do trumny, brzmiał rozkaz. Wolno mi było rozłożyć najpierw śpiwór. Ociągając się, wpełzałem na cuchnące ścierwo i położyłem się na brzuchu. Od trupa dzielił mnie tylko ten kawałek materiału. - Będziecie tak leżeć, dopóki po was nie przyjdziemy. I nie waście się ruszać. Nie będziecie sami!

Smród był okrutny. Zmarły spędził już jakiś czas pod ziemią. Mimo to czułem jeszcze ludzkie kontury. Były miękkie, więc nie leżałem na szkielecie. Zrozpaczony zacząłem prowadzić rozmowę z trupem. - Hej, ty, mam nadzieję, że miałeś chociaż piękne życie. Moje jest dosyć gówniane. Wiesz, przykro mi, że przeszkadzam ci w wiecznym spoczynku, ale sam słyszałeś, co powiedział ten dupek w habicie... A może twoja dusza mogłaby tam na górze wstawić się za mną...

Żeby tylko nie zacząć odczuwać strachu i obrzydzenia. Tylko się nie załamać! Gadałem i gadałem, dopóki nie usłyszałem nad sobą kroków. - No już, wstawać. Starczy. Wasza lekcja skończona!

## **ROZDZIAŁ 9**

Lato minęło bez nadzwyczajnych wydarzeń. Nauczyłem się jednego - dopóki przestrzegam reguł grupy i wypełniam polecenia bez wahania i ociągania się, nikt nie będzie się mnie czepiał. Wiodło mi się dobrze. Wmówiłem w siebie, że wyznawcy Szatana uczynili ze mnie mężczyzną.

Za to w internacie miałem kłopoty. Ciężyły mi te duże ilości przepisów, zakazów i obowiązków. Wszystko to była dziecinada, z którą nie chciałem mieć już nic do czynienia. Starłem się o przeniesienie do grupy mieszkającej poza internatem. Wreszcie kierownictwo domu poddało się. Nie dlatego, że uważali mnie za dorosłego i odpowiedzialnego, ale dlatego, że byłem jednostką trudną do podporządkowania i przeszkadzającą w życiu grupy. Trzeba im przyznać, że wyjaśnili mi to w rozmowie w cztery oczy. Było mi to obojętne. Przede

wszystkim mogłem się wyrwać z tej zacofanej, katolickiej wspólnoty. Szczególnie irytowała mnie ciągła opieka. Mieszkanie z innymi w zwykłym mieszkaniu zapewniało mi dużo więcej wolności.

To trzeba sobie wyobrazić - Łukasz - satanista pozwala, na co dzień dyrygować sobą i to jeszcze jakimś chrześcijańskim świniom. Nie podobało mi się to zdecydowanie. Jakże często musiałem gryźć się w język, żeby nie ujawnić swoich poglądów. Jakże chętnie zobaczyłbym ich głupi, zaskoczony wyraz twarzy. Być może zaczęliby się nawet mnie bać. Musiałem zadowolić się jednak wewnętrznym poczuciem wyższości. Miałem świadomość, że mógłbym załatwić każdego z nich, czy to współmieszkańca czy wychowawcę. Wspaniałe uczucie!

Moje nowe miejsce zamieszkania było położone bliżej centrum niż internat. Żadnych szalonych marszów więcej, kiedy spóźniłem się na ostatni autobus o północy. Żadnego strachu, że za każdym krzakiem, drzewem czy zaroślami, od których aż się roiło w drodze do internatu i na jego terenie, ktoś będzie na mnie czatować. Duże mieszkanie dzieliłem z dwoma starszymi chłopakami. Dostawaliśmy kieszonkowe i musieliśmy się za to utrzymać. Raz dziennie przychodził wychowawca, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Pozostawiono nas samym sobie, jeśli nie liczyć telefonów kontrolnych od czasu do czasu, które sprawdzały, czy ja jako piętnastolatek nie włóczę się gdzieś całymi nocami.

Mój pokój był moim królestwem. Nikomu nie wolno było tam wchodzić bez mojego pozwolenia. Zrobiłem z niego miejsce kultu Szatana. Oczywiście w ostatnich czasach czerń stała się moim ulubionym kolorem. Działała na mnie uspokajająco. Nie mogłem się za to przyzwyczaić do koloru czerwonego. Już zawsze miał mnie przejmować zgrozą. Było to na tyle poważne, że za każdym razem podczas praktyk malarskich, kiedy musiałem pomalować coś na czerwono, dostawałem obłędu. Z tego powodu zdecydowałem się później na naukę stolarstwa, chociaż zawód malarza podobał mi się najbardziej, zawsze bowiem byłem dobrym rysownikiem. Zacząłem więc z radością i zapałem projektować i malować plakaty i obrazy do mojego nowego pokoju. Trupie czaszki, pentagramy i moje największe dzieło - postać Szatana w jego naturalnych wymiarach, tak jak go sobie wyobrażam: dumny, bezlitosny, zły i w pozie zwycięzcy. Udało mi się tak dobrze, że wyciąłem rysunek i nakleiłem na tekturę, którą później ustawiłem koło moich drzwi. Można powiedzieć, jako strażnika mojego królestwa. Brązowe, nijakie meble - łóżko, szafę, mały stolik, dwa krzesła i regał na książki, pomalowałem na czarno. Na skromny tapczan pod oknem narzuciłem kawałek materiału w czarne paski. Miało to swój styl - było przytulne.

Zwłaszcza wieczorem, kiedy zapaliłem wszystkie czarne świece, które były poustawiane w całym moim pokoju. Wspaniale. Do tego piwo i dobra muzyka i nawet znów mogłem spać. Muzyka była najlepszym środkiem nasennym. Przede wszystkim moja muzyka medytacyjna, na przykład Pink Floyd i często też Death Metal. Słuchałem muzyki tak głośno, że inni nie mogli zasnąć. Dla mnie był to jedyny sposób, który pozwalał odpocząć moim starganym nerwom. Potrzebowałem tego hałasu, gdyż tylko przy nim nie słyszałem żadnych trzasków, żadnego skrzywienia, piszczenia, żadnych gwizdów i krzyków. Wszystkich tych odgłosów, o których nie wiedziałem, czy są rzeczywistością, czy tylko wytworem mojej wyobraźni.

Pewnej nocy, musiało być koło jedenastej, usłyszałem stukot kamieni o szyby. Był to Piotrek. A czego ten chce tutaj, w środku tygodnia, zastanawiałem się przestraszony. Nie zwracał sobie jednak głowy długimi tłumaczeniami: - No, chodź! Nadzwyczajne spotkanie w lesie. Wszyscy muszą być obecni!

Posłuchałem. Jadąc w kierunku lasu, Piotrek opowiadał zdenerwowany: - Przypominasz sobie tego faceta, który był tak ciągle napominany i karany? Podobno sypiał z kobietami spoza sekty i przyjaźnił się z chrześcijańskimi świniami. No, a teraz podejrzewają go, że chce od nas odejść - zawiesił znacząco głos. - Dzisiaj w nocy zobaczysz, jak postępujemy ze zdrajcami. Już z daleka słyszeliśmy mrożące krew w żyłach krzyki, tłumione wciąż przez okrzyki radości, gwizdy i oklaski. Na polanie w środku lasu płonęło ognisko. Jedyne światło w tej ciemnej, ponurej nocy. Tylko kapłan i czterej oprawcy byli ubrani w satanistyczne habity, inni, dokładnie tak jak ja i Piotrek, mieli swoje codzienne rzeczy. Zresztą było to obojętne, gdyż było tak ciemno, że nie widziałem nawet ręki podniesionej do oczu. Od czasu do czasu w świetle ogniska pojawiali się kapłan i jego pomocnicy. U stóp kapłana leżał poruszający się worek. Był to człowiek. Wykręcili mu ręce na plecy i przywiązali sznurkiem do nóg. Był nagi, ubrany tylko w szorty. W płomieniach ogniska widziałem jego twarz, czy raczej jej resztki, które przypominały bezkształtną masę.

Jeden ze sług Pana wziął grubą linę, podszedł do drzewa i przerzucił ją przez potężną gałąź. Sprawdził wytrzymałość liny i drzewa i kiwnął porozumiewawczo do kapłana. Powieszą go, pomyślałem, ale nie ruszało mnie to. Stałem niedbale z założonymi rękami i było mi wszystko jedno. Przyglądałem się, jakbym był w teatrze, oglądałem to jak grę na scenie. Facet sam sobie był winny! Jak mógł być na tyle głupi, żeby myśleć, że uda mu się odejść od naszej szatańskiej wspólnoty. Zupełny idiota!

Trzej inni oprawcy zaciągnęli kłębek człowieka pod drzewo. Z wprawą związali zwisający z gałęzi koniec sznura z supełem na plecach mężczyzny i podnieśli go do góry. Drugi koniec umocowali do drzewa na wysokości około

półtora metra nad ziemią. Wisiał i krzyczał. To dopiero była męczarnia! Przez powieszenie za wykręcone do tyłu ręce, pod wpływem ciężaru prawdopodobnie zostały wywichnięte stawy. Wstrząsnął mną dreszcz. Facet darł się i darł bez końca, a wokoło wiatr szumiał w koronach drzew. Kapłan podszedł powoli do swojej ofiary i dwaj zamaskowani na czarno ludzie przytrzymali ciało w miejscu, żeby przestało się bujać na strony. Kapłan podniósł rękę. Rozpoznałem niewyraźne zarysy długiego ostrza. I kiedy bezradny, rzekomy zdrajca wył i błagał o życie, kapłan rozciął mu brzuch. Zapanowała śmiertelna cisza.

Kapłan spokojnie powiedział do nas: - Zdradził Szatana, naszego Pana. Zwrócił się przeciwko naszym prawom. Szatan karze każdego, który chce się od niego odwrócić. Chwała Szatanowi! - Chwała Szatanowi! - odkrzyknął tłum.

Zabrakło mi słów. Po tym wydarzeniu zdwoiłem ostrożność. Zerwałem także ostatnie osobiste kontakty poza domem. Nie odwiedzałem już Sylwii, a i Natalii nie chciałem widywać. Z moją siostrą był mniejszy problem. Bywały już okresy, że nie widywaliśmy się miesiącami. Jednak Natalia była coraz bardziej zła na mnie. Nie mieściło jej się w głowie, że chcę z nią utrzymywać tylko kontakt telefoniczny. - Twoje wymówki są coraz bardziej podejrzane. Jeżeli nie chcesz mieć już ze mną do czynienia, to mi to po prostu powiedz.

Czuła się urażona i zraniona. Być może byłoby to najłatwiejsze, ale nie chciałem jej całkiem stracić. Chciałem ją mieć dla siebie przynajmniej przez telefon. Moja ostoja normalności. Uspokajałem ją więc i łagodziłem jej gniew. Znowu śmiała się ze mną i żartowała. Nie wiedząc wcale o tym, dawała mi poczucie spokoju, które pozwalało mi znowu czuć się jak człowiek. A potem nadeszła ta okropna sobota grudnia.

Krótko przed świętami. Kapłan oznajmił mi, że przyszedł czas na drugi egzamin: - Szatan z zadowoleniem obserwował twoje postępy. Nie mogłem powstrzymać dumnego uśmiechu. - Teraz powinieneś udowodnić, że jesteś posłuszny tylko i wyłącznie Szatanowi, twojemu Panu. Demony Pana będą ci towarzyszyć i wskażą ci drogę do twojej ofiary. A więc w drogę! Po pobiciu w imieniu Szatana wszystkich przyjaciół, byłem pewien swego. A niech tam! Załatwię jeszcze jednego, myślałem butnie. Znowu mogłem zająć miejsce w czarnej limuzynie. Tym razem cieszyłem się jazdą, nie oczekując dzisiaj wieczorem żadnej kary. W porządku, jeszcze jeden przyjaciel straci wiarę we mnie. Myślałem jednak o przypiływie siły, której dostanę od Szatana w nagrodę za zdany egzamin. Wzmocni mnie w mojej drodze wzwyż. Do kapłaństwa.

O, jak bardzo pragnąłem dostąpić zaszczytu bycia kapłanem Szatana. Byłbym wtedy wtajemniczony w arkana czarnej magii. Łukasz, kapłan Szatana, z całą wiedzą i mocą diabła. Wydawałbym wtedy tylko rozkazy i w mojej

obecności zgraja zastygałaby w bezruchu ze strachu i upokorzenia. W drodze na mój egzamin z bicia dopisywał mi cholernie dobry humor. Do silnego należy świat. Świat należy do Łukasza.

Zatrzymaliśmy się na rynku. Sługa Szatana niedbałym skinieniem głowy nakazał mi wysiąść. Była jedenasta wieczorem, dosyć zimno. Jak sięgnąć okiem żadnego człowieka. Czterej olbrzymi wysiedli z samochodu. Jeden wskazał głową w kierunku studni. Stała tam dziewczyna z długimi, ciemnymi włosami. Była do nas odwrócona plecami i przyglądała się pluskającej fontannie. - Ależ to jest dziewczyna! - wykrzyknąłem oburzony. Mój strażnik odpowiedział mi tonem nie znoszącym sprzeciwu: Tak chce Szatan! No już!

Powłócząc nogami zbliżałem się do szczupłej postaci. Byłem wytrącony z równowagi. Dlaczego mam udowodnić, że potrafię zadać kobiecie ból? Nie miało to żadnego sensu! Aż do chwili, gdy ta kobieta odwróciła się do mnie przodem. To była Natalia. Z okrzykiem radości rzuciła mi się na szyję. Tuliła i całowała mnie, paplając bez przerwy - no wreszcie, Łukasz. Boże jak to cudownie cię widzieć. Co prawda dziwie się, że sam do mnie nie zadzwoniłeś, ale co tam! Najważniejsze, że znowu masz czas dla starej przyjaciółki...

Podczas gdy ona gadała dalej, myślałem gorączkowo. Taki był więc sens tego egzaminu - miałem poświęcić diabłu Natalię. W satanizmie nie ma przyjaźni. Nie miałem czasu do namysłu, sytuacja była bez wyjścia. Z oczu płynęły mi łzy. - Ty głupia idiotko - nakrzyczałem na nią. Po coś tu przyszła!?

Natalia cofnęła się zaskoczona. Widziała moje łzy, podniosła rękę, żeby je otrzeć. Odepchnąłem ją. Rozejrzałem się ukradkiem. Oczywiście stali tam. Obserwowali tę makabryczną scenę, stojąc z szeroko rozstawionymi nogami i założonymi rękami. Słudzy Pana, oprawcy, którzy znaleźliby mnie wszędzie, jeśli udałoby mi się zwać. Kipiałem ze złości. Na siebie.

Zapłakany oprzytomniałem. Wytarłem rękawem twarz i z nieprzenikniętą miną pobiegłem do samochodu. Oprawca, który otworzył mi drzwi, uśmiechnął się zadowolony. Najchętniej przyłożyłbym mu w tę jego zadowoloną mordę, ale na co by się to zdało? W każdym razie uparłem się, że natychmiast muszę zadzwonić. Pozwolili mi i w ten sposób zadzwoniłem po karetkę pogotowia, żeby przyjechała na rynek, obok studni. Oczywiście anonimowo.

Pochwała kapłana nie zrobiła na mnie wrażenia. Czy miałem się cieszyć, że okazałem się wystarczającą świnią, żeby dotkliwie pobić kobietę? Nie byłem w stanie wmówić sobie nawet, że udowodniłem swoją przewagę. Wiem, że w tym całym egzaminie chodziło o to, żeby pokazać, że przyjaźń z chrześcijanami nic dla mnie nie znaczy. I że jestem bezwzględnie posłuszny Szatanowi. Dobrze.

Udowodniłem to. Ale przecież pod przymusem. Tylko ze świadomością, że za mną stoją oprawcy i obserwują mnie uważnie, żeby w razie czego dokończyć moją robotę. Dlaczego taki przejaw pokory wystarczył Szatanowi? Przestałem rozumieć cokolwiek. Czułem się jak ostatnia szmata.

W niedzielę rano dzwoniłem do różnych szpitali. Musiałem dowiedzieć się, jak czuje się Natalia. Piąty szpital potwierdził przyjęcie, ale nie chciano udzielić mi przez telefon żadnych informacji o jej stanie. Walczyłem ze sobą dwie godziny, biegając po pokoju jak tygrys w klatce. Muszę z nią porozmawiać, muszę spróbować wszystko jej wytłumaczyć. Wysłucha mnie. Da mi jeszcze jedną szansę. Około południa wybrałem się do szpitala. W rejestracji chętnie podano mi numer jej pokoju. Pojechałem windą na piąte piętro. Żołądek podchodził mi do gardła. Wciąż zaklinałem ją w duchu: - Natalia, proszę, pozwól mi wytłumaczyć, proszę, posłuchaj mnie!

Przed drzwiami jej pokoju opuściła mnie odwaga. Co miałem jej powiedzieć? Co mogłem jej powiedzieć? Nie było żadnego wytłumaczenia poza prawdą. A ta musiała pozostać moją tajemnicą. Z westchnieniem otworzyłem drzwi. Po prostu musiałem spróbować. Może mi jednak wybaczy. Łóżko stało obok drzwi. Ktoś już u niej był. Opiekowały się nią cztery kobiety. Jedna z nich była jej matką, pozostałe to pewnie przyjaciółki. Natalia wyglądała źle, zupełnie blada, smutna i załamana. Na jej twarzy odbił się wyraz przerażenia, kiedy mnie zobaczyła. Wbiła paznokcie w kołdrę, usiłując bezradnie złapać powietrze i cofnęła się. Kawalek po kawałku przysuwała się do ściany za plecami. Trzęsła głową, jakby dostała jakiegoś ataku i wydawała z siebie nieartykułowane dźwięki. A potem zaczęła krzyczeć. Nigdy jeszcze nie słyszałem takiego krzyku. Jej szczupłe ciało drżało i w geście obrony rzucała głowa w prawo i w lewo. Stałem jak słup soli i przyglądałem się napadowi. Nie spodziewałem się tego. Dwie jej przyjaciółki rzuciły się i wypchnęły mnie na korytarz. Dziko gestykulując, darły się na mnie: - Jak śmiesz tutaj przychodzić? Ona była w szóstym miesiącu ciąży. Straciła dziecko! I nigdy więcej nie będzie mogła mieć dzieci. O to ty się postarałeś, ty bydlaku, ty morderco dzieci!

Wyrwałem się, zbiegłem po schodach i wypadłem na ulicę. Gnałem, jakby się paliło, potrącałem przechodniów, waliłem w słupy latarni, mury i skrzynki listowe. Powoli docierał do mnie bezmiar mojej winy. Natalia marzyła zawsze, żeby mieć dużo dzieci. Była przedszkolanką. A ja zniszczyłem najświętsze marzenie jej życia. Odebrałem jej prawdopodobnie sens życia.

Ale i ja straciłem coś bardzo cennego - zaufanie Natalii i jej sympatię. Oto odchodził ostatni ważny dla mnie człowiek. I po co to wszystko? Dla Szatana! Zastrani sataniści! Ale przecież ukryła przede mną, że jest w ciąży. Dlaczego mi nie powiedziała, dlaczego trzymała to w tajemnicy? Nie powiedziała tego nawet

staremu przyjacielowi. Staralem się nadać naszej zażyłości mniejsze znaczenie i zbagatelizować sprawę, żeby lepiej wytrzymać ten cały koszmar. Nie udało mi się jednak. To, co uczyniłem tej kobiecie było niewybaczalne.

Sam nie wiem, kiedy znalazłem się na obszarze fabrycznym. Wściekły aż do nieprzytomności schwyciłem jeden z leżących wokół ciężkich żelaznych drągów i waliłem nim o ścianę hali, miejsca spotkań satanistów. Chciałem zniszczyć ich świątynię. Roznieść wszystko w drobny mak. Zburzyć. Tak, jak oni zniszczyli moje życie i Natalii. Rozdeptać. Wszystko zrównać z ziemią. Po chwili opadłem wyczerpany na zwirowane podłoże. Było już ciemno, gdy wziąłem się w garść i dowlokłem do rzeki. Godzinami płacząc, wpatrywałem się w wodę. Skocz, no skocz wreszcie, dodawałem sobie odwagi. Nienawidziłem jednak wody. Jutro wymyślę jakiś inny sposób samobójstwa.

Cały tydzień zastanawiałem się, jak ze sobą skończyć. Jak miałem to zrobić? Trutką na szczury? Tabletkami nasennymi? Czy skoczyć z najwyższego budynku w naszym mieście? Trzy razy tam byłem. Godzinami kręciłem się po płaskim dachu i prowadziłem walkę z losem, z moim spieprzonym życiem i tchórzostwem. Dlaczego tego nie zrobiłem? Tylko jeden mały krok w pustkę. A później już bym tylko leciał, odleciał na zawsze do lepszego świata. I może wtedy Natalia też zrozumiałaby, jak bardzo przejąłem się jej nieszczęściem?

Tam na dachu zalewałem się łzami, zwijałem i wyłem z bólu. Z bólu wywołanego poczuciem winy. Gdybym wówczas wiedział, że nawet dużo później, mówiąc o Natalii załamię się psychicznie, skoczyłbym na pewno. Jeszcze do dziś nie mogę wytrzymać tego wspomnienia. Nikt nie może mieć pojęcia, jak bardzo ciąży mi los Natalii. Zadałem jej niezmiernie cierpienie i już nigdy nie przezwycięży bólu spowodowanego bezdziejnością. I to ja jestem winny tej katastrofie. W imię Szatana. Żeby mu się przypodobać, żeby móc chodzić z podniesioną głową wśród innych członków sekty. No, ale teraz będę musiał żyć znosząc te męki, ponieważ nie odważyłem się skończyć ze sobą.

Podczas następnej mszy kapłan stawiał mnie innym za wzór. Jeszcze nigdy żaden uczeń nie zdał dwóch egzaminów w ciągu jednego roku. Moje postępy uczyniły na nim takie wrażenie, że podarował mi nawet kobietę ze zgrai. Z pewnością cieszyła się z tego powodu dużo bardziej ode mnie. Był to dla niej awans, krok naprzód z anonimowego tłumu. Nie musiała teraz dla każdego rozstawiać nóg. Jako kobieta ucznia była czymś w rodzaju własności prywatnej. Kto chciał z nią spać, musiał najpierw mnie prosić o zgodę. Poza tym wśród kobiet rozeszła się już pogłoska, że jestem miły i nie mam perwersyjnych wymagań, no i że nie uderzyłem jeszcze nigdy żadnej z nich. Podczas licznych orgii moje partnerki nieraz pytały, czy nie zechciałbym być z nimi na stałe. Nic dziwnego, bo to, co czasami ukazywało się spod habitów podczas orgii było



obrzydliwe - pomarszczona, zniszczona skóra, obwisłe brzuchy i tyłki. Im bardziej nieapetyczny typ, tym bardziej perwersyjne były jego życzenia i skłonności. Często zastanawiałem się, jak te dziewczyny to wytrzymują. Było mi ich żal, ale nie miałem ochoty na satanistyczną wspólnotę, bez miłości, zaufania i czułości. Także dziewczyna, którą dostałem w prezencie, nie interesowała mnie. Była jeszcze dosyć młoda, miała około siedemnastu lat. Jej szczupłe, długie nogi tkwiły w czarnych, obcisłych dżinsach, a jej okrągła twarz była zbyt lalkowata, jak na mój gust. Miała jednak długie, ciemnobrązowe włosy, które mi się bardzo podobały. Nazywałem ją Membaris, na cześć szczególnie przebiegłego demona ze świty Szatana. Nigdy nie poznałem jej prawdziwego imienia. Nie chciałem zresztą.

Miałem więc kobietę. Odwiedzała mnie często, gotowała mi i spała ze mną, kiedy tylko chciałem. Czasem zostawała u mnie na noc. Z jednej strony cieszyłem się, że nie muszę spać sam, z drugiej znów bałem się, że dowie się czegoś z moich nocnych koszmarów. To był dosyć dziwny związek, gdyż nie mogłem pokazać jej swojego prawdziwego oblicza. Jedynym tematem naszych rozmów był Szatan i jego mroczny świat. Nigdy nie wspominałem jej o moich wątpliwościach i poczuciu winy. Była satanistką i jako taka wiedziała, że świat uczuć to temat tabu. Być może miała jakieś uczucia, ale gruby, nie do przełamania mur nieufności dzielił nas na dobre. Sądziła, że jestem dumny i nieprzystępny, ale mój dystans był niczym więcej jak tylko obawą przed zdradą. Tego jednak nie spostrzegła.

## **ROZDZIAŁ 10a**

**Święta Bożego Narodzenia!** Nie jest to naturalnie dla satanistów żaden powód do świętowania. Wręcz przeciwnie. **Dostaliśmy rozkaz całkowitego zignorowania tego święta miłości.** Nie wolno nam było ani przyjmować, ani dawać prezentów. I w żadnym wypadku nie mogliśmy brać udziału w obchodach tej uroczystości. Sataniści nie mają przecież bliskich i zaufanych osób, nie łączą ich też ani więzy przyjaźni, ani rodzinne. Podobało mi się to zarządzenie. Od zawsze nie cierpiałem tej świętoszkowatej gadaniny o miłości. Już na samą myśl o świętach Bożego Narodzenia robiło mi się niedobrze. Ojciec, matka i dzieci szczęśliwie pojednani pod świąteczną choinką. Rodzice dobrodusznie i promiennie uśmiechnięci, a dzieci z zaczerwienionymi ze zdenerwowania policzkami i błyszczącymi oczami.

Tak, znam to. Z reklam. U nas w domu nigdy czegoś takiego nie było ponieważ mój ojczym był Turkiem. Jako muzułmanin zawsze odmawiał uczestniczenia w tej "chrześcijańskiej głupocie". A moja matka zgadzała się z nim posłusznie. Jak zwykle. Później w internacie też nie mogłem się

przywyczać do tej mentalności: bądźcie przynajmniej raz w roku mili dla siebie. Miałem wprawdzie dopiero jedenaście lat, kiedy wziąłem udział w pierwszym Bożym Narodzeniu, ale już wówczas ta cała nagła ckliwość wydawała mi się wyrachowana i zakłamana. Miałem przynajmniej ważny powód, żeby wyłgać się z głupich obchodów bożonarodzeniowych.

Z pewnością inni sataniści mieli większe trudności, żeby uciec od tego całego zamieszania i od pewnych zobowiązań w stosunku do rodziców i rodzeństwa. A ponieważ one istniały, a jednocześnie były przeciwne naszym zasadom, szpiedzy kapłana mieli w czasie świąt pełne ręce roboty. Poza lekceważeniem Bożego Narodzenia mieliśmy też inny obowiązek. 24 grudnia, o jedenastej wieczorem, musieliśmy się stawić na czarnej mszy na terenie fabryki. I znów zostało popełnione okrucieństwo. Kapłan złożył Szatanowi ofiarę z trzymiesięcznego niemowlaka. Jak zwierzęciu, rozciął brzuch temu małemu, bezbronnemu i niewinnemu, machającemu nóżkami i rączkami dziecku. Kto był jego matką, nie wiem. Mogła to być każda z obecnych tutaj kobiet. Żadna nie płakała, no ale wybuchy uczuć są w końcu niegodne satanisty. Poza tym jest zaszczytem poświęcić swoje dziecko Szatanowi. Gdyby żyło dłużej, mogłoby ulec zgubnemu wpływowi "dobrych" chrześcijan. A tego nie chciałyby żadna satanistka.

O drugiej w nocy wszystko się skończyło i wypuszczono nas na trzaskający mróz nocy. Nie było co myśleć o śnie. Pojechałem więc z Piotrkim do miasta. Zaparkował samochód na rynku i ruszyliśmy w drogę. Przechodziliśmy obok studni, gdzie tak pobiłem Natalię, że straciła dziecko. Później szliśmy ulicą, na której po raz pierwszy dowaliłem jakiemuś obcemu człowiekowi. Wtedy przed dyskoteką. A potem minęliśmy ulubioną knajpę Dirka, pierwszego przyjaciela, którego w imię Szatana musiałem "zlikwidować". Co za rok! Odcisnąłem swoje piętno na wielu, których kiedyś dobrze znałem, ale także na tych, którzy byli mi obcy. Pozostawiłem zgliszczą.

Czy Piotrek miał podobne myśli? Zdawało się, że też nie ma ochoty rozmawiać. Szedł obok milcząc, ze złym wyrazem twarzy, przygarbiony, z rękami schowanymi głęboko w kieszeniach puchowej kurtki. Zaczął padać śnieg. Puszyste, białe gwiazdki leciały z nieba. Osiadały na ogrodowych płotach, samochodach, gołych gałęziach i dachach. Było bardzo cicho, przytulnie. Tak jakby na tym świecie nie było zła. Poza nami. Piotrkim i Łukaszem. My jesteśmy złem. Jedyni źli ludzie w tym mieście.

Światła bogatego oświetlenia świątecznego rozmazywały się przed oczami. Łzy? Nie, to na pewno ten lodowaty wiatr wyciska mi wodę z oczu. Ale dlaczego nagle poczułem się samotny? Tak parszywie mały, nic nie znaczący i sam? Przecież w końcu Piotrek był przy mnie. Co za znaczenie miała ta żalсна

znajomość w porównaniu z tymi wszystkimi ludźmi, którzy mogli teraz wspólnie świętować? Pomimo że uważałem całe to zamieszanie z Bożym Narodzeniem za zdecydowanie okropne przeżycie, to jednak kiełkowała we mnie zawiść. Czułem, że wpadam w przepaść bez dna. Wahiałem się między dziką nienawiścią do tych mieszcuchów a palącą tęsknotą wzięcia udziału w ich radości. Za tymi wszystkimi rozświetlonymi oknami skrywali się ludzie. Rodziny. Wspólnoty. Wygrzewali się w ciepłe i bezpieczeństwie.

A ja? Gównu! Podniosłem z ulicy kamień wielkości pięści. Odgłos rozbitej szyby ocucił mnie. To ja rzuciłem kamień. W sam środek najbliższego okna, ozdobionego łańcuchami światełek i migoczącymi gwiazdkami. Piotrek spojrzał na mnie. - Zwariowałeś? Nie miałem czasu na odpowiedź. Wzięliśmy nogi za pas. Ślizgając się i potykając pobiegliśmy do samochodu. Piotrek wymyślał mi, a ja z uśmiechem pozwalałem mu na to. Najważniejsze, że nastrój mi się poprawił.

## **ROZDZIAŁ 10b**

W styczniu znowu poszedłem do dyskoteki. Zwykle unikam tego zbiorowiska podrywaczy. Jest tam po prostu zbyt dużo niezłych lasek. A ja podryw i flirtowanie z dziewczynami mam we krwi. I właśnie dlatego wolałem uniknąć pokusy. Słudzy Szatana są wszędzie!

Jednak w ten piątek po prostu musiałem poprawić sobie humor, ponieważ minęło zaledwie kilka dni od moich urodzin. Ale oczywiście jak zwykle nikt w internacie, ani u mnie w mieszkaniu, o tym nie pamiętał. Chciałem więc sam sobie sprawić radość. Ogłuszyć się głośną muzyką i popatrzeć na dziewczyny. Przez parę godzin poudawać, że jestem zwykłym szesnastolatkiem, który wyrwał się z domu. Wchodząc do dyskoteki upomniałem siebie jeszcze raz - patrzeć - tak, podrywać - nie!

Pogwizdując wesoło, zadowolony z siebie przeszedłem się po całym lokalu. Chciałem obejrzeć teren. Następnie celowo ustawiłem się przy barze obok jakiejś pary. Dziewczyna wyglądała wprawdzie świetnie, ale facetowi stojącemu obok niej też nic nie brakowało. Kulturysta, jak wywnioskowałem z wyglądu jego mięśni, które okrył skąpo koszulką bez rękawów. Szybko jednak stwierdziłem, że tych dwoje jest rodzeństwem. Tobiasz i Daniela oboje profesjonalni kulturyści, oboje tak serdeczni i przyjaźni, że aż mnie ujęli za serce. Spędziliśmy razem wspaniałą wieczór. Nawiązała się między nami nić porozumienia. Nie wiem, jak mam to inaczej nazwać. Od początku mieliśmy ze sobą wspaniały kontakt. Tak dobry, że wymieniliśmy numery telefonów.

Wracając do domu wiedziałem, że znalazłem nowych przyjaciół. Co za uczucie! Przyjaciele! Od tak dawna nie miałem żadnych. Od tej pory

spotykaliśmy się często i nabrałem do nich ogromnego zaufania. Czułem, że mnie lubią. Byli swobodni, nieskomplikowani i otwarci. Przede wszystkim Tobiasz miał taki sposób bycia, że nie umiałem go okłamywać. Kiedy siedzieliśmy kiedyś razem w kawiarni, wypalił nagle bez ogródek: - Kim ty właściwie jesteś, Łukasz? Dani i ja zastanawiamy się już od jakiegoś czasu, co to jest, o czym nigdy z nami nie rozmawiasz?

Najpierw osłupiałem. Już chciałem ich wyśmiać, ale coś mnie powstrzymało. A potem im się zwierzyłem. Opowiedziałem, że jestem satanistą! Darowałem sobie oczywiście szczegóły, ale i tak byli dosyć wstrząśnięci. Tak było lepiej. Przynajmniej mogłem się przyznać, jak bardzo chciałem, żeby Dani została moją dziewczyną i dlaczego było to niemożliwe. Dani była przerażona, a w Tobiaszu odezwał się bohaterski instynkt obronny. Byłem jego "małym" przyjacielem, ponieważ dzieliło nas sześć lat. Chciał mnie stamtąd "wydostać" i kosztowało mnie niemało wysiłku, żeby go od tego zamiaru powstrzymać.

Połowa lutego - pod koniec mszy zostałem wraz z innymi dziewięcioma uczniami wywołany do pokoju na zaplecze. To pomieszczenie nie budziło we mnie przyjemnych wspomnień. Czułem się dosyć niepewnie, kiedy tak staliśmy czekając na kapłana. O co chodziło tym razem? Jakie znowu ohydne zabawy wymyślił teraz nasz przełożony?

Nie musieliśmy przynajmniej długo czekać. Kapłan pojawił się nagle przed nami w obstawie czterech demonów i od razu przeszedł do rzeczy: - Zostaliście wybrani do wzięcia udziału w szkoleniu w Ameryce. Odwiedzicie naszych braci na Florydzie.

Hura! Ameryka! W ostatnim momencie powstrzymałem się od okrzyku radości. Swoim niepohamowanym zachwytem mógłbym wszystko popsuć. Ledwie znalazłem się z Piotrkim w samochodzie, a już zasypałem go pytaniami. - Czy jedziemy na wybrzeże? Jak ja to załatwię w internacie? Z czego mam to opłacić? Jak porozumiem się z Amerykanami moim łamanym angielskim? Piotrek uciszał mnie, śmiejąc się: - Jeśli się wreszcie zamkniesz, wszystko ci wytłumaczę.

Podróż była zaplanowana na okres świąt wielkanocnych, które i tak spędziłbym u mojej siostry. Także i forsa nie stanowiła problemu. Nie było więc powodu, żeby zrezygnować z tej jedynej okazji wyjazdu do Stanów. - Oni chcą, żebyś zrobił ten kurs i dlatego pokryją koszty - uspokoił mnie Piotrek.

Byłem szczęśliwy, nie mogłem tego w ogóle pojąć. Floryda słońce, plaża, kobiety, muzyka rapowa, świetne dyskoteki i najlepszy towar narkotykowy.

Piotrek usiłował nieco przytłumić mój zapał. - Nie jedziesz na urlop. Szkolenie jest ostre, a msze tam... no zresztą sam zobaczysz.

Dla niego była to już druga podróż na Florydę, do naszych amerykańskich braci. Ja jednak nie chciałem o niczym słyszeć. Szkolenie wcale mnie nie interesowało. Łukasz jedzie do Ameryki. Łukasz odbędzie podróż swoich marzeń. Łukasz będzie się dobrze bawił.

Aż do wyjazdu byłem przykładnym satanistą. Za nic na świecie nie chciałem zaprzepaścić tej podróży. Wreszcie nadszedł kwiecień. Razem z Piotrkim wsiadłem do maszyny, która miała nas zawieźć do ziemi obiecanej. To był mój pierwszy lot. Wszystko było niesamowicie ekscytujące.

Kiedy się już trochę uspokoiłem, poświęciłem uwagę innym pasażerom. Obejrzałem ich sobie nieco dokładniej. Na pokładzie musiało się znajdować pozostałych ośmiu satanistów. No i oczywiście kapłan. Byłem bardzo ciekawy, jak on wygląda. Byłem pewny, że rozpoznam go po oczach. Mimo że powoli szedłem między siedzeniami i dokładnie przyglądałem się wszystkim podróżnym, nie znalazłem oczu, których szukałem. Prawdopodobnie leciał pierwszą klasą, lub nawet własnym samolotem.

W ogóle nikt nie wyglądał jak satanista. Zresztą jak taki ma wyglądać? Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że nie ma możliwości rozpoznać satanisty. Najwyżej po tatuażu na ramieniu, ale i on przykryty jest ubraniem. Moim współwyznawcą mógł być równie dobrze biznesmen w szarym garniturze, który znudzony przeglądał teraz jakieś pismo o finansach, jak i długowłosego typ w dżinsach i T-shircie, siedzący trzy rzędy za nim.

Czternaście godzin lotu. Jedzenie, oglądanie wideo, słuchanie muzyki, spanie, jedzenie - pod koniec lotu nie mogłem już siedzieć. Z samolotu przechodziło się bezpośrednio na lotnisko. Ogromne hale, przyjemnie chłodno. Klimatyzacja. Kiedy wreszcie wyszliśmy na zewnątrz przez szklane drzwi, uderzyła mnie fala gorąca, prawie zwalając z nóg. W ciągu sekund moje ciało pokryło się wilgotnym osadem. Nie spotkałem się jeszcze nigdy z takim zjawiskiem. Osiemdziesięciopięcioprocentowa wilgotność powietrza w Miami, czytałem o tym wprawdzie w magazynie pokładowym, ale dopiero teraz zrozumiałem, co to oznacza. Nawet przy oddychaniu czułem, jak wilgotne i ciepłe było powietrze. Powinno mnie to cieszyć. Byłem na Miami. A w Niemczech było jeszcze zimno, szaro i deszczowo. W dobrym nastroju rozejrzałem się wokół.

Przyjechano po nas. I od razu było wiadomo kto. Po przeciwnej stronie ulicy stała czarna limuzyna. Facet oparty niedbale o maskę samochodu musiał być amerykańskim sługą Szatana. Wąskie, czarne dżinsy, czarny T-shirt z

wyrwanymi rękawami, kowbojskie buty (w tym upale!), a na szyi skórzana obroża z piętnastocentymetrowym srebrnym krzyżem satanistycznym. Piotrek również zauważył kulturystę. Przeszliśmy przez ulice. - Chwała Szatanowi - powiedział Piotrek. Facet niedbale skinął głową. - Jesteście z Niemiec? - nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi samochodu. Wrzuciliśmy nasze bagaże na jedno siedzenie i zajęliśmy miejsca na pozostałych. - Popatrz tylko, jak wystawia swój tatuaż na pokaz - szepnąłem zdenerwowany do Piotrka.

Tłusto i bezczelnie połyskiwał pentagram z trzema szóstkami na twardym jak stal bicepsie lewego ramienia. Facet wywarł tym na mnie duże wrażenie. Piotrek rzucił mi tylko pobłażliwy uśmiech. - Jeszcze nieraz się tu zdziwisz - stwierdził z wyższością. - Amerykanie są od nas dużo bardziej otwarci, bardziej tolerancyjni. Każdy może przyznawać się publicznie do swojej wiary. Nikt się nie będzie czepiał. Najwyżej schodzi się takiemu z drogi.

Cudowny kraj. Jechaliśmy autostradą w kierunku Fortu Lauderdale. Sześciopasmowa autostrada, a potem jeszcze ten widok na miasto - drapacze chmur. Tego już było za dużo jak na mnie. Nie da się porównać ze zdjęciami w telewizji. Rzeczywistość mnie przygniotła. To działa się naprawdę. Byłem w Ameryce.

Nasz demoniczny szofer zawiózł nas bezpośrednio do stoczni na terenie portowym Fortu Lauderdale. Dostaliśmy tam habity, niemiecką wersję szóstej i siódmej księgi Mojżesza i obowiązkowy krzyż z kości. W końcu trudno byłoby przywieźć te rzeczy z Niemiec. Nawet jeżeli Amerykanom było wszystko jedno, Niemcy w przypadku kontroli zakazałoby nam przyjazdu do kraju. Albo poddali by nas nieprzyjemnemu przesłuchaniu. Poza tym wszystko było jak w domu, tylko habity były dużo cieńsze. I na całe szczęście, bo wilgotny upał, który prawie wykończył mnie na lotnisku, utrzymywał się także w nocy. Każdy kawałek materiału na ciele był właściwie zbędny.

Pierwszy wieczór spędziliśmy bardzo przyjemnie. Amerykańscy bracia zorganizowali na naszą cześć pieczenie steków na ruszcie. Zostaliśmy przyjęci bardzo serdecznie, każdy chciał z nami porozmawiać. Moją, łamaną angielszczyznę daleko nie zaszedłem, ale wydawało się, że mojemu rozmówcy nie przeszkadza to w najmniejszym stopniu. Jeśli tylko była okazja, Piotrek tłumaczył mi, ale przeważnie sam rozmawiał. Mimo to bardzo cieszyłem się z tego wieczoru. Ten sposób spędzania czasu ze współwyznawcami był nowy. W Niemczech byłoby to nie do pomyślenia. Zwracano zawsze uwagę jedynie na dyscyplinę. A z tym wiązało się nie nawiązywanie prywatnych znajomości. Późną nocą, całe to przyjęcie zamieniło się w orgię. Wycofałem się.

Z sałatką z makaronu i wspaniale przyprawionym stekiem z rusztu, zasiadłem wygodnie na pomoście. Ruch wokół nie interesował mnie. W końcu nie znałem tu nikogo, więc nie musiałem brać w tym udziału. Zadowolony i szczęśliwy wciągnąłem w płuca delikatny zapach ryb unoszący się znad wody. Czy morze pachnie wszędzie tak samo? Małe, łagodne fale cicho uderzały o filary pomostu pode mną. Daleko na morzu kotwiczyły dwa ogromne oceaniczne parowce. Wyglądały jak zawieszony na horyzoncie łańcuchy świetlne. Tysiące lampek oświetlały kontury obu statków.

Nagle przeszedł mnie dreszcz. Odwróciłem się. Za mną stał kapłan z Niemiec. Zamaskowany. Zanim jeszcze zdążył coś powiedzieć, rozpoznałem go po tych okropnych oczach. - Dlaczego odłączyłeś się? - dopytywał się. - Ja tam przecież nikogo nie znam, no i nie rozumiem angielskiego - usiłowałem się usprawiedliwić.

Głos kapłana zabrzmiał cicho i niebezpiecznie: - Kiedy ty to wreszcie, Łukasz, zrozumiesz? Jesteśmy wspólnotą. Oznacza to, że każdy satanista, czy to z Anglii, Niemiec, czy z Ameryki jest twoim bratem. A więc idź teraz i wyszukaj sobie jakąś siostrę. Podkreślił ten rozkaz kopniakiem w prawą nerkę. Z odrazą podniosłem się i dokuśtykałem do pozostałych, żeby spełnić swój obowiązek.

Następnego dnia obudziłem się wcześniej. Piątek był jeszcze pogrążony w głębokim, twardym śnie. Ja jednak nie chciałem marnować w tym pokoju ani minuty dłużej. Wyskoczyłem z zapalem z mojego motelowego łóżka, wziąłem prysznic, ubrałem się i popędziłem na pobliską plażę. O siódmej rano, po raz pierwszy w życiu, brodziłem w morzu. I to nawet w ciepłym. Właściwie bałem się wody, ale płytki brzeg wyglądał zachęcająco. Fale pieściły moje nogi i przy każdym odpływie zabierały trochę piasku spod stóp. Dziwne uczucie. Ale przyjemne, prawie jak masaż.

Ciągle nie miałem dosyć. O tej porze panował jeszcze niewielki ruch, tylko kilku zwariowanych biegaczy kręciło się po plaży. Uważałem ich za wariatów, gdyż już o tej porze dnia było tak gorąco, że nawet spokojny spacer wyciskał pot ze wszystkich porów. Jak oni mogli biegać w takich warunkach? Położyłem się na ciepłym piasku, wystawiłem brzuch na promienie porannego słońca i byłem bez reszty zadowolony. Kiedy się znowu obudziłem, okazało się, że minęły dwie godziny. Zasnąłem bez muzyki odprężającej i bez zalania się w trupa. I nic mi się nie śniło. Dwie godziny głębokiego, spokojnego snu. Tak zawsze wyobrażałem sobie urlop.

Ledwo zdążyłem wrócić do motelu, a już zaczęła się draka. Piątek wydarł się na mnie: - Gdzie byłeś? Nie możesz sobie tak po prostu wychodzić. Nie jesteś tu w końcu na wakacjach, ale na szkoleniu. A ja jestem za ciebie odpowiedzialny. Jeśli jeszcze raz wykradniesz się z pokoju, załatwię cię na cacy!

- Rzucił mi jakąś teczkę przed nogi. - Masz tutaj materiał do nauki na dwa tygodnie. Dziennie masz dwie godziny wolnego czasu, o 19.00 zaczyna się kurs, o 22.00 codzienna msza, co oznacza, że w pozostałym czasie masz się uczyć, uczyć i uczyć. I to w tym pokoju!

Z westchnieniem otworzyłem teczkę. Na pierwszej stronie znajdowały się reguły mojego postępowania na czas pobytu. Między innymi było tam napisane, że w "czasie wolnym" mogę przebywać tylko na wyznaczonym odcinku plaży. Było gorzej niż w internacie! Całkowita kontrola. Poza tym - na plaży wolno nam było swobodnie rozmawiać z obcymi ludźmi. Mieliśmy jednak obowiązek zaprosić nowych przyjaciół na wieczorną mszę.

A cóż to znowu za pomysł? Nie potrzebowałem dużo czasu, żeby to zrozumieć. Nasi amerykańscy koledzy składali mianowicie na mszach jedynie ofiarę z ludzi. A tych mieliśmy przyprowadzić my, mówiąc: "chodź-ze-mną-wieczorem-na-przyjęcie". Mieliśmy za zadanie zwabić ofiary, które następnie miały być stracone. Jaki perfidny sposób, jakże to było okrutne. No tak, ale skąd brać codziennie ochotnika? Widać nie było to trudne, ponieważ przychodzili. Wciąż nowi. Czasami był to "nowy przyjaciel", którego ktoś przyprowadzał, czasem bezdomny albo młodociany uciekinier, którego znęcono w szpony sług Szatana obietnicą dobrego jedzenia, przyjęcia albo świetnej pracy. Karmiono ich później narkotykami i musieli oddać diabłu swoje życie.

Jeśli tylko zostali dźgnięci nożem lub uduszeni, mogli mówić o szczęściu. Tutejszy najwyższy kapłan był ohydny bydlakiem sadystą. Nie wystarczało mu po prostu zabić. Uwielbiał dręczyć, torturować, wypróbować, ile bólu, ile upokorzeń zniesie jego ofiara. Jego specjalnością były młode dziewczyny. Nie pozwalał im umrzeć, zanim nie zostawił w nich i na nich swojego nasienia. Jako złożenie hołdu Szatanowi oczywiście. Dla mnie kapłan ten był perwersyjnym zbrodniarzem.

Po pierwszym złożeniu ofiary w ten sposób, w naszym pokoju panował pośępny nastrój. Pomimo, że dla Piotrka nie była to nowość, wyglądał na dosyć przejętego. Jego jedyny komentarz na temat tego wieczoru brzmiał: - Łukasz, jesteś tutaj, żeby się zahartować. Jeśli chcesz zostać kapłanem, musisz być taki jak on. W tym momencie musiałem się wyrzygać. Kiedy wróciłem z łazienki,

Piotrek siedział jeszcze jak skamieniały na łóżku. Nie patrząc na mnie, powiedział tylko cicho: - Nie bój się, nie zdradzę cię. Tej nocy poprzysiągłem sobie, że nie poderwę na plaży żadnej dziewczyny. I tak nie miałem na to czasu. Podczas gdy na zewnątrz żar lał się z nieba, ja siedziałem w klimatyzacyjnym chłódzie pokoju motelowego i wkuwałem satanistyczne pojęcia, symbole, imiona i znaczenie różnych demonów. Od czasu do czasu rzucałem spojrzenie na plażową promenadę, po której między palmami i sklepami przechadzali się



szczęśliwi, beztroscy ludzie. Jakże często chciałem rzucić w kąt moje papierzyska i wmieszać się w ten tłum. Udawać, że jestem zwykłym turystą. Jednak kontrolowano moją obecność w pokoju. Codziennie, i różnych porach dnia wpadali niespodziewanie słudzy Pana. Wtykali głowę przez drzwi, moim zdaniem ze złośliwym uśmiechem, i po chwili znikali.

Ameryka miała na mnie dziwny wpływ. Noce z czarnymi mszami, ofiary z ludzi - wszystko to wyparłem z pamięci. Nie czułem ani obrzydzenia, ani współczucia, ani przerażenia, podczas gdy mordowano w okrutny sposób niewinnych ludzi. Zabroniłem sobie w ogóle się nad tym zastanawiać. Czy byłem "zahartowany"? To była przecież moja rzeczywistość, moje życie. Nie mogłem nic przeciwko temu działać.

Piotrek miał dużo więcej wolnego czasu ode mnie. Musiał tylko brać udział w mszach, a poza tym mógł robić, co mu się żywnie podoba. Jak ja mu zazdrościłem! Miałem do dyspozycji tylko te odrobinę czasu i musiałem ją jak najlepiej wykorzystać. Podczas dwutygodniowego pobytu w Ameryce spędziłem dwadzieścia osiem szczęśliwych godzin - cały mój wolny czas. Jakże chętnie poflirtowałem z dziewczynami albo zawarł spontaniczną, przyjazną znajomość z amerykańskimi chłopakami. Nie chciałem jednak nikogo narażać. To była jedyna pozostawiona mi wolność działania, za którą byłem odpowiedzialny. Schodziłem więc z drogi ludziom, którzy wydawali mi się sympatyczni. Stopniowo znowu zaczęła budzić się we mnie niezwykła ochota posiadania władzy. Mogłem decydować o życiu i śmierci drugiego człowieka. Miałem nad wszystkimi przewagę. Ta świadomość dotarła do mnie znienacka.

Poczucie siły sprawiało mi przyjemność i wzmacniało mnie. Wreszcie odnalazłem w sobie moc Szatana. Spłynęła na mnie jak objawienie. Oto ona - siła Szatana. W Ameryce nauczyłem się kochać satanizm i być dumnym z mojej wiary.

Do tej pory nie miałem okazji poznać wiele z tajemnych mocy czarnej magii, na którą tak często się powoływano, i która budziła grozę niewtajemniczonych. Jednak w Ameryce przeżyłem coś, co mnie przekonało, jak bardzo trzeba mieć się na uwadze, wierząc w Szatana i obcując z jego poddanymi.

Miało to miejsce krótko przed powrotem do Niemiec. Siedziałem jak zwykle niezadowolony w swoim pokoju i zgrzytając zębami wkuwałem zadany materiał. Czy będę musiał zdawać z tego egzamin? Nikt nie chciał odpowiedzieć mi na to pytanie. Wkuwałem więc dalej. Krótko po mojej wytęsknionej przerwie południowej miałem ważne odwiedziny. Amerykański kapłan zlustrował bacznie mój pokój i wdał się ze mną w rozmowę. Jego niemiecki był bardzo dobry. Im swobodniej ze mną rozmawiał i żartował, tym nie pewniej się czułem.

W końcu powiedział, o co mu chodzi: - Łukasz, przyszedłem, żeby pokazać ci moc naszej wiary. Połóż się na łóżku i słuchaj mnie. Odetchnąłem z ulgą i pośpieszyłem, żeby wykonać polecenie kapłana. Usiadł w nogach wielkiego łóżka. Nagle zaczął mówić do mnie po angielsku. Czyżby nie wiedział, że nie rozumiem? Zwróciłem mu na to uwagę, ale machnął tylko ręką i powiedział: - Po prostu słuchaj, wszystko zrozumiesz.

Posłusznie zamknąłem oczy. Było mi wszystko jedno, nawet jeśli nic nie rozumiałem. Kapłan miał głęboki, przyjemny głos. Docierało do mnie monotonne brzmienie jego słów: - in nomine nostri satanel - usłyszałem jeszcze. Wypowiadane przez niego słowa działały na mnie usypiająco. Kiedy jego głos zabrzmiał głośniejsz, ostrzej i rozkazująco, otworzyłem oczy. Człowieku, mam nadzieję, że nie zasnąłeś! Starłem się patrzeć na niego uważnie.

Kapłan zakończył swój monolog. Jego oczy miały taki wyraz i błysk, którego nie umiałem sobie wytłumaczyć. Coś pomiędzy triumfem, wyższością, a przebiegłością. Wstał nagle i zniknął bez słowa pożegnania. To dziwne spotkanie podsumowałem wzruszeniem ramion. Nie miało sensu stawianie pytań, na które i tak nie dostałbym odpowiedzi. Kiedy około szóstej Piotrek wrócił z plaży, już dawno zapomniałem o wizycie kapłana.

Kiedy następnego ranka, świeżo wymyty wyszedłem spod prysznic, Piotrek jeszcze wygodnie leżał w łóżku. Kiedy się ubierałem, gapił się na mnie z bezczelnym uśmiechem. O co temu znowu chodzi? Co to ma znaczyć? Przyglądałem mu się kątem oka. Coś wisiąło w powietrzu. Ale co? Tylko spokojnie, mówiłem sobie.

Piotrek aż pękał. Czy była to ciekawość, czy też chęć powiedzenia mi czegoś? Już on długo nie wytrzyma. - No - zaczął - I co, było nieźle wczoraj? Popatrzyłem na niego nie mając pojęcia, o czym mówi. - Co masz na myśli? Wczorajszy dzień spędziłem tutaj. Jak zawsze. - No tak - odpowiedział Piotrek - ale przeleciałeś wczoraj dwie kobiety. Opowiedzże coś. Jak było?

Chyba zwariował. Powoli i wyraźnie, jakbym rozmawiał z wariatem, opowiedziałem mu o przebiegu wczorajszego dnia. - Byłem tutaj. Uczyłem się. Potem przyszedł amerykański kapłan i coś tam do mnie nawijał. W porządku, sądzę, że zasnąłem podczas tej przemowy, ale to wszystko. Nie było tu żadnych kobiet i na pewno z nikim się nie przespałem. Przecież bym o tym wiedział! - byłem wkurzony.

Piotrek wstał z tajemniczym uśmiechem. Wyjął portfel z kieszeni dżinsów i podał mi dwie fotografie zrobione na polaroidzie. Niesamowite! Byłem na nich w jednoznacznej sytuacji z brunetką i rudowłosą kobietą. Z niedowierzaniem oglądałem dowody. Może to był fotomontaż? Najwyraźniej widać było ten sam

dywan, a kobiety z którymi się kochałem, nie były z papieru. Staralem się pojąć, co tu wczoraj zaszło. Jak to możliwe? Ale na tych zdjęciach to naprawdę byłem ja. Ja. To było tak niesamowite, że włosy stanęły mi dęba.

Jak to możliwe, taki zupełny odlot? Jakimi nieprawdopodobnymi, ciemnymi mocami władał ten kapłan, który mnie wczoraj odwiedził? Czy rzeczywiście mógł ze mnie zrobić bezwolne narzędzie i jednocześnie pozbawić mnie pamięci? Najwyraźniej tak. Zdjęcia były na to dowodem. Muszę stąd wyjść. Na werandzie uderzyła mnie fala gorąca i przypomniała, że tutaj, na Florydzie, powietrze nie daje ochłody. Zupełnie zaślepiony i w szoku pobiegłem na plażę i rzuciłem się w dżinsach i T-shircie do letniej wody. Już lepiej byłoby wziąć zimny prysznic w motelu, ponieważ nawet teraz nie mogłem sobie niczego przypomnieć. Zapamiętałem powracałem myślami do wczorajszego dnia i próbowałem przypomnieć sobie spotkanie z obiema kobietami, ale wszystkie starania na nic. Miałem pustkę w głowie, moje szare komórki zawarły pakt z Szatanem, nie informując mnie o tym. Przerazające uczucie. Piotrek też nie umiał mi tego wytłumaczyć, poza tym, że w czasie jego pierwszego pobytu w Ameryce i na nim wypróbowano tę sztuczkę. - Zapomnij o tym. Nie zrozumiemy tego, zanim sami nie będziemy kapłanami - poradził mi.

Miał rację. Nie miało sensu myśleć o tym, jakie okropne czyny mógł popełnić bezwolny człowiek. Mogłoby mnie to doprowadzić do szaleństwa. Postanowiłem jak najszybciej zaliczyć pozostałe egzaminy.

## **ROZDZIAŁ 11**

Po powrocie do Niemiec nie mogłem doczekać się naszego następnego spotkania. Po brutalnym składaniu ofiar w Ameryce, nasze msze wydały mi się przyjemnym spotkaniem rodzinnym, a kapłan dobrodusznym ojcem. Mój kapłan - ojciec miał dla mnie zaraz nowe zadanie. Miałem pomścić Membaris. Membaris, kobieta, którą podarował mi po zdaniu drugiego egzaminu, była prześladowana przez jakieś chrześcijańskie bydle.

Wskaż niewiernemu jego miejsce - rozkazał włożył mi do ręki nóż. Metalowy trzonek noża był zimny i ciężki. Był to szczególny sztylet. Jego trzonek zwęzał się ku końcowi, a ostrze było cieniuteńkie i ostre jak żyłka. Zabrałem ze sobą Membaris i jeden z oprawców zawiózł nas do miasta. Dopiero w samochodzie poleciłem jej: - Wskażesz mi faceta, który cię podrywał.

Skinęła posłusznie głową. Uśmiechnęła się nawet. Moja szorstkość i zdecydowanie w głosie zrobiły na niej najwyraźniej wrażenie. Podała kierowcy nazwę lokalu, w którym wcześniej spotkała tamtego mężczyznę. Posłałem ją do środka i nakazałem: - Zobacz, czy tam jest. Wróciła i przecząco pokiwała głową.

Nie. - Jego przyjaciele powiedzieli mi jednak, że zaraz powinien przyjść. - W takim razie poczekamy - zdecydowałem i usiadłem przed wejściem.

Moje serce biło szybko, ale tym razem to radość przyspieszała mi tętno. Nie upłynęło dużo czasu, kiedy Membaris szturchnęła mnie w bok. - To ten - szepnęła zdenerwowana i wskazała na dość grubego typka.

Nieznacznym ruchem głowy odesłałem ją na bok. Potem wstałem powoli. Zastąpiłem mu drogę stając w szerokim rozkroku, ze znudzona miną czyszcząc końcem noża paznokcie. Kiedy spostrzegł, że nie mam zamiaru go przepuścić, zatrzymał się po chwili wahania. Był naprawdę tłusty, zaniedbany i wyższy ode mnie o dobrą głowę. Ja stałem na schodach, więc nasze twarze znajdowały się na tej samej wysokości. Mimo moich szesnastu lat miałem poczucie wyższości w stosunku do tej góry tłuszczu. - Słyszałem, że podrywałeś moją dziewczynę - rozpocząłem wymianę zdań i mimochodem wsunąłem nóż do lewej kieszeni spodni. Facet pokręcił głową i parsknął z pogardą: - Co to za bzdura? Nie ośmieszaj się, smarkaczu. No, już, zejź mi z drogi.

Wyciągnął swoje łapsko i spróbował odepchnąć mnie na stronę. Momentalnie wykręciłem mu rękę na plecy i szarpnąłem do góry. Zabolało go - zawył z bólu. Pochyliłem się nad jego uchem i warknąłem: - Powinieneś być nieco ostrożniejszy, tłusciochu! Czy wiesz przynajmniej, z kim masz do czynienia? Nigdy nie dzielimy naszych kobiet z chrześcijańskimi świniami.

Lewa ręką wyciągnąłem nóż i przeciągnąłem ostrzem po jego twarzy - od policzka aż po brodę. - Pozdrowienia od Szatana - mruknąłem i odepchnąłem go od siebie. Upadł, jednak podniósł się szybko i zdziwiony obmacywał swój krwawiący policzek. Na odchodnym doładowałem durniowi jeszcze potężnego kopniaka w nerki. Wolnym krokiem, całkowicie z siebie zadowolony, wróciłem do samochodu. Membaris posłusznie jak piesek podreptała za mną. Byłem niezły! Także i kapłan był zachwycony.

Bydlakowi, który zaczepiał moją kobietę wyciąłem na twarzy upomnienie. Oznaczyłem go na wieki. Diabelsko dobre. A przy tym nie zaplanowałem tej akcji. Czy było to natchnienie płynące od Szatana?

Reszta roku minęła jak z bicza trzasnął. Stałem się pilnym satanistą i kapłan zostawił mnie w spokoju. Nasze spotkania, nieważne czy były to msze, czy szkolenia stały się ważną częścią mojego życia. Dawały mi poczucie własnej wartości i siły, stanowiły coś w rodzaju domu. Sataniści zastąpili mi rodziców. Moim ojcem był Szatan i on mnie wychowywał. A ja byłem dumny z mojego ojca, ponieważ zrozumiałem coś istotnego: słowo "szatan" wywoływało u ludzi poczucie strachu. Posługuj się nim często, a będą się działy niesamowite rzeczy.

Tak jak na przykład podczas meczu piłki nożnej, kiedy ujęto mnie wraz z innymi chuliganami. Oczywiście wiałem się i bronilem, próbując pozbyć się gliny, który włókł mnie do zielonej sukki. W końcu znudziły mu się moje wyczyny i walnął mnie pałką po krzyżu. Uśmiechnąłem się uniesieniem i zachęcałem go, żeby bił dalej. Z taką reakcją chyba się jeszcze nie spotkał. Nieufnie zatrzymał się i przyglądał mi się z ukosa. - Uderzenia, które mi zadajesz, uszczęśliwiają mnie. Ale jeśli teraz nie pozwolisz mi odejść, nieszczęście, które sprowadzę na ciebie i twoją rodzinę zniszczy cię.

Naturalnie nie mogłem zrozumieć, co mam na myśli. Kręcąc głową, złapał mnie jeszcze mocniej za ramię i popchnął w kierunku radiowozu. Wytłumaczyłem mu: - Jestem satanistą i zniszczę cię. Jeśli masz dzieci, już niedługo powiększą listę zaginionych, którzy zniknęli bez śladu.

Nie mogłem oczywiście wiedzieć, czy jest ojcem, ale przyjąłem, że tak. Musiał już mieć ze trzydziestkę. Chłopak nie powiedział nawet słowa i bez wrażenia doprowadził mnie do samochodu. Przed mikrobusem wyprężył się na baczność i, nawet na sekundę nie spuszczać ze mnie oczu, przywołał do siebie kolegę. Ciągłe spoglądali na mnie, przypatrując mi się uważnie. Wiedziałem, że mówią o mnie. W kieszeni kurtki znalazłem gruby, czarny flamaster. Nie zwracając na nich uwagi, z oddaniem rysowałem duży pentagram na szybie. Katem oka dostrzegłem, jak jeden policjant odchodzi, twierdząc kiwając głową. Drugi przywołał mnie do siebie, zdjął kajdanki i nakazał: - Spływaj stąd! - Boisz się? - nie mogłem po prostu powstrzymać tego pytania. - Nie - odpowiedział - nie boję się, ale ty jesteś z nimi. Z takimi wariatami jak ty zawsze jest tylko kłopot. Idź i zostaw nas w spokoju!

Tą historią musiałem się oczywiście podzielić z Piotrkim, ale on przytłumił nieco poczucie mojego triumfu. - Prawdopodobnie był jednym z nas i dlatego pozwolił ci odejść. Normalnie przyskrzyniliby cię za opór i groźby wobec władzy wykonawczej.

Nieufnie spytałem: - Czy w naszej grupie są też policjanci? Piotrek roześmiał się w głos z mojej bezgranicznej naiwności. Nagle spoważniał i powiedział ostro: - A co ty myślałeś? Do nas należą ważni i sławni przedstawiciele różnych zawodów - adwokaci, politycy, chemicy, lekarze. Jak inaczej satanistki mogłyby rodzić dzieci, żeby te nie były zarejestrowane? Tylko z pomocą lekarzy, którzy do nas należą. Jak myślisz, w jaki sposób zdobywamy bez problemu kwasy, w których rozpuszczane są trupy? Skąd bierzemy narkotyki, które są używane podczas mszy?

Przestraszony zasłonił usta ręką. Byłoby lepiej, gdyby milczał, ale teraz było już za późno. Zapomnij lepiej o tym, powiedziałem dużo za dużo. Najwidoczniej nie powinienem o niczym wiedzieć. Nie wolno było. On wciąż

jeszcze mi nie ufał. Nigdy nie pojąłem, dlaczego trzymali takie rzeczy dla siebie. Głupie tajemnice. Dobrze przecież było wiedzieć, że w naszej grupie znajdowali się tak wpływowi, nieźle zarabiający i kompetentni ludzie.

Przez całe lato musiałem zabijać małe zwierzątka. Było to polecenie kapłana. Twierdził, że w ten sposób przygotowuję się do trzeciego egzaminu. Piotrek mi w tym pomagał. Zacząłem od kurczaków, kaczek i królików. Zabijanie ich nie robiło już na mnie wrażenia, a czegoś w rodzaju współczucia pozbyłem się, tłumacząc sobie, że i tak jest za dużo zwierząt. Później znęcałem się nad kotami.

Nikt właściwie nie nakazał mi torturowania zwierząt. Była to jakaś wewnętrzna potrzeba, chęć zobaczenia, jak daleko mogę się posunąć. Ile cierpienia i bólu mogę zadać żywej istocie, żeby nie wywarło to na mnie wrażenia. Wynik był imponujący - wszystko szło wspaniale i nie byłem ani trochę wrażliwy. W sposób oczywisty odczuwałem wyższość w stosunku do moich ofiar, a te zwierzaki były wobec mnie bezradne. Fascynowało mnie to bardzo. Posiadałem władzę. A ta władza była jak narkotyk. Ale to nie wszystko. Ekscytowała mnie nie tylko mordercza zabawa z nimi, ale nawet podczas niej nie robiło mi się niedobrze. Moje sumienie było martwe. O każdym morderstwie zapominałem w pięć minut po jego popełnieniu.

A potem wydarzyła się historia z papugą. Dzisiaj nie mogę sobie nawet wyobrazić, że człowiek może być zdolny do takiego czynu. Papuga nazywała się Laura i należała do sąsiada moich rodziców. Sąsiad był wdowcem, nigdy nie przyjmował gości i żył samotnie. Ten ptak był wszystkim, co mu zostało, nie widział poza nim świata. Z Laurą wiązał się jednak poważny problem. Jej ciągle wrzaski denerwowały wszystkich lokatorów. Szczególnie w lecie Laura urządziła przedstawienia, gdyż wolno jej było cały dzień przebywać na balkonie. Ptak gwizdał, krakał, naśladował różne dźwięki i godzinami gadał sam ze sobą. Od rana do wieczora. Lokatorzy zatykali sobie uszy i klęli, tylko właściciel Laury był zadowolony. Kochał papugę bezkrytycznie.

Gównu mnie obchodziły uczucia tego człowieka. Interesowała mnie tylko papuga. Pewnego razu przechodziliśmy z Piotrkim obok domu moich rodziców. Już z daleka usłyszałem skrzeczenie Laury. Siedziała na parterze, na swojej żerdzi na balkonie i była sama, gdyż drzwi balkonowe były zamknięte. Niechybny znak, że jej pan wyszedł z domu.

Był to jeden z tych upalnych, letnich dni, kiedy w porze obiadowej nie było na ulicy żywej duszy. Okazja sama się nadarzała. Piotrek podsadził mnie na balustradę, a ja później podciągnąłem jego. Laura trzepotała skrzydłami i pogwizdywała niespokojnie na widok tak nagłej wizyty: Nie mogła odlecieć, bo była przywiązana do żerdzi łańcuszkiem umocowanym na nodze. Laura była

łatwą zdobyczą. Nie wahając się długo, jednym ruchem skręciłem jej kark. Teraz nareszcie umilkła.

Jednak jakoś mi to nie wystarczyło. Nie byłem jeszcze zadowolony. Niechętnie gapiałem się na martwą kupkę kolorowych piór, która leżała u moich stóp, na okropnej betonowej podłodze. Przykucnąłem niezdecydowany. A gdybym tak... Zanim jeszcze zdążyłem pomyśleć do końca, moje ręce usamodzielniały się. Złapałem martwego ptaka za dziób i rozwarłem go na oścież nagłym szarpnięciem. Na ścianie narysowałem krwią ptaka i pentagram. Dopiero teraz odczułem zadowolenie.

Chodź, zwiewamy! - powiedziałem, ale Piotrek jakby wrósł w ziemię. - Hej, stary, chodź! - pośpieszałem. Przeskoczyliśmy przez balustradę balkonu wprost na ulicę. Naprawdę poprawiło mi to nastrój. Pogwizdując wesoło, dziarskim krokiem i w dobrym humorze kroczyłem w letnim słońcu. Piotrek szedł obok, milcząc, ze spuszczoną głową. Dopiero w samochodzie spytał mnie: - Dlaczego to zrobiłeś? Odpowiedziałem zadziornie: - Bo mi to sprawiało przyjemność. Jeśli tylko pomyślę, jakiego szoku dozna ten facet, kiedy znajdzie swoją Laurę... prawdziwe szataństwo! - I z napięciem w głosie dodałem: - A może widzisz to inaczej?

Piotrek potrząsnął głową w odpowiedzi. Miałem wrażenie, że powoli zaczynałem budzić w nim zgrozę. No i co z tego? W końcu to on był tym, który od początku wmawiał we mnie, że spodoba mi się takie brutalne życie. Teraz się tak stało. Sprawiało mi przyjemność i to ogromną. Piotrek nagle jakby się wycofał. Tylko dlaczego?

W listopadzie, w drugim roku służby Szatanowi, kapłan ponownie zawołał mnie do pomieszczenia na zapleczu magazynu, w którym zawsze odbywały się nasze msze. Miałem się teraz nauczyć, jak się zabija zwierzę ofiarne. O kurcze! W tym momencie czułem pustkę w głowie. Na podstawie szkicu wytłumaczył mi prawidłowe chwyt. Gdzie należy wbić nóż, jak głęboko ostrze ma przeciąć ciało, żeby nie spowodować przedwczesnej śmierci zwierzęcia. Jak trzeba trzymać nóż podczas rozcinania brzucha i po czym można poznać, że trafia się w okolice serca. Chociaż trenowałem zabijanie zwierząt, wydawało mi się to nieco trudne. Do tej pory nie grzebałem we wnętrznościach żyjących zwierząt, już nie mówiąc, że nie miałem pojęcia o ich anatomii. A w dodatku musiałem zaprezentować ten numer przed publicznością. Zgraja z pewnością tylko czekała, żebym się skompromitował.

Przed rozpoczęciem mszy moje serce zaczęło walić jak dawniej, a dłonie pociły się. Nie pomagało, że wycierałem je wciąż dyskretnie o mój brązowy habit. Wreszcie wprowadzono zwierzę ofiarne. Pomocnicy kapłana przymocowali je do ołtarza i kapłan poprosił mnie skinieniem ręki o podejście.

Drżałem ze zdenerwowania, miałem nadzieję, że tego nie zauważył. W końcu był to chrzest bojowy przed moim trzecim egzaminem. I nie powinienem sądzić, że jeszcze nie jestem do niego gotowy. Na stoliku obok ołtarza leżało piętnaście noży. różnych rozmiarów. Po chwili namysłu kapłan wybrał błyszczący, złoty, z około dwudziestocentymetrowym ostrzem. Następnie podał mi tę bogato zdobioną szatańskimi symbolami broń. Trzymając ją w lekko drżącej dłoni, miałem wrażenie, że waży niesamowicie dużo. Teraz przyszedła kolej na mnie, musiałem udowodnić, że umiem poprowadzić mój pierwszy kultowy obrządek. Zachęcającym skinieniem głowy nasz przełożony nakazał mi dokonać rytualnego mordu.

Po raz pierwszy wykonywałem jakiś sensowny rozkaz. Uczyłem się czegoś, co mi będzie potrzebne, jako przyszłemu kapłanowi. Nareszcie doszło do tego. Skończyło się bezpowrotnie bycie ofiarą. Nikt mnie już nie będzie bił i dawał mi bezsensownych, poniżających rozkazów, ani też katował mnie, wywołując we mnie obrzydzenie. Piąłem się do góry.

Westchnąłem z ulgą kiedy podchodziłem do ołtarza. Leżała tam moja ofiara, z wyciągniętymi przed siebie wszystkimi czterema kończynami. Przywiązana, dawała mi możliwość łatwego nacięcia. Bez wrażenia spojrzałem w przepętnione strachem oczy owcy. Ośmieliła mnie myśl, że posiadam nad tym zwierzęciem tak dużą władzę, że mogę je zabić. Łukasz - bezlitosny, zachęcałem w myślach sam siebie.

Przyłożyłem nóż dokładnie na odległość trzech palców pod klatkę piersiową i fachowo pociągnąłem ostrze po miękkim brzuchu, tak jak mnie tego uczył kapłan. Zrobiłem to bez zmrużenia oka. Potem skoncentrowałem się na silnym szarpnięciu, którym miałem otworzyć brzuch zwierzęcia. Nie było to wcale takie proste, gdyż zwierzę kręciło i wrywało się w śmiertelnym strachu. Przeszkadzało mi jego głośne beczenie. Odwracało moją uwagę od wykonywanego polecenia. Byłem wściekły. Nie panując nad sobą, złapałem owcę za uszy i uderzyłem jej głową o marmurową płytę. Chciałem, żeby się zamknęła. Miała zamilknąć i umrzeć z godnością. Dla Szatana, mojego Pana. Kapłan powstrzymał mnie: - Zostaw to i wyjmij serce - zażądał surowo.

Zawahałem się. Straciłem pewność siebie. Czy je znajdę? Kapłan odgadł moje myśli. Położył swoją dłoń na mojej i razem grzebaliśmy w ciepłych wnętrznościach zwierzęcia. Serce, oto było, znaleźliśmy je! Wspólnie przecięliśmy arterię i powstrzymaliśmy krwawienie.

Obiema rękoma złapałem śliski, pulsujący organ i wyciągnąłem go. Przez krótki moment przestraszyłem się, że mi wypadnie z rąk. Jednak udało się. Z głośnym okrzykiem triumfu, podniosłem je do góry, tak wysoko nad głowę, żeby wszyscy zobaczyli. Krew spływała mi do rękawa, aż do pachy. Było mi to



obojętne. Powiodło mi się. Złożyłem ofiarę z owcy. Zwyciężyłem. Szatan był we mnie. Podałem serce kapłanowi, a ten zwrócił się do reszty uczniów i zgrai: - Chwała synowi Szatana. Okazał się godnym naszego Mistrza i zdał swój trzeci egzamin. Nie dowierzałem własnym uszom. Myślałem, że była to dopiero próba generalna, żebym mógł poćwiczyć rytualne ofiarowanie, zanim zostanę dopuszczony do trzeciego egzaminu.

Dumny i mile wyróżniony wykonywałem resztę czynności jak w transie. Naciąć tętnice szyjne. Podstawić kielich. Złapać krew. Podać kielich kapłanowi. Wolno mi było zaraz po nim wypić krew ofiarną i zjeść połowę własnoręcznie wyrwanego serca. Zrobiło mi się jednak znowu niedobrze. Istniały rzeczy, do których nigdy się nie przyzwyczaję. I najwidoczniej jedną z nich było spożywanie surowych wnętrzności.

Po powrocie do kręgu uczniów z niecierpliwością czekałem na koniec mszy. Ciągle jeszcze było mi niedobrze i kręciło mi się w głowie tak, że trudno mi było ustać w miejscu, prosto i spokojnie. Z pewnością to wina tego przeklętego serca. Ciężyło mi w żołądku jak ołów.

Wykończony jak po ciężkim dniu pracy, opadłem w samochodzie na siedzenie obok Piotrka. Nie wytrzymałem długo jego ogłuszającej muzyki heavy-metalowej. Rozżłoszczony wyłączyłem ją. Jednak cisza też była denerwująca. - No co, nie pogratulujesz mi? - usiłowałem przełamać dystans Piotrka. Kiwnął tylko odmownie głową. Wydawał się być wstrząśnięty. Z pogardą wzruszyłem ramionami. A niech się ugryzie... Było mi obojętne, co sobie myśli. Piotrek milczał uparcie. Dopiero przed drzwiami domu wykrztusił z siebie: - Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem. Byłeś dziś wieczorem tak swobodny, obojętny i nieobecny. Do tej pory każdy, kto zdawał ten egzamin, miał jakieś trudności. Nikomu nie przyszło z taką łatwością, jak tobie, zabicie w ten sposób zwierzęcia. Mnie również nie.

Nie rozumiałem Piotrka. Parsknąłem zirytowany: - Dlaczego? Jeśli chcesz być kapłanem, musisz robić właśnie takie rzeczy. Ruszyło cię teraz chrześcijańskie sumienie, czy co? Piotrek otworzył usta, żeby mi odpowiedzieć, ale ja nie miałem ochoty słuchać. - Nie interesuje mnie już - przerwałem mu i wysiadłem z samochodu. Zazdrościł mi po prostu, że lepiej od niego wypadłem na egzaminie. Zanim zatrzasnąłem drzwi samochodu, rzuciłem jeszcze: - Dzięki za podwiezienie i... Dobranoc! - Chciałem, żeby zabrzmiało to cynicznie. Czy zauważył?

## **ROZDZIAŁ 12**

W następnych dniach miałem znakomity nastrój. Chodziłem wesoły i z podniesioną głową. Naprawdę szkoda, że nie było nikogo, komu mógłbym

pochwalić się moim wspaniałym osiągnięciem. Zdałem trzeci egzamin. I to brawurowo! Przede mną była droga tylko w górę.

Jedynie kiedy przypominałem sobie niechęć na twarzy Piotrka, pojawiały się męczące wątpliwości. Stałem się już jednak mistrzem w zapominaniu o nieprzyjemnych rzeczach. Nie pozwolę zepsuć mu mojego dobrego humoru i wspaniałego osiągnięcia. W najbliższych tygodniach nasza zażyła znajomość uległa znacznemu ochłodzeniu. Zabierał mnie wprawdzie tak jak do tej pory samochodem, ale uparcie unikałem wyjaśniającej rozmowy. Także i Piotrek milczał zawzięcie jak się później dowiedziałem, ze strachu przede mną.

Nasza przyjaźń umierała po trochu i wcale mi się to nie podobało. Ta męcząca cisza między nami przeszkadzała mi i coraz częściej czułem, że brakuje mi Piotrka. Zrozumiałem, jak był dla mnie ważny i ile dla mnie znaczył. Przez ostatnie dwa lata był jedynym człowiekiem w sekcie, któremu mogłem zaufać. Tylko jemu mogłem dokładnie opowiedzieć o moich przeżyciach. Dani i Tobiasz, jedyne osoby, z którymi się kontaktowałem poza tajnym związkiem, nie mogli dowiedzieć się niczego dokładniejszego o sekcie. Nigdy nie opowiadałem im o szczegółach. Stanowiłoby to dla nich zbyt duże obciążenie i zagrożenie.

No, ale w końcu z kimś musiałem pogadać. Uciekałem się więc do rozmów z samym sobą, ponieważ nie wytrzymałem już tej ogłuszającej ciszy i odizolowania. Udawałem, że rozmawiam z Piotrkiem. Mruczałem coś do siebie, myślałem nad tym, dyskutowałem. Tematem był zawsze mój brawurowo zdany egzamin, dopóki nie zaczęło mnie nurtować jedno pytanie. Pytanie, na które nie mogłem dostać odpowiedzi. Dlaczego Piotrek nie jest już od dawna uczniem czwartego stopnia? Przecież swój trzeci egzamin zdał długo przed moim wstąpieniem do sekty! Dlaczego odwrócił się ode mnie tak zdecydowanie? Czy był zazdrosny? Po raz pierwszy myślałem o kimś innym. Do tej pory byłem zbyt zajęty sobą samym. Nie zauważałem tego nawet. Niczego nie zauważałem. Pojawiło się we mnie od dawna nieznane, niezwykle uczucie - martwiłem się o kogoś. O Piotrka. Był dla mnie zawsze dobrym przyjacielem i doradcą. Być może potrzebował mnie teraz, a ja nie zauważyłem tego z powodu mojej pychy. Natychmiast złapałem za telefon i zadzwoniłem do niego.

Spotkaliśmy się w parku. Na świeżym powietrzu ma się największą pewność, że nikt niepożądany nie słucha. Jego wymuszony uśmiech i sceptyczne spojrzenie dały mi od razu do zrozumienia - nie ufa mi. Nie było w tym nic dziwnego, mogłem przecież stać się już kapusiem kapłana. Okropne uczucie, żaden z nas nie czuł się bezpiecznie w obecności drugiego.

Ja jednak chciałem, musiałem przekonać Piotrka o mojej lojalności. Mówiłem do niego przez dobre pół godziny. Zwierzył mi się z dużym oporem. Wreszcie wydawało się, że uwierzył, że przyjaźń z nim znaczy dla mnie więcej

niż sataniści. Dopiero wtedy mogłem mu zadać pytanie, na które sam nie umiałem znaleźć odpowiedzi. - Dlaczego od mojego wstąpienia do sekty nie zdałeś następnego egzaminu?

Staął w miejscu, spojrzał na mnie przeciągle i wnikliwie, aż wreszcie cicho zapytał: - Czy możesz sobie wyobrazić, że masz zabić człowieka? Tak jak bez problemu zabijasz zwierzęta? Wcale nie podobały mi się uczucia, które obudziło we mnie to pytanie.

Przyjrzałem się starszej kobiecie, która szła przed nami po parku, z trudem stawiając nogę za nogą. Czy spacerowanie w tym wieku sprawiało jej jeszcze przyjemność? I czy w ogóle można się cieszyć, kiedy jest się takim kruchym? Ona ma już życie za sobą. Być może nawet uczyniłbym jej przysługę, gdybym je zakończył. Czy mógłbym, więc ją zabić? Nigdy! Nigdy! Kim byłem, żeby podejmować taką decyzję? Nie zrobiłbym tego, chociaż nawet jej nie znałem, nie była dla mnie bliską osobą, tylko kimś obcym.

A co stałoby się, jak czułbym się, gdyby moi bracia w Szatanie wyznaczyli mi kogoś znajomego albo członka rodziny? Takie wredne świństwa były przecież ich specjalnością. Dlaczego nigdy o tym nie pomyślałem? Dlaczego nigdy nie chciałem zrozumieć, że ja jako przyszły kapłan, a przecież chciałem nim zostać, będę także musiał zabijać ludzi. To był przecież rytuał, ofiara dla Szatana. W to wierzyłem. Nie mogłem pojąć, jaki ja byłem ślepy. Widziałem tylko to, co chciałem widzieć, a całej niewygodnej reszty nie dostrzegałem. Pozostawało mi tylko jedno wyjaśnienie - cała siłę zużywałem, żeby sobie wmówić, że jest mi obojętne, co się rozgrywa podczas mszy. Łukasz - mistrz wypierania, nie dopuścił do siebie myśli, że będąc kapłanem, trzeba także zabijać ludzi. Piotrek zauważył chyba, że byłem w tym momencie w dużym szoku i straciłem pewność siebie. Ostrożnie zrezygnował ze swego uporu, przełamał się i opowiedział mi swoją historię:

Trzeci egzamin zdał z ogromnym trudem. Podczas rytualnego zabijania zwierzęcia zrobiło mu się niedobrze i wymiotował na oczach całej wspólnoty. Konieczną do wykonania zadania siłą wtłukli mu później pomocnicy kapłana. Jednak jego dłoń drżała jak liść osiki, kiedy miał otworzyć brzuch zwierzęcia. Dlatego biedne zwierzę cierpiało więcej, niż to było konieczne i z tego powodu przez następne tygodnie prawie zniszczyło go poczucie winy. Żeby naprawić jakoś ten haniebny wyczyn, Piotrek musiał zwerbować nowego członka. Mnie. - Łukasz, od początku było mi przykro, że cię w to wciągnąłem - wyznał mi Piotrek. - Usiłowałem ci pomagać, jak tylko mogłem.

Widziałem przecież, jak bardzo cierpisz. I wierz mi, czułem się jak ostatnie gówno. Jakoś zawsze miałem nadzieję, że uda się nam wspólnie z tego wyjść. Ale teraz, kiedy widzę, jak bardzo fascynują cię te wszystkie okrucieństwa... -

nie dokończył zdania. Szliśmy obok siebie w milczeniu. Mokry chód listopadowego popołudnia przenikał przez ubranie. Jednak dużo gorszy był ten lodowaty koszmar, który rósł we mnie.

Po chwili Piotrek mówił dalej. Cicho i monotonicznie, tak, że z trudem go rozumiałem. - Pamiętasz jeszcze nasz wyjazd do Ameryki? Zawsze mi zazdrościłeś, że mam więcej wolnego czasu. Jednak mój kurs był straszliwy. - Nie zauważyłem, żebyś był w złym nastroju - wtrąciłem.

Piotrek zaśmiał się cynicznie: - Człowieku, przecież nas się trenuje, żeby nie pokazywać żadnych uczuć. Od pierwszego dnia. Zresztą sam wiesz o tym najlepiej. Piotrek opowiadał dalej i słuchałem go z coraz większym przerażeniem. W trzy miesiące po naszym powrocie z Ameryki Piotrek dostał zadanie zabicia człowieka. - Nawet, gdyby to był nieznajomy, nie mógłbym tego zrobić - powiedział Piotrek. Mówił teraz pospiesznie, był całkowicie wstrząśnięty. - Oni jednak wybrali na ofiarę mojego szwagra. Mojego szwagra, Łukasz! Czy spędzałem z nim za dużo czasu? Czy za dobrze się z nim rozumiałem? Czy zrobił coś, co nie spodobało się Szatanowi? Czy był tylko przypadkowym humorem kapłana, zaspokojeniem jego chorych potrzeb? Stawiałem sobie, Łukasz, tysiące pytań, ale jedna sprawa była dla mnie jasna - nie mogłem tego zrobić!

Piotrek był wówczas tak przygnębiony, że przestał chodzić na msze - Przypominasz sobie? Zadzwoiłem wtedy do ciebie i powiedziałem, że jadę na urlop. Pamiętasz jeszcze? W rzeczywistości zwiąłem. Przeniósł się do innego miasta. Miał nadzieję, że go nie znajdą. Ale olbrzymi wysłedzili go. Przeprowadzili go z powrotem i został ukarany. Pod nieobecność wspólnoty, na nadzwyczajnym posiedzeniu przytwierdzili go do ołtarza. Następnie kapłan zrobił mu na tułowiu głębokie nacięcia nożem. Nasypał do nich soli, żeby powstały okropne blizny. Ułożył rany w określonym porządku, żeby Piotrek był naznaczony raz na zawsze - jako ukarany przez satanistów. Każdy współwyznawca, który zobaczyłby go rozebranego do pasa, poznałby natychmiast, że okrył się hańbą. Nie można mu ufać, bo już raz zwrócił się przeciwko Szatanowi. Wzrok Piotrka był pusty, a głos brzmiał beznadziejnie, kiedy dodał: - Tej nocy złamali moją wolę, Łukasz. Odebrali mi życie, chociaż wolno mi było żyć dalej.

Piotrek miał szalone szczęście, że oprawcy odnaleźli go w ciągu sześciu tygodni. Tylko dlatego nie wycięli mu na piersi pentagramu. Jeżeli ukrywałby się dłużej, traktowano by go jak zdrajcę. Nic z tego nie rozumiałem. - Ale przecież pentagram nie jest tak bolesny, jak te wszystkie okropne nacięcia.

Odpowiedz Piotrka była przerażająca: - Zdrajcy są żywymi trupami - wyjaśnił mi. - Z pentagramem na piersi możesz wprawdzie wrócić do domu, ale

następnego dnia zaczyna się na ciebie nagonka. Będą cię ścigać, aż cię dopadną. A dopadną cię. Jesteś zwierzyną, a pentagram na piersi daje zgodę na odstrzał. Zgraja jest pazerna na żywe trupy. Kto takiego przyprowadzi, ma szansę dostać się do kręgu uczniów.

Brutalnie, ale skutecznie, Piotrek poruszył do myślenia mój leżący odłogiem aparat myślowy. Nigdy nie chciałem zabić człowieka. Nigdy! Nagle zrozumiałem, jak to dobrze mieć przyjaciela. Jak to wspaniale móc komuś zaufać. Bezgranicznie, tak jak Piotrkowi. Szatan nie toleruje przyjaźni. Nie ma racji, myślałem przekornie. Dlaczego miałem mu wierzyć, że konieczne są ofiary z ludzi? Spontanicznie rzuciłem się Piotrkowi na szyję i wyszeptalem z zakłopotaniem: - Uda nam się. Wyjdziemy z tego obaj.

Piotrek jednak potrząsnął zrezygnowany głową. - Niech ci się nie wydaje, że to takie łatwe. Opowiedział mi, jak często myślał o samobójstwie. - To jest jedyna droga, żeby wydostać się z tego całego gówna. Jeśli jednak ja się zabiję, zamordują ciebie. Satanistyczne prawo głosi bowiem, że ostatni członek wprowadzony do sekty przez samobójcę też musi umrzeć. - Nie starczy Szatanowi ofiarowanie krewnego? Piotrek w odpowiedzi smętnie pokiwał głową. - Ty automatycznie jesteś zagrożony. Mogłem mieć wcześniej na ciebie zły wpływ. Siedliśmy na parkowej ławce i Piotrek całkiem zapadł się w siebie. Wyszeptał: - I tylko dlatego jeszcze tego nie zrobiłem, bo śmierci się nie boję.

Piotrek otworzył się przede mną, wtajemniczył mnie w swoje myśli o odejściu, a to oznaczało największą zdradę wobec Szatana. Stanowczo ostrzegł mnie, żebym nie pisał ani słowa. Sam wiedziałem, że gdybym poszedł z tym do kapłana, zarobiłbym wprawdzie ogromny punkt, ale dla Piotrka oznaczałoby to karę śmierci przez torturowanie. Miał rację. Musimy odczekać. Najpierw dalej robić swoje. Przynajmniej sytuacja między nami była jasna. Będziemy sobie wzajemnie pomagać i jeśli będzie to znowu konieczne, podnosić na duchu. Żaden z nas nie musi drżeć przed zdradą. Mogliśmy sobie zaufać.

Tego wieczoru zaserwowałem sobie butelkę Southern Comfort. Piwo już dawno przestało na mnie działać. Potrzebowałem czegoś mocniejszego żeby uspokoić wzburzony umysł i móc zasnąć. Następnego ranka moje zwoje mózgowy jednak znowu zaczęły pracę. Zabić człowieka. Popęlić morderstwo. To było przecież całkiem coś innego niż ukręcenie szyi jakiemuś zwierzęciu. Zwierzęta nie myślą, a przynajmniej nie myślą logicznie. Są głupie i ufne. Ludzie są natomiast nieufni. Kiedy się ich mocno złapie, wzywają pomocy i bronią się. A do tego jeszcze dzieci! Niewinne istoty tak potrzebujące opieki. Nigdy. Nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego.

Dlaczego marzyłem o zostaniu satanistycznym kapłanem? Czy rzeczywiście miałem takie klapki na oczach, czy też magiczne czary kapłana

zablokowały moje myśli? Nawet jeśli tak się stało, Piotrek je uwolnił. Nie miało sensu rozmyślać nad tym. Tylko teraz nie zwariować! Muszę dalej udawać entuzjazm i czekać na pierwszą okazję.

Daniela i Tobiasz stanowili mój jedyny kontakt ze światem zewnętrznym. Jedyni normalni ludzie w moim życiu. Dani była osobą, której najbardziej ufałem. Naturalnie nie opowiadałem jej żadnych szczegółów z mojego drugiego, złego życia. Mogłem jednak przy niej uporządkować moje rozdwojone myśli, mogłem ująć w słowa zwątpienie w naukę satanistyczną i miałem się do kogo zwrócić i przy kim odpocząć. Zawsze była gotowa do pomocy, akceptowała i lubiła mnie, jako człowieka. Czułem się w jej obecności pewny siebie. Dla mnie była ostoją spokoju i szczęścia, w której mogłem znaleźć schronienie, gdy nade mną szalało zło, chcące mnie unicestwić.

Z Tobiaszem dla odmiany prowadziłem zażarte dyskusje. Nie chciał mi po prostu uwierzyć, że we trojkę nie damy rady tej satanistycznej bandzie. Był opętany pomysłem wyciągnięcia mnie z tego. Nie bez podstaw, ponieważ widział, że jego siostra jest na najlepszej drodze do wpakowania się w nieszczęście. Zawsze, gdy się spotykaliśmy, wiercił mi dziurę w brzuchu o sektę. Dopytywał się, po czym można poznać satanistę, gdzie się spotykamy, w jakie dni odbywają się msze, czy poznałbym kapłana na ulicy i tak dalej. Wiedział, że jestem głuchy na te pytania. Mimo to nie dawał za wygraną. Usiłowałem mu wytłumaczyć, że przez zadawanie takich pytań, naraża się na niebezpieczeństwo. Zawsze, kiedy byliśmy gdzieś razem, ostrzegałem go: - Zamknij się, nie wiesz nigdy, kto siedzi obok ciebie i słucha!

Był ponury listopadowy dzień, kiedy się wymknąłem, żeby w naszej ulubionej knajpie spotkać się z Danielą i Tobiaszem. Piąta po południu, a już całkowicie ciemno. Kląłem cicho. Niezadowolony, nie spoglądając na nich nawet, mruknąłem prawie niesłyszalne "cześć" i walnąłem się, nie podnosząc oczu, na ławkę przy naszym stole. Ta mokra i zimna listopadowa pogoda psuła mi nastrój. Byłem w całkowitej depresji i przypisywałem winę ohydnej pogodzie. Normalnie oboje zagadywali mnie bez chwili przerwy, ale tym razem nie odezwali się ani słowem. Rozzłoszczony spojrzałem na nich. Na stole stała butelka szampana. Pytając przenosiłem wzrok z Danieli na Tobiasza i z Tobiasza na Danielę. Oboje wyglądali, jakby właśnie wygrali w totolotka. Uśmiechali się od ucha do ucha i pełni oczekiwania wpatrywali się we mnie bez słowa. Westchnąłem znudzony i niedbale wskazałem ręką na szampana. - No, dobrą, o co chodzi? - Jedziemy do Ameryki - prawie jednocześnie wyrzucili z siebie nowinę. Tobiasz dodał: - I chcemy, żebyś pojechał z nami.

Moi kulturyści dostali od amerykańskiego sponsora propozycje pracy w Kalifornii i prowadzenia tam treningów. Urzeczywistniło się wreszcie ich

najskrytsze marzenie. Tobiasz nalegał: - Pojedziesz z nami, nie bój się, najpierw cię utrzymamy, a kiedy już tam będziesz, na pewno szybko znajdziesz pracę. Oto pojawiła się szansa, na którą zawsze czekałem. Jedyne rozwiązanie poza samobójstwem. Dużo lepsze oczywiście. Ameryka. Kraj nieograniczonych możliwości. Nawet bez pozwolenia na pracę. Z pomocą przyjaciół udałoby mi się. Potem jednak pojawiły się wątpliwości. Czy rzeczywiście powinienem wyjechać? Dlaczego nagle poczułem jakby żal na samą myśl, że na zawsze miałbym opuścić moich braci w Szatanie? Właściwie było mi tu bardzo dobrze. Uznanie w sekcie było dla mnie bardzo ważne. Jeśli pojechałbym z Dani i Tobiaszem do Kalifornii, musiałbym wszystko zaczynać od początku. Nie znałem tam nikogo poza tą dwójką. I nie znałem angielskiego. Jakbym się tam porozumiewał? Ledwo wyjawiałem moje wątpliwości, a już przyjaciele zasypali mnie kontrargumentami. Tego było dla mnie za dużo.

Poprosiłem o czas do namysłu i zaproponowałem oblanie tego radosnego wydarzenia. Mieli odlecieć 9 stycznia. Wyjaśniłem im już, że nie pojedę z nimi. Oficjalnym powodem było, że chcę najpierw zakończyć naukę. Później, tak im obiecałem, dojadę do nich. Przed samym sobą musiałem się przyznać, że nie opuszczę Szatana. Dlaczego tak było, pozostało dla mnie tajemnicą. Trzy dni przed ich odlotem zadzwoniła Daniela: - Łukasz, proszę, przyjdź szybko! Zdarzyło się coś okropnego! Tobiasz nie żyje! Rzuciłem słuchawkę i pognałem. Dani była roztrzęsiona i łkała rozpaczliwie. Nie można z niej było wydostać ani jednego rozsądnego słowa. Wziąłem ją więc w ramiona, głaskałem uspokajająco po plecach i czekałem. Biedna Daniela. Tak jakby za mało przeszła w swoim młodym życiu. Kiedy miała zaledwie czternaście lat, straciła rodziców w wypadku samochodowym. Od tej pory brat był dla niej całą rodziną. Nie miała żadnych dziadków ani krewnych. Stąd związek z Tobiaszem był dużo bliższy niż to bywa wśród innych rodzeństw. Kiedy wreszcie przestanie płakać?

Miałem jak najgorsze przeczucia i dlatego chciałem jej zadać kilka pytań. W domowej apteczce znalazłem walerianę. Podałem jej i po dłuższej chwili zaczęła odzyskiwać panowanie nad sobą. Wreszcie dowiedziałem się, co się stało: Poprzedniego wieczoru Tobiasz nie wrócił z treningu. Specjalnie się o niego nie martwiła, gdyż czasami zostawał na noc u przyjaciela. Dopiero kiedy obudziła się rano, a jego jeszcze nie było, zaczęła się niepokoić. Kiedy zastanawiała się, co ma zrobić, odezwał się dzwonek u drzwi. Przed drzwiami stało dwóch mężczyzn w cywilu, pokazując legitymacje policyjne. Poinformowali ją, że znaleziono w parku ciało jej brata. Pobity na śmierć. I że ona musi je zidentyfikować. Z płaczem w głosie wyjąkała: - Och, Łukasz, on wyglądał tak okropnie. Prawie nie mogłam rozpoznać jego twarzy. Kto mógł zrobić coś takiego? I dlaczego? Dlaczego mój brat? Jak ja sobie bez niego poradzę? Teraz nie mam już nikogo na świecie.

Zrozpaczona wtuliła się we mnie. Pozornie spokojny, trzymałem ją mocno, ale moje serce waliło jak dzikie, a myśli plątały się. Skatowano go na śmierć. To był znak satanistów. Ale dlaczego nie pozbyli się go, jak wszystkich swoich ofiar? Czy była to wiadomość dla mnie? Ostrzeżenie? Dlaczego byli tacy pewni, że ani ja, ani Daniela nic nie powiemy. Musiałem się upewnić.

Tego samego wieczoru, kiedy Daniela zasnęła wyczerpana, dotarłem do naszego miejsca spotkań. Nie było tam żywej duszy. Zresztą nikogo nie oczekiwałem. W tygodniu nie odbywały się żadne zebrania. Mimo to czułem się niepewnie, podążając do tego przekłętego ogrodu z żelaznych prętów. Na wspomnienie mojego egzaminu wstępnego przeszedł mnie dreszcz. Ilu przede mną i ilu po mnie wisiało już na tym płocie, ilu było bezbronne wystawionych na brutalne uderzenia satanistów? A ilu, pytałem się teraz, umarło w trakcie bicia? Szedłem powoli wzdłuż płotu i oglądałem pojedyncze pręty. Jest! Pręt, od którego coś odpadało i przyklejało się do mojego palca. Skierowałem światło latarki na rękę. Ciemne, czerwone punkciki. To nie była odłóżka farba, to była zaschnięta krew! W pośpiechu oglądałem kolejne pręty. Na poprzecznym pręcie, na dole zebrało się więcej krwi, była jeszcze wilgotna. - Widzę, że się rozumiemy, Łukasz! Wzdrygnąłem się i odwróciłem.

Za mną, w obstawie dwóch oprawców, stał kapłan. Trzy ciemne, okropne sylwetki w świetle księżyca. Skąd oni się wzięli? Mimo że droga była posypana żwirem, nie słyszałem kroków. Jakby zjawili się z powietrza. Stali bez ruchu dwa metry ode mnie. Groźnie. Zagradzali mi drogę. Czego chcieli? Czy wybiła moja ostatnia godzina? Tylko dlaczego? Dlaczego? Ani Tobiasz, ani ja nie uczyniliśmy nic, co zasługiwałoby na zemstę Szatana. Czy powinienem się odważyć i zapytać kapłana? Zebrałem się na odwagę i uczyniłem w stronę kapłana krok naprzód. Z podniesioną głową i pewnym głosem, zadałem pytanie, które męczyło mnie od dzisiejszego ranka, kiedy to zobaczyłem skargę w oczach Daniela. - Dlaczego Tobiasz musiał umrzeć?

Cisza. Jedynym odgłosem był mój urywany oddech. Wszystko się we mnie burzyło ze złości. Dziesięć sekund? Dziesięć minut? Czułem się jak zahipnotyzowany królik. Stałem tam, czekałem, miałem nadzieje na odpowiedź i nie mogłem ruszyć się z miejsca. A potem kapłan odwrócił się. Kiedy zniknął w ciemnościach z oprawcami, dźwięczała w nocy jego odpowiedź. Mówił znudzonym głosem, jakby zbyt często powtarzał te same słowa: - Był chrześcijaninem, Łukasz. Usiłował wyrzucić na ciebie zły wpływ. Przyglądaliśmy się temu zbyt długo.

Trafiło mnie to jak obuchem w łeb. Kucnąłem na ziemi, w która wsiąkła krew Tobiasza, oparty plecami o pręty, na których wczoraj pobito go z mojego powodu. Z mojego powodu! To się musi wreszcie skończyć. Od kiedy jestem



satanistą, sprowadzam na innych ludzi tylko nieszczęście. Siałem jedynie cierpienie, ból i nienawiść. A teraz miałem jeszcze na sumieniu śmierć dobrego przyjaciela. Jest coraz gorzej. Krok po kroku wciągał mnie w bagno brutalności i perwersji. Nawet jeśli ciągnąłem z tego korzyści i czerpałem poczucie władzy, było to wielkie gówno. Nie mogłem wyjść z tego bagna, ale też nie wolno mi było nikogo więcej do niego wciągać. Obojętne, jak bardzo byłem ostrożny, oni i tak wiedzieli wszystko. Znowu mi to udowodnili. W ten ich ohydny, arogancki, poniżający ludzką godność sposób.

Teraz chętnie pojechałbym z Danielą do Kalifornii, ale brakowało mi odwagi. Prawdopodobnie odszukaliby mnie nawet tam. Nie zdobyłem się, żeby powiedzieć Danieli prawdę - kto zabił jej brata i dlaczego musiał zginąć. W dwa tygodnie później odleciała do Los Angeles. Nie przychodziło mi z łatwością wspierać ją w tamtym okresie. Jej żałoba, jej bezradne poszukiwanie przyczyn śmierci brata były nie do wytrzymania. Jednak najgorsze było jej zaufanie do mnie, jej wdzięczność za moją pomoc. Zagryzałem zęby i uśmiechałem się.

Dla policji morderstwo pozostało tajemnicą i nigdy go nie wyjaśniono. Danieli musiałem obiecać, że przyjadę, kiedy tylko skończę naukę. Nie zobaczyłem jej już nigdy.

## **ROZDZIAŁ 13**

A jednak wylądowałem w Ameryce, ale nie po to, żeby spotkać się z Danielą. Jakies trzy miesiące po jej wyjeździe kapłan posłał mnie za ocean na następne szkolenie. Tym razem leciałem do Fortu Lauderdale z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony cieszyłem się na turkusowozielone, letnie morze, wspaniałą plażę, zwariowanych młodych ludzi na plażowej promenadzie, a z drugiej cholernie bałem się zajęć.

Także i tym razem nie wiedziałem dokładnie, co mnie czeka. Miałem niejasne przeczucia, ale nie mogłem potwierdzić swoich podejrzeń, gdyż nie udało mi się wyciągnąć z Piotrka żadnych szczegółów o jego drugim pobycie w Stanach. Pomimo naszych zażytych kontaktów, nie odważył się sprzeciwić żelaznym zasadom satanizmu. A ja jako wtajemniczony musiałem to zaakceptować.

Taktyka satanistów polega na nie informowaniu swoich członków o zbliżających się wydarzeniach. Jest to jedyna metoda, żeby przytrzymać ludzi. Gdyby wcześniej wiedzieli, co ich czeka, prawdopodobnie wszyscy mający zdać egzamin wzięliby nogi za pas. Gdybym na przykład wiedział przed przystąpieniem do mojego pierwszego egzaminu, że będę musiał zjeść chomika, nigdy bym się tam nie pojawił. Tak więc przed wyjazdem do Ameryki ogarniały mnie czarne myśli. Pozostało mi czekanie. Nie byłem już jednak tak naiwny jak

dotychczas. Podczas tego szkolenia mogło chodzić tylko o mordowanie niewinnych ludzi. Także i tym razem udało mi się siebie samego w tym względzie oszukać. Znowu odsunąłem od siebie te ponure, męczące myśli.

Zabroniłem sobie po prostu zastanawiać się nad tym. Już wolałem cieszyć się elementami przyrody w postaci słońca, plaży, palm. Było to dużo łatwiejsze i przyjemniejsze. W końcu nigdy nie byłoby mnie stać na tak kosztowną podróż, gdyby nie nasza tajna organizacja.

Odsuwanie od siebie złych myśli nie pomogło na długo, gdyż zaraz pierwszego dnia kursu, wieczorem, potwierdziły się moje najgorsze obawy. Temat szkolenia brzmiał: "Jak zabić człowieka? Mord rytualny i technika tortur w teorii i praktyce". I tak dwie godziny dziennie, przez dziesięć dni, w chłodni w pobliżu stoczni, tam gdzie odbywały się też msze. Zaciskałem zęby i koncentrowałem się na oczyszczeniu myśli z każdej przeszkadzającej mi wątpliwości. Nie była to łatwa sprawa, ponieważ na samo wspomnienie telepatycznych zdolności amerykańskiego kapłana, oblewał mnie zimny pot. Postanowiłem nie rzucać się w oczy. Może wtedy zostawią mnie w spokoju.

Najpierw musieliśmy wkuwać ludzką anatomię. Było to jeszcze gorsze niż w szkole. Jednocześnie fascynowało mnie, które kości można złamać człowiekowi, nie czyniąc z niego kaleki. Albo jak dozować i umiejscawiać uderzenia, żeby były należycie bolesne, a nie zostawiały żadnych śladów na ciele. Bardzo natomiast przerażały mnie techniki tortur. Liczne, wymyślne rodzaje okrutnych zabaw, które szczególnie mieli odczuć sataniści zdradzający grupę. Na szczęście ćwiczenia praktyczne nie były przeprowadzane na żywych ludziach, ale na nieboszczykach.

Zupełnie odmiennym punktem programu było leczenie. Uczono nas nie przemocy, ale poznawaliśmy tajniki natury, pomagające odzyskać siłę i zdrowie. Ze zdziwieniem dowiedziałem się, jak z pomocą pewnych ziół można w przeciągu godzin zamykać otwarte rany i dzięki specjalnie zaparzoną mieszankom herbat i maściom leczyć w kilka dni złamanie kości. Po zajęciach, co wieczór musieliśmy jeszcze uczestniczyć w czarnych mszach. Były krótkie, okrutne i brutalne, ponieważ amerykańscy kapłani nie zajmowali się składaniem jakichś śmiesznych ofiar ze zwierząt. Codziennie musieli zademonstrować swoją wszechwładzę i złożyć w ofierze człowieka. U nas w Niemczech popełniano mord rytualny tylko ze specjalnych okazji, takich jak noc Walpurgil, noc świętojańska, święta Bożego Narodzenia, albo inne święta satanistyczne. Codziennie jeden zabity. Nie mogłem pojąć, jak oni to robią?

Dlaczego naszym amerykańskim braciom w Szatanie było tak łatwo znaleźć ofiarę? Dlaczego tych ludzi nikt nie szukał? Co dzień kupowałem gazetę i szukałem zdjęć osób zaginionych. Specjalnie sprawdziłem w słowniku słowo

"missing". Jednak żadna z wielu twarzy, która zapadła mi w pamięci podczas nocnych rzezi, nie pojawiła się w gazecie. Nasze ofiary pozostawały bezimienne. Nikt ich nie poszukiwał, nikomu ich nie brakowało. Do dziś nie rozumiem, jak to się działo. Mogłem na ten temat snuć tylko przypuszczenia. Może miało to coś wspólnego z ogromną izolacją i osamotnieniem wielu Amerykanów, mieszkających w dużych miastach. Miliony ludzi żyły samotnie w olbrzymich, anonimowych blokach, nie znając się i nie troszcząc o siebie.

Amerykańscy kapłani wykorzystywali msze nie tylko, jako okazje do bezwzględnych egzekucji, ale też jako sposobność udzielenia kary. Bardzo brutalnej. Byłem świadkiem takiego wydarzenia. Dotknęła ona pewnego wieczoru jakiegoś zdrajcę. Zgromadzona gmina, około stu osób utworzyła w chłodni dwudziestometrowy szpaler prowadzący od wejścia aż do ołtarza. Nie wiedziałem wprawdzie, co się teraz wydarzy, ale ustawiłem się w rzędzie, parę metrów od ołtarza. Panowało całkowite milczenie, atmosfera była napięta i pełna oczekiwania. Nagle gwałtownie otworzyły się drzwi wejściowe.

Na zewnątrz stali dwaj oprawcy, trzymając za ramiona wrywającego się mężczyznę. Nie miał na sobie nic poza białymi majtkami. Przerzucili go przez próg i wylądował na czworakach na twardej betonowej podłodze w hali. Kiedy się już pozbierał, zobaczyłem przerażony, prawie błędny wzrok. Pół długie włosy miał posklejane od potu. Pocił się ze strachu, oceniłem okiem znawcy. Na jego widok tłum zaczął wrzeszczeć. Poleciały pod jego adresem okrzyki pogardy i podłe obelgi. Na tym się jednak nie skończyło.

Niektórzy z satanistów zaatakowali chwiejącego się na nogach mężczyznę kijami baseballowymi, pałami, pejcami i nożami. Próbował ośłaniać ciało rękoma, kulił się, ale nie było ucieczki ze szpaleru. Za zdrajcą stali dwaj olbrzymi oprawcy z szeroko rozłożonymi ramionami. Musiał przejść przez uliczkę utworzoną przez rozwścieczone, drwiące, bijące i przepętnione nienawiścią potwory. Kiedy tylko się zatrzymywał, jeden z pomocników kapłana popychał go niemiłosiernie w plecy. Nieszczęśnik szedł naprzód potykając się, popędzany przez boksujących i kopiących mężczyzn oraz gryzące i drapiące kobiety. Kiedy wreszcie dotarł do mnie, powłóczył już tylko nogami, prawie nieprzytomny, ze spuszczoną głową.

Wyglądał okropnie - noże pozostawiły na jego ciele szeroko rozwarte rany, twarz miał sinozieloną od pobicia, nadgarstki i ramiona opuchnięte, ponieważ zdruzgotano mu kości. Nie miałem przy sobie żadnej broni, ale nie chciałem być gorszy od innych. Schwyciłem te żałosną kreaturę, waliłem go i kopalem, tak jak mnie tego nauczono, dopóki mnie od niego nie odciągnięto. Sapiąc jeszcze z wysiłku, zauważyłem, że musieli go później zawlec do ołtarza.

Prawdopodobnie roztrzaskałem mu rzepki w obu kolanach. Mój udział zadowolił mnie, odczułem satysfakcję i ani odrobiny współczucia.

W końcu ten facet chciał odejść od Szatana. Zhańbić naszego Pana i Mistrza. Nie zasłużył na nic lepszego. W Ameryce stałem się twardy. Obaj pomocnicy kapłana przytwierdzili skatowanego faceta do ołtarza. Nawet go nie przymocowali kajdankami, i tak nie mógł uciec. Dopiero teraz zjawił się kapłan. Oczyszczył pokrwawione ciało, mamrocząc przy tym łacińskie formułki. Trwało to jakąś godzinę. Na rozkaz kapłana podszedł następnie jeden z jego pomocników i wylał nieprzytomnemu kubek wody na twarz.

Parskając i jęcząc zdrajca ocknął się. Po raz ostatni, ponieważ teraz kapłan sztyletem dokończył egzekucji. Potem zapanowała cisza. Nie licząc uczestnictwa w szkoleniu i mszy, dysponowałem dowolną ilością czasu. Tym razem miałem go tyle, ile Piotrek w zeszłym roku. W ciągu dnia mogłem robić, co mi się żywnie podoba. Zdawało się, że nikt mnie nie kontroluje. Dawano mi jednak niedwuznacznie do zrozumienia, że w zamian za taką wolność, powinienem sprowadzić jakiś "materiał na ofiarę". W końcu mam wystarczająco dużo czasu, żeby nawiązać odpowiednie kontakty. Wiedziałem, jak ma się to odbywać. Należy zagadnąć młodocianych uciekinierów z domu albo bezdomnych, porozmawiać z nimi przyjaźnie i zaprosić na wieczór na przyjęcie w okolicach stoczni.

Przynętą, która zawsze na takich ludzi działa, jest bezpłatne jedzenie i picie. Natychmiast po zjawieniu się z takim "nowym nabytkiem" w umówionym miejscu, przekazuje się go oprawcom. A kiedy się go widzi ponownie podczas mszy, leży na ołtarzu nakarmiony narkotykami. W drodze do królestwa ciemności. Ale i tym razem udało mi się nie wypełnić mojego zadania. No dobrze, próbowałem. Niechętnie szukałem kogoś, kto by mi się wydał całkowicie niesympatyczny. Jednak Amerykanie byli tak serdeczni i przyjaźnie nastawieni! Nawet pośród żebraków i pijaków nie znalazłem nikogo odrażającego. Nikogo, kogo nie byłoby mi żal. Kim ja byłem, żeby podejmować tak ważną decyzję? Decyzje o życiu i śmierci! O tym, kto jest godny, a kto nie.

Gdybym rzeczywiście wybrał sobie jakąś osobę i poprowadził ją pod nóż, byłbym mordercą! Przynajmniej można by mi zarzucić współudział w morderstwie. A to mi już wystarczało, żeby samemu czuć się jak zabójca. Nawet jeśli to nie ja trzymałem nóż.

Poza tym byliśmy w Ameryce. Tu istniała jeszcze kara śmierci. Kto mi mógł zagwarantować, że w ostateczności moi bracia nie doniosą na mnie na policję? Wyląduję wtedy na krześle elektrycznym. Za przestępstwo, do którego zostałem zmuszony. Czy mogłbym to udowodnić? Nie, nigdy! Zagubiony i zamyślony stałem na plaży Fortu Lauderdale w otoczeniu tłumu wesółych,

szczęśliwych ludzi. To było istne szaleństwo, posiadałem teraz wreszcie władzę nad innymi ludźmi, nad ich życiem. Coś, czego zawsze pragnąłem. Sądziłem, że właśnie tego mi potrzeba, żeby mieć dobre samopoczucie.

Tylko ode mnie zależało, czy szesnastoletnia dziewczyna w kolorowym bikini, albo długowłosa typ grający w frisby, umrą dzisiejszej nocy. Ale dlaczego nie miałem tego obiecywanego przez naszych kapłanów wzniosłego uczucia? Po prostu go nie było. Poczucie mojej siły nie dodawało mi skrzydeł. Przeciwnie, z minuty na minutę czułem się coraz gorzej. Coraz bardziej odczuwałem beznadziejność sytuacji. Z jednej strony byłem zmuszony postępować tak, jak każe kapłan, a z drugiej dręczyły mnie wyrzuty sumienia.

Bezradny usiłowałem podjąć jakąś decyzję. Czy mam być posłuszny Szatanowi, czy własnemu instynktowi? Robiło mi się ciemno przed oczami od nadmiernego myślenia... Nagle wielka, obrzydliwie czarna chmura zasłoniła słońce. Ludzie wokół mnie stali się wąskimi, ciemnymi cieniami. Szum wokoło zamienił się w daleki pomruk. Przeszedł mnie dreszcz, robiło mi się coraz bardziej niedobrze. Ugięły się pode mną nogi, upadłem i wymiotowałem na piasek. Kiedy się ocknąłem, wszystko powróciło do normy. Słońce prażyło z nieba i znów wyraźnie widziałem ludzi.

Co się stało? Czy to Szatan dał mi znak? Czy to skutek narkotyków? Czy powoli stawałem się szaleńcem? Resztki mojego śniadania na piasku były dowodem, że rzeczywiście wymiotowałem. Zawstydzony zakopałem je. Lekko oszołomiony doszedłem na miękkich nogach do brzegu, położyłem się w płytkiej wodzie i ciepłe fale opływały moje ciało.

Leżałem tak z szeroko rozłożonymi ramionami i nogami, ziewając wprost do nieskończonego, bładoniebieskiego nieba i pozwalałem łaskotać się pianie. Jakież to było miłe! Jak wspaniale było żyć. Nie, nie zrobię tego. Nikt nie może umrzeć z mojego powodu.

Podjąłem decyzję. Spłynęła na mnie ulga i ogarnęło mnie zadowolenie. Kamień spadł mi z serca i znów mogłem swobodnie oddychać. Nagle na moją twarz padł cień. Spojrzałem niepewny, ale tym razem nie była to wymagowana chmura, lecz ładna dziewczyna w bardzo skąnym bikini. Zaczęły mi łzawić oczy. Przeklęta słona woda! Podniosłem się i wyjąkałem przeprosiny: - Sorry, the water!

Kiedy wreszcie przejrzałem na oczy, odjęto mi mowę. Przede mną stał delikatny, opalony na brąz anioł z długimi, kręconymi włosami. Powiedziała coś i śmiejąc się odrzuciła do tyłu burzę włosów. - Sorry, my english - not good - wydukałem, przeklinając w myślach moje lenistwo w szkole. - Jesteś Niemcem? - anioł mówił w moim języku. Okazało się, że przez rok

pracowała w pobliżu Stuttgartu, jako dziewczyna do dziecka. Z miejsca zaczęliśmy się śmiać i żartować. Rozmawiało nam się tak wspaniale, jakbyśmy się znali od lat. W przeciągu tych cudownych trzydziestu minut zapomniałem zupełnie, kim jestem i co tu robię.

Jednak potem znowu powróciłem na ziemię. Moje cholerne zadanie! Poznać nowych ludzi i zaciągnąć ich na mszę. Poczułem jakby mnie nagle trafi piorun z jasnego nieba. Nie chciałem nikogo złapać, a już na pewno nie ją! Muszę zwać. I to jak najszybciej. Nie bez powodu wolno było nam satanistom trzymać się tylko tego wyznaczonego kawałka plaży. W ten sposób oprawcy mogli nas lepiej kontrolować. A jeżeli ktoś mnie widział z Pamelą? Zerwałem się na równe nogi jak oparzony. - Przepraszam, prawie zapomniałem, że jestem umówiony. Cześć, miło było - wyjąkałem. Do końca dnia miałem przed oczami jej rozczarowaną minę. Postąpiłem jednak słusznie. Ledwo bowiem znalazłem się na promenadzie, zatrzymało mnie dwóch facetów. Oprawcy! - Wspaniały połów! Przyjdzie dziś wieczorem?

Co teraz powiem? Jakaś wymówka, musi mi przyjść do głowy jakaś wymówka. Błyskawicznie zacząłem kłamać. - Nie. Ona się tylko pytała o godzinę. Próbowałem ją później zachęcić do przyjścia, ale stanowczo mi odmówiła. Jednocześnie modliłem się, żeby nie obserwowali mnie od dłuższego czasu. Spojrzeli na mnie nieufnie. Tylko się nie denerwować, mówiłem sobie w duchu. Uwierzyli w mój wykręt. - Musisz w takim razie zagadać kilka innych dziewczyn - powiedział amerykański oprawca łamanym niemieckim - w przeciwnym razie będziesz miał dziś wieczorem nieprzyjemności.

Przełknąłem ślinę. Cholera! Już lepiej dostać cięgi od kapłana, niż mieć na sumieniu śmierć człowieka. Wykazałem gotowość do czynu i poczucie obowiązku i wróciłem na plażę. Pamela na szczęście zniknęła. Musiałem usatysfakcjonować oprawców, przynajmniej pozornie. Nie spuszcza mnie bowiem dzisiaj z oczu. Z uwagą przyjrzałem się pozostałym opalającym się kobietom. Żeby zrealizować swój zamiar, potrzebowałem określonego typu kobiety - piękna, arogancka i pewna siebie. Taka nie pozwoli się tak łatwo zaczepić i wyśle mnie od razu do diabła. A to właśnie chciałem osiągnąć. Będę się mógł usprawiedliwić przed moimi "braćmi", że próbowałem, ale żadna nie chciała. I zbierałem chłodne odmowy, nieprzyjemne obelgi i rozżłoszczone spojrzenia. Nie było to najmiłsze uczucie, ale dało się przeżyć.

Najważniejsze, że spełniałem swój obowiązek. Na oczach oprawców. Czy to moja wina, że żadna z dziewczyn na mnie nie leciała? Uśmiechnąłem się do siebie. To było miłe uczucie - wywieść demony Pana w pole. Mimo tych działań liczyłem się wieczorem z karą. Jednak nic się nie wydarzyło. Około północy zadowolony, pogwizdując wesoło ruszyłem do domu. Nie zaszedłem jednak

daleko. Przy wyjściu z hali złapało mnie dwóch oprawców. Chwycili mnie gwałtownie za ramiona i zaciągnęli z powrotem do ołtarza. Kapłan czekał już na mnie. Dlaczego mówi do mnie po angielsku? Przecież wie, że nic nie rozumiem, pomyślałem niechętnie. Byłem zuchwały. Odpowiadałem na jego zimne spojrzenie, nie opuszczając wzroku. Dosyć odważnie. W pewnym momencie musiałem stracić przytomność...

Kiedy się ocknąłem, leżałem na czymś twardym. Obudziłem się tylko dlatego, że było mi tak niewygodnie. Zaspany próbowałem dojść do siebie. Czy zasnąłem? Gdzie jestem? Usiadłem zdezorientowany i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Leżałem samiutki jak palec na pomoście, wychodzącym daleko w morze. Dokoła była tylko woda, nic innego tylko woda. Rozwidniało się już na horyzoncie, nieprzytomnie spojrzałem na zegarek - piątą rano.

Jak długo już tu byłem? Jak w ogóle się tu dostałem? Rozespany i lekko otumaniony grzebałem w pamięci. Kosztowało mnie to niesamowicie dużo wysiłku, ułożyć w całość pourywane strzępy myśli. W głowie miałem ziejącą pustkę. Brakuje mi ostatnich pięciu godzin, myślałem ociężale. Długo siedziałem skulony na pomoście, zanim powoli nie zacząłem odzyskiwać pamięci. Kapłan znowu wypróbował na mnie tę swoją przeklętą hipnozę. - O nie, proszę, nie - błagałem żarliwie. Jednak było już za późno, żeby coś zmienić. Kapłan zapanował nad moim duchem. Byłem w jego rękach posłusznym narzędziem i nic nie mogłem na to poradzić. Byłem skazany na jego łaskę i niełaskę, i znowu mi to udowodnił. Znajdowałem się bowiem teraz gdzieś pod gołym niebem, nie wiedząc nawet, jak się tu znalazłem ani co działo się przez ostatnie pięć godzin.

Do jakich świństw mnie użyto tym razem? Czy pokażą mi znowu wieczorem zdjęcia, zrobione podczas jakichś odrażających praktyk seksualnych? Albo używali mnie do czegoś innego? Tylko do czego? A może... kogoś zabiłem? Zerwałem się i pogałem przed siebie. Gnałem na oślep między dokami. Ulice powoli budziły się do życia i coraz więcej ludzi zachodziło mi drogę. Nie zauważałem tego prawie. Zatrzymałem się dopiero, kiedy się całkiem zmęczyłem. Nie mogłem złapać tchu. Spróbowałem się zorientować, gdzie jestem. Potrzebowałem jakiegoś punktu zaczepienia, żeby odnaleźć motel. Była siódma rano, kiedy wreszcie do niego dotarłem.

Tylko nie zaczynać myśleć, sam i tak nie wpadnę na to, co wydarzyło się w przeciągu tych pięciu godzin. Odwrócenie uwagi jest najlepszym sposobem, żeby nie myśleć. Pamela! Chciałem tylko jednego - znowu zobaczyć Pamelę. Najpierw jednak musiałem zaspokoić mój burczący żołądek. Głodny jak wilk, połknąłem obfite, amerykańskie śniadanie - jajecznicę na boczku, kiełbasę, smażone pieczarki i pomidory. A teraz na plażę. Do diabła z satanistami. Po prostu musiałem mieć te kobiety. I z całych sił będę się starał, żeby została

moją tajemnicą. No dobrze, istnienie Natalii też wykryli. Ale w Niemczech mieli miesiące czasu, żeby mnie śledzić. Tutaj spędzałem tylko tydzień. I chciałem to w pełni wykorzystać. Ze słodką, wesołą Amerykanką, dla której byłem miłym chłopcem z Niemiec.

Jej jaskrawo kolorowe bikini rzuciło mi się w oczy, zanim jeszcze rozpoznałem ją samą. Podbiegłem do niej, pochyliłem się nad nią szybko i szepnąłem: - Posłuchaj, nie mogę teraz zostać, ale muszę się z tobą koniecznie zobaczyć. Tutaj jest numer telefonu do mojego motelu. Zadzwoń do mnie, zgoda? Następnie spacerem wróciłem do siebie.

Jeszcze tego samego dnia spotkaliśmy się w małym, leżącym na uboczu, z dala od turystów, barze. Wszystko potoczyło się tak, jak sobie wyobrażałem. Nie mogliśmy oderwać od siebie oczu i po pierwszym pocałunku nie byliśmy się w stanie rozłączyć. Nie mogłem jednak zostać wiecznie, miałem szkolenie. Okłamałem ją, że przyjechałem do Ameryki z przyjacielem i nie mogę w końcu zostawić go na cały wieczór samego. Smutnym wzrokiem prosiłem ją o zrozumienie: - Nie mogę go teraz zostawić na lodzie tylko dlatego, że miałem szczęście poznać ciebie.

Trafiło jej to do przekonania. Dała mi swój adres o obiecałem, że odwiedzę ją po północy. Pamela nie stawiała żadnych pytań. Brała mnie takim, jakim byłem. Kiedy odchodziłem wieczorem do moich zajęć, patrzyła za mną zatroskana. A kiedy tylko wracałem, przyjmowała mnie szczęśliwa i rozpromieniona tak, że aż robiło mi się ciepło na sercu. Z nią było dokładnie tak, jak sobie zawsze w marzeniach wyobrażałem normalne życie. Przez tydzień dane było Łukaszowi przeżywać ten sen. Dzięki Pameli. Jej miłość, ciepło i czułość, którą mi darowała, pomagały zapomnieć mi o obrzydliwych praktycznych ćwiczeniach na szkoleniu i przetrwać msze. Jeszcze dwa razy podczas kursu zdarzyła mi się sytuacja, że brakowało mi kilku godzin. Nie miałem jednak czasu, żeby sobie nad tym łamać głowę. Nie chciało mi się.

Wszystko jedno, co robiłem i gdzie byłem, liczyło się tylko jedno - Pamela czekała na mnie. W jej ramionach czułem się bezpiecznie. W moim odurzeniu miłosnym nie było miejsca na Szatana, morderstwa i ciemności. W ramionach Pameli mogłem spać. Bez koszmarów, bez nagłego oblewania się zimnym potem i bez zrywania się w nocy w zupełnym przerażeniu. Kiedy mnie trzymała, czułem się pewny i bezpieczny, jak jeszcze nigdy dotąd.

W dniu mojego odjazdu chciała mnie koniecznie odprowadzić. Jakże chętnie rozkoszowałbym się jej obecnością do ostatniej sekundy. Jednak było to niemożliwe. Potrzebowałem wszystkich moich zdolności, żeby ją od tego odwieść. Tego jeszcze tylko brakowało, żeby któryś z demonów na samym końcu odkrył nasz związek. Aby ją chronić, kłamałem dalej: - Nienawidzę



publicznych pożegnań. Przynajmniej nie narażałem w tym momencie jej życia, co właściwie robiłem do tej pory przez cały czas. Naturalnie używałem wszelkich sposobów, żeby dotrzeć do niej niezauważony. Robiłem wszystko, co było w mej mocy, żeby zgubić ewentualnych prześladowców. Najwyraźniej skutecznie. Gdybym jednak pozwolił się jej odwieźć na lotnisko, na nic zdałyby się wszystkie moje starania i cała zabawa w chowanego. Moi amerykańscy bracia z pewnością złapaliby ją zaraz w budynku lotniska. Nie mogłem do tego dopuścić.

Z perspektywy czasu jestem zadowolony, że pożegnaliśmy się w jej małym, przytulnym mieszkaniu. Oboje płakaliśmy. I Pamela z pewnością nie byłaby później w stanie prowadzić samochodu. Kosztowało mnie to bardzo dużo wysiłku i rozsądku, opuścić Pamelę. Pamiętam ją, jak stała drżąca, szlochająca i nieszczęśliwa. Najchętniej zostałbym z nią. Jednak jak to często bywa, kiedy jestem bezradny, pokryłem swoje uczucia złością i gniewem. Najchętniej nakrzyczałbym na nią, uderzył w twarz, żeby zobaczyła, że nie zasłużyłem na jej ból, żeby mnie po prostu zapomniała. Jednocześnie byłem dumny, że ja, Łukasz, skończony czciiciel diabła, wzbudziłem w tej wspaniałej kobiecie takie uczucia. W drodze do motelu wziąłem taksówkę.

Po raz pierwszy jechałem prostą drogą i po dziesięciu minutach byłem na miejscu. Do tej pory, zanim doszedłem do Pameli, kluczyłem po mieście przez godzinę. Podczas pakowania moich manatek odżyła we mnie dawna złość. Złość na siebie samego, na moje uzależnienie, na tę zasraną, beznadziejną sytuację. Oślepiony wściekłością wrzucałem rzeczy do torby podróżnej, jakby to ona była winna tej nędzy. Na dole w korytarzu czekał na mnie ten sam typ, który przed dwoma tygodniami odebrał mnie z lotniska. Podczas jazdy próbował ze mną rozmawiać, ale ignorowałem go. Także w czasie powrotnego lotu nie odzywałem się, na nikogo nie patrzyłem i odmawiałem jedzenia. Moja twarz była jak wykuta z kamienia, tak jak moje serce. Łukasz - marionetka. Łukasz - żywy trup.

## **ROZDZIAŁ 14**

W Niemczech powróciłem do codzienności. Czas wypełniały mi znowu moje zwykłe zajęcia. Ale tym razem w Ameryce przeżyłem potężny wstrząs i nagle zacząłem myśleć. Wszystkie te trupy! Wszystkie ofiary! Wszyscy ludzie mający marzenia, nadzieje. Dokładnie tak jak ja. Dzięki Pameli uświadomiłem sobie, że marzenia się czasem spełniają. Gdybym popełnił samobójstwo, ominęłoby mnie szczęście. A co musieli stracić wszyscy ci biedni ludzie, tylko dlatego, że ohydny Szatan wybrał ich na ofiarę. Dlatego, że spotkało ich

nieszczęście i dostali się w łapska jakiegoś żądnego władzy obłąkanego satanisty.

Myślałem, że od tego cierpienia i smutku pęknie mi czaszka. Okropnie bolała mnie głowa. W Stanach udawało mi się jeszcze jakoś odsunąć od siebie całą tę przerażającą prawdę, wątpliwości i poczucie winy. Pomogła mi w tym miłość do Pameli. Teraz cały ten ciężar zwałił się na mnie jak mordercze fale powodzi i wciągał mnie w bezbrzeżną i bezdenną topiel. Od dawna, już od bardzo dawna zbierało się nade mną nieszczęście, ale byłem ślepy i głuchy. Coraz częściej obawiałem się teraz, że zwariuję, załamie się psychicznie. No i ponieważ znowu musiałem sam spać, powrócił mój koszmar. Mężczyzna z nożem. Bardziej groteskowy, szyderczy i brutalny niż do tej pory.

Nie mogłem zapomnieć ostatniej czarnej mszy, w której uczestniczyłem będąc w Ameryce. Amerykański kapłan dokonał rytualnego mordu na niemowlęciu i właśnie mnie wyłowił z kręgu uczniów, żebym śledził każdy jego ruch. Nie wiem, czy to bliskość tego maleństwa, czy miłość do Pameli, w każdym razie otworzyła się od lat już zamknięta klapka. Wszystko się we mnie zbuntowało. **On zabija niewinne dziecko! Istotę potrzebującą ochrony.** Okrutna rzeczywistość po raz pierwszy w sposób tak okropny i bezlitosny dotarła do mojej świadomości. Poczujęm się bardziej godnym pożałowania niż do tej pory, jeśli w ogóle można bardziej. Miałem wrażenie, jakby to mnie zabijał. A jednak stałem obok bezczynnie, ani drgnąłem nie przeciwstawiłem się, nic nie powiedziałem.

Kapłan rozciął brzuch płaczącego dziecka, wyrwał mu ręką serce, złapał jego ciało i wrzucił do ognia, jakby było kawałkiem zbędnego śmiecia. Żując z dumą i wyższością serduszko, powiedział do mnie między jednym a drugim kęsem, niczym nieporuszony: - Tak to się robi. Zapamiętaj dobrze!

Udało mi się jeszcze lekko skinąć głową. Wstrząśnięty do głębi i ciężko przerażony dowlokłem się na swoje miejsce. Nogi mi drżały, walczyłem ze łzami i czułem się jak ostatnie gównno.

To wspomnienie nie dawało mi spokoju. Nie mogłem go wymazać, choćbym nie wiem jak się starał. Próbowałem się zastanawiać, dlaczego właśnie to przeżycie tak mną wstrząsnęło. Dlaczego ten rytualny mord tak mnie całkowicie załamał. Mord tenże nie był przecież pierwszym, którego byłem świadkiem. A składanie ofiary z niemowląt jest także w Niemczech rzeczą powszednią dla satanisty. Nie, to była ta scena, która prześladowała mnie nawet w snach - kapłan wrzuca dziecko w ogień. Z pogardą, obrzydzeniem, bez poświęcenia mu najmniejszej uwagi. Dokładnie jak kawałek śmiecia. Jakby nie miało znaczenia. Lekceważąco pozbył się niechcianych, niepotrzebnych resztek swojego perwersyjnego rytuału. Nie ma wartości ciało tego małego człowieka,

który nigdy nie miał szansy wejść w życie. Co wieczór przepędzałem, zacierałem i niszczyłem ten obraz z horroru. To była moja ostatnia noc z Pamelą. Chciałem się tym rozkoszować.

Jednak po powrocie do Niemiec powróciła z wygnania ta mordercza scena. Prześladowała mnie dniem i nocą. A ja byłem sam ze sobą i z moim paskudnym życiem wewnętrznym. Z nikim nie mogłem o tym porozmawiać. A na dodatek ja sam wkrótce będę musiał popełnić ten czyn, ponieważ moi bracia w wierze posłali mnie na kurs, żebym nauczył się rytualnego mordowania ludzi i umiał zastosować je w praktyce. Będę więc musiał wykazać się świeżo zdobytą, wiedzą. Nie, nie i jeszcze raz nie. Przyszedł najwyższy czas, żeby się sprzeciwić. Odejść! Jakoś musi mi się udać. Niech mnie to kosztuje, ile chce.

Dlaczego do tej pory nigdy nie wątpiłem w krwiożercze żądania Szatana? Zachowywałem się jak bezmózga istota. Wszystko zaczęło się od tego, że pragnąłem wreszcie być silny. A do tego właśnie pasował jak ulał światopogląd satanistyczny. Tak, nie wydawał mi się taki zły. Pozwoliłem dojść do głosu złu, które we mnie było, i dzięki temu zyskałem uznanie, jakiego dotychczas nie zaznałem. Jednak na innych ludzi sprowadzałem tylko nieszczęścia. Wszyscy się mnie bali. Dieter, kolega z mojej wspólnoty mieszkaniowej, krzyknął mi kiedyś prosto w twarz podczas jakiejś kłótni: - Ty jesteś nienormalny, ty jesteś wcielonym diabłem. Nie mógł mi sprawić większego komplementu. Odparłem więc zarożumiałe: - Ja go przynajmniej już spotkałem.

Po sposobie, w jaki na mnie spojrzął, wiedziałem, że mi wierzy. Od tego dnia współlokatorzy traktowali mnie z dystansem. Ja brałem to za respekt. I bawiło mnie, że czuli się niepewnie. Starczyło, że spojrziałem na nich z nieruchomym wyrazem twarzy, a już czuli się zaniepokojeni denerwowali się i schodzili mi z drogi. Wspaniałe poczucie władzy, której nigdy nie miałem dość. Byli królikami doświadczalnymi, na których wypróbowywałem możliwości mojej siły. Jednak także obcy ludzie, których spotykałem, mówili mi często, że mam takie niesamowite oczy. Mniej wrażliwi nazywali to "błędnym spojrzeniem". Czuli się niedobrze w moim towarzystwie, a ja się z tego szaleńczo cieszyłem. Piotrek miał rację. Szatan dał mi władzę. Pomógł mi wywierać takie wrażenie. A ja byłem z tego dumny.

Teraz jednak zaczynałem pomału widzieć siebie w innym świetle. Łukasz - zimna bestia. Nieobliczalny, agresywny. Czy byłem taki naprawdę? Czy byłem tylko marionetką, za sznurki, której ciągnął kapłan, kiedy akurat miał na to ochotę? Czy rzeczywiście byłem "zły" i odgrywałem, na co dzień "dobrego", czy byłem gdzieś tam w środku "dobry" i cały czas grałem "złego"?

Dlaczego Szatan wymagał ofiar z ludzi? Co to za władza, którą się zdobywa, zabijając kogoś? Jeśli ta władza byłaby taka wielka, to

międzynarodowa organizacja wyznawców Szatana od dawna przejęłaby panowanie nad światem. A może dopiero wtedy zdobywali władzę nad pojedynczym członkiem sekty, gdy ten popełnił mord rytualny (po prostu morderstwo!)? Morderstwo jest w końcu przestępstwem i jeśli je popełniam, a ktoś inny o tym wie, bardzo łatwo można mnie szantażować i w ten sposób jestem związany z sektą na dobre i na złe. Piotrek dał mi już raz do zrozumienia coś podobnego: - A jak sądzisz, skąd oni biorą pieniądze?

Nie chciałem wówczas tego słyszeć. Moją zasadą było - wsadź głowę w piasek, to co dzieje się dookoła, nie obchodzi cię. Ale to się skończyło. W porządku, pieniędzy ode mnie dostać nie mogli, z mojej mizernej pensji czeladnika nikt by do Ameryki nie poleciał. Mogli jednak zrobić ze mnie handlarza narkotyków lub alfonsa.

Wciąż łamałem sobie nad tym głowę. W tym samym czasie zacząłem schodzić z drogi dzieciom. Dlaczego nie mogłem wytrzymać na sobie ich wzroku? Dlaczego w ich obecności zaczynałem się pocić i musiałem chować ręce za plecami? Czy obawiałem się, że staną się samodzielne? Że złapią kogoś bez mojego udziału? Co się ze mną stało w Ameryce? Co działo się w czasie tych godzin, których nie pamiętam? Podczas pierwszego pobytu w Ameryce kochałem się z dwoma kobietami. Widziałem dowody w postaci zdjęć. Tym razem nie odpowiedzieli na moje natarczywe pytania. Do szaleństwa doprowadzała mnie myśl, że może już kogoś zabiłem. Wmawiałem w siebie, że nie jestem za to odpowiedzialny. Ponieważ on nie wiedział, co czyni

Gdybym tylko mógł z kimś porozmawiać! Pewnego dnia spontanicznie podjąłem decyzję, że zwierzę się majstrowi, u którego uczyłem się stolarki. Rozumieliśmy się dobrze. Był dobrym, wyrozumiałym i przyjaznym szefem. Był dla mnie prawie jak ojciec. Jechaliśmy właśnie do klienta, kiedy ujawniłem swoją ponurą tajemnicę: - Jestem satanistą!

Niestety, majster nie miał pojęcia, co to takiego i moje wyjaśnienia napotkały na poważny opór z jego strony. - Przestań z tymi opowieściami, bo nie będę mógł spać w nocy! Jakież ty masz ponure wyobrażenia, chłopcze! To się może przyśnić!

Nie uwierzył w ani jedno słowo. Zarzucił mi ze śmiechem, że naoglądałem się za dużo horrorów. Śmiałem się więc razem z nim i potwierdziłem jego przypuszczenia: - Przejrzał mnie pan. Chciałem tylko sprawdzić, czy jest pan łatwowierny. Nie chciałem, żeby zauważył, jak bardzo zasmuciła i rozczarowała mnie jego reakcja. Jeżeli on mi nie uwierzył, kto by to zrobił?

Musiałem się pogodzić, że nie było dla mnie ratunku. Nikt mi nie uwierzy. Żyłem więc dalej z dnia na dzień, z mszy na mszę. Byłem w tym czasie

przewrażliwiony i agresywny. Nie miałem jeszcze pojęcia, że jestem chodzącą bombą. Był piątek wieczorem. Spotkaliśmy się z Piotrkim na piwie w naszej muzycznej knajpie. Staliśmy przy barze, wygłupialiśmy się i ocenialiśmy obecne tam dziewczyny. Jedna z nich podobała mi się szczególnie. Siedziała z dwoma przyjaciółkami w drugim końcu lokalu i też zwróciła na mnie uwagę.

Rozmawiając dalej z Piotrkim, flirtowałem z nieznajomą piękną. Później przez kelnera przesłałem dla niej koktajl. Widziałem, jak podając jej napój, wskazuje na mnie. Uśmiechnęła się, wstała i podeszła do nas.

Jednak nagle pojawił się między nami barczysty facet. Z zaciętą miną ruszył prosto na mnie. Poczułem się zagrożony. Czego ode mnie chciał? Czy to była jego dziewczyna? Teraz stał blisko mnie, ręce zwinął w pięści. Wiedziałem, że zaraz uderzy. Moje ręce same podniosły się do jego gardła i zacisnęły. Wtedy rozpoczęło się piekło. Jak przez gęstą mgłę usłyszałem głośne krzyki i poczułem mnóstwo rąk na moim ciele. Ciągnęły mnie i odrywały od niego. Kiedy mgła ustąpiła, przede mną na podłodze siedziała skulona ta mała, z którą flirtowałem. Z twarzą wykrzywioną bólem, rozcierała sobie szyję. - Co się stało? Co z nią? - pytałem nic nie rozumiejąc. Piotrek wrzasnął na mnie: - Rzuciłeś się jej do gardła, ty idioto! Zwariowałeś? Tak, pomyślałem w całkowitym otumanieniu. Tak się chyba stało.

Wyciągnąłem do dziewczyny rękę, żeby pomóc jej wstać. Jednak ona ze strachem odsunęła się ode mnie. Potem podniosła się i wraz z przyjaciółkami schowała przede mną w najdalszym kącie sali. Wytrącony z równowagi podążyłem za nią wzrokiem. Gdzie był Piotrek? Stał przy drugim końcu baru, dyskutując z kelnerem i barmanem. Usiłował uspokoić zebranych ludzi. Potem rzucił się do mnie, złapał za ramię i wyciągnął na zewnątrz, drąc się na mnie: - Nawarzyłeś sobie niezłego piwa!

Masz zakaz wstępu do knajpy. I możesz być zadowolony, że nie wezwali policji. Co ty sobie wyobrażałeś? Od kiedy atakujesz dziewczyny?...

Jak ogłuszony wysłuchałem tej awantury. Kiedy wreszcie zaczerpnąłem powietrza, wtrąciłem cichutko: - Ale ja widziałem tego typu, który się do mnie zbliżał. Chciał czegoś ode mnie, więc zaatakowałem. Piotrek, przyrzekam! W ogóle nie widziałem dziewczyny. Piotrek przystanął, przyciągnął mnie do siebie spojrzał mi badawczo w oczy. Potem westchnął: - Łukasz, człowieku, co oni z tobą zrobili w Ameryce? Czy miewasz częściej takie napady?

Wyjaśniłem mu, że taka pomyłka zdarzyła mi się po raz pierwszy, ale już parę razy miałem wrażenie, że brakuje mi kilku godzin. - I wcale nie byłem pijany - dodałem szybko. Niestety, Piotrek był równie bezradny jak ja. Jednak

jego zatroskana twarz mówiła wiele. Znał te objawy. I wiedział, że mogą doprowadzić człowieka do szaleństwa.

Na własny użytek wyciągnąłem wnioski z tego wydarzenia - Łukasz stał się niepoczytalny. Jest niebezpieczny i nieobliczalny - bezwolne narzędzie Szatana. Byłem tak zrozpaczony, że nie mogę już ufać samemu sobie, że błagałem Piotrka: - Piotrek, proszę, zabij mnie, zabij! Ja nie mogę tak dłużej żyć.

Piotrek kręcił głową. Miał łzy w oczach, położył mi uspokajająco rękę na ramieniu i szeptał uporczywie: - Musisz! Musisz! Tej nocy znowu bezradnie biegałem po mieszkaniu. Normalnie dałbym się ukołysać do snu mojej muzyce medytacyjnej. Ale czy ja rzeczywiście spałem? Może chodziłem po ulicach i mordowałem ludzi. Rano zawsze byłem całkowicie wyczerpany. Tak bardzo się bałem. Bałem się samego siebie. Kim ja byłem? Co działo się ze mną, kiedy myślałem, że śpię? Przeklinałem Szatana, a chwile później znów błagałem o pomoc. Do tej pory sen był moim jedynym schronieniem. A teraz musiałem walczyć nawet z nim. Ułożyłem sobie plan - tak długo nie będę się kładł spać, aż padnę ze zmęczenia. Dopiero wtedy moje całkowicie wyczerpane ciało zapanuje nad niezależną podświadomością i powstrzyma mnie od popełniania niechcianych czynów. Taką miałem przynajmniej nadzieję.

Spędziłem okropną noc. Nie mogłem bowiem włączyć telewizora w naszym wspólnym pokoju, gdyż przeszkadzałoby to współlokatorom. Nie odważyłem się też słuchać muzyki w moim pokoju ze słuchawkami na uszach, gdyż mogłem przy tym usnąć. Otworzyłem więc okno i wyjrzałem na zewnątrz. Łapczywie wciągałem świeże powietrze w moje zadymione płuca z zamkniętymi oczami rozkoszowałem się letnim powiewem. Tam! Trzaśnięcie. Otworzyłem szybko oczy ujrzałem przemykający za drzewem ludzki cień. To byli oni. Olbrzymy kapłana! Czy Piotrek mnie zdradził? Czy była to tylko rutynowa obserwacja? A może ktoś czytał w moich myślach? Wiedzieliby wówczas, że właśnie chciałem ich opuścić.

Nerwowym ruchem zatrasnąłem okno i zaciągnąłem grube zasłony. Ręce drżały mi tak bardzo, że z dużym trudem udało mi się wyjąć papierosa z pudełka. Także i zapalniczka gasła wiele razy, zanim z pomocą obu rąk udało mi się przytrzymać ogień wystarczająco długo. I wtedy nagle skończyła się cisza w domu. Wszędzie zaczęło trzaskać i trzeszczeć, a cienie przemykały się w ciemnościach z kąta w kąt. Przybyły demony Szatana. Obserwowały mnie. Oszalały ze strachu poderwałem się na równe nogi. Światło! Złe duchy nie znoszą światła. Biegałem od jednego kontaktu do drugiego i włączałem wszystkie. W przedpokoju, łazience, kuchni i moim pokoju.

Kiedy mój współlokator Mike przyszedł o siódmej rano do kuchni, wypitem już pięć filiżanek kawy. Zdziwił się na mój widok: - Jak ty wyglądasz?

Obrzuciłem go złym spojrzeniem. Chciałem, żeby mnie zostawił w spokoju. Wzruszył obojętnie ramionami i odwrócił się. Zrozumiał.

Rozbity i zmęczony zawlokłem się do łazienki. Była sobota rano. Dziś wieczór musiałem iść na mszę. A niech sobie kapłan ze mną robi, co chce. Powiesi mnie, wytnie pentagram na piersi, czy też złoży na ołtarzu. Było mi wszystko jedno. Doznałem szoku, kiedy spojrzałem w lustro. Pojawiła się przede mną blada morda z nabiegłymi krwią, zapuchniętymi oczami, pod którymi utworzyły się głębokie, czarne cienie. Moje spojrzenie wyrażało jedynie brak nadziei. Twarz zmęczonego życiem osiemnastolatka, który wyglądał jak pięćdziesięciolatek.

Kiedy dotarłem wieczorem do magazynu, byłem tak podminowany i agresywny, jakbym przedawkował środki pobudzające. Nie spałem już od trzydziestu ośmiu godzin. Byłem rozdygotany i z trudem mogłem spokojnie ustać w miejscu. Nagle zauważyłem, że jestem obserwowany. Przyglądał mi się uczeń stojący po przeciwnej stronie ołtarza. Spojrzałem na niego z wrogością. Łamał zasady baran, powinien skoncentrować się na kapłanie. Zawiesił jednak wzrok na mnie. Nie mogłem w moim stanie opanować złości, która we mnie rosła. Jednym skokiem znalazłem się przy tym bezwstydnie gapiącym się durniu i waliłem go z całej siły. Naturalnie zjawili się od razu dwaj pomocnicy kapłana i oderwali mnie od niego.

Zawlekli mnie do pokoju kapłana, rzucili na podłogę i zamknęli. Szalałem. Czułem się niesprawiedliwie potraktowany. Jak opętany kopałem i boksowałem gołe ściany, aż zaczęły mnie boleć wszystkie kości. Piekący ból stłumił moją nienawiść. Było jasne, że kapłan ukarze mnie za napaść na brata. Ale zadbam o to, żeby nie oszczędził też tego drugiego. Nieco spokojniejszy, położyłem się znowu na twardej, betonowej podłodze. Spać! Msza z pewnością potrwa jeszcze ze trzy godziny. A ja byłem zamknięty. Nie mogłem więc podczas snu zrobić nic złego. Poczułem się pewnie, natychmiast zasnąłem.

Z powodu mojego wykroczenia zostałem na dwa tygodnie wykluczony z uczestnictwa w mszach. Jednak opuszczone msze miałem potem nadrobić, oglądając je na wideo. Z pewnością żaden problem dla kogoś, kto mieszka sam. Ale jak ja mogłem obejrzeć takie kasety w mojej wspólnocie mieszkaniowej? Zarówno w dzień, jak i wieczorem mogliśmy się spodziewać wizyty wychowawców. A późną nocą telewizyjne pudło przeszkadzało panom kolegom. Musiałem jednak zaryzykować. Moi bracia w Szatanie byli czujni.

Mijały tygodnie, dla mnie to był okres jakiegoś delirium. Pozwalałem sobie na najwyżej dwie godziny snu w ciągu dwóch nocy. Resztę czasu spędzałem na malowaniu trupich czaszek, demonicznych mord, satanistycznych symboli. Snułem przy tym plany samobójcze i znieczulałem się czystą wódką.

Pewnego wieczoru przyszli po mnie. W środku tygodnia rozległ się dzwonek do drzwi. Na zewnątrz stało dwóch oprawców i beczelnie żądało rozmowy ze mną. Z nami! - rzucili krótko. Sprzeciw nie miał sensu. Dwaj olbrzymi wzięli mnie do środka i zablokowali między sobą na siedzeniu samochodu. Jechaliśmy na teren fabryki. Przez głowę przebiegały mi tysiące pytań, ale wolałbym sobie odgryźć język, niż stracić twarz przed tymi facetami. Miałem nadzieję, że nie czują jak wali moje serce. Spotkanie w ciągu tygodnia było dosyć niezwykle. Ostatnim razem przywiązali do drzewa tego zdrajcę. Ale wtedy przyjechał po mnie Piotrek. Ta akcja była bardziej oficjalna i niepokojąca.

Szukałem po omacku noża sprężynowego. Z ulgą stwierdziłem, że miałem go przy sobie. Najpierw odczekać. Jeśli moje obawy sprawdzą się, zawsze jeszcze zdążę popełnić samobójstwo, wbijając sobie nóż w serce. I tak chciałem umrzeć, ale nie torturowany przez kapłana.

Kapłan przyjął mnie przyjaźnie, prawie łaskawie. Hala była pusta, oprócz jednego ucznia, który stał zagubiony obok ołtarza. Zapomniawszy się, głaskał owcę przymocowaną do marmurowej płyty. Nieufnie odwróciłem się ponownie w stronę kapłana. Ruchem głowy w kierunku ołtarza nakazał mi zabić owcę. Dziwne. Posłuchałem jednak. Bez słowa. Wykonałem bezsensowny rozkaz. Kiedy podałem mu serce zwierzęcia, odłożył je nieuważnie na bok. Jeszcze dziwniejsze. Potem podszedł do ołtarza, nakłuł tętnicę szyjną zwierzęcia i napełnił złoty kielich w kształcie trupiej czaszki krwią. Tym razem zobaczyłem, że zanim podał mi kielich, dosypał białego proszku. Jego głos brzmiał zachęcająco: - Wypij. Ledwo przełknąłem, zakręciło mi się w głowie. Miałem wrażenie, że szybuję na chmurze. Słyszałem jednak wyraźne słowa kapłana: - Łukaszu, przyszedł czas na twój czwarty egzamin.

I wtedy wystąpił uczeń, którego obecności nie umiałem sobie do tej pory wytłumaczyć. Pokazał mi zdjęcie. Była to fotografia dziewczyny, mającej najwyżej szesnaście a nawet może mniej lat. Zalotnie uśmiechała się do kamery. Jej włosy potargał wiatr. - Przyjrzyj się dobrze - zażądał kapłan - ponieważ podczas następnej mszy ofiarujesz ją Szatanowi.

## **ROZDZIAŁ 15**

Oprzytomniałem dopiero, kiedy zostałem przed drzwiami domu niedelikatnie wypchnięty z samochodu. Jak za mgłą widziałem tylne światła odjeżdżającej limuzyny. Chód nocy otrzeźwił mnie. Przykucnąłem na ścieżce prowadzącej do domu. Wokół mnie panowała cisza, w żadnym oknie nie paliło się już światło. Czy było już tak późno? Mój zegarek wskazywał pierwszą trzydzieści pięć! Około dziesiątej dotarliśmy do magazynu, a jakieś pół godziny później kapłan podstawił mi pod nos zdjęcie dziewczyny. A od tamtej pory?



Jęknąłem umęczony - tylko nie znowu czarna dziura w pamięci. Z pękającą czaszką dowlokłem się do domu i rzuciłem do lodówki. Potrzebowałem teraz mocnego trunku. Z westchnieniem ulgi odkryłem butelkę wódki i wyciągnąłem ją. Była jeszcze pełna. Nikt się do niej nie dostał. Miałem teraz tylko jedno życzenie - możliwie jak najszybciej zupełnie się zalać.

Następne dni były najgorszym przeżyciem, przez jakie przeszedłem w moim krótkim życiu. To było po prostu piekło. Rozgrywała się we mnie nieopisana walka. Jak dwie burze walczyły ze sobą moje sprzeczne uczucia. Jakaś część mnie domagała się bezwarunkowo odejścia od sekty. Nie pójdę tam, więcej nie zniosę! Nie chce zabijać! Musze odejść! Pomocy!

Inna część przypominała mi, kim byłem i że treścią mojego życia był satanizm. Ten głos był twardy i pchał mnie z powrotem w przepaść. Chcę być przecież dobrym sługą Szatana, jak mogę żyć bez satanizmu? Co będę robił podczas weekendów? Skąd wezmę pewność siebie? Ogromny szacunek, jakim cieszyłem się w grupie, wywalczyłem sobie z trudem. Jeśli teraz odwrócę się od Szatana, skończy się moja władza, moja mroczna tajemnica. Tyle lat posłusznie jej strzegłem. Czerpałem z niej siłę. Koniec, wszystko skończone. Czułem się jak żebrzący o towar alkoholik, któremu zabrano ostatnią kroplę wódki. Jak nałogowiec na odwyku.

Gnębił mnie ten problem. Szarpały mną wątpliwości i popadałem z jednej skrajności w drugą. Tak jak orkan rzuca na wszystkie strony gałęziami drzewa. I nagle spostrzegłem, kto był winien mojemu ciężkiemu położeniu - kapłan. Dlaczego wreszcie nie zostawi mnie w spokoju? Ciągłe domagał się czegoś więcej, naciskał na mnie. Prześladował mnie. Ale dlaczego tym razem uprzedził mnie? Jeszcze tego nigdy nie zrobił. Do tej pory nie wiedziałem nigdy, co mnie czeka podczas następnego egzaminu. A może to wszystko, to był tylko wredny, przebiegły test? Kapłan chciał jedynie sprawdzić, czy jestem wystarczająco silny i zahartowany, żeby po takiej zapowiedzi pojawić się na następnej mszy. Być może była to już część kolejnego egzaminu. Dlaczego nie mogłem pozostać po prostu uczniem trzeciego stopnia, tak jak do tej pory? Potem przypomniałem sobie tułów Piotrka. Usiany okropnymi bliznami. Odmówił zabicia szwagra i zapłacił za to. Czy chciałem wylądować na ołtarzu? Nie i jeszcze raz nie!

Sytuacja była beznadziejna. Raz błagałem Szatana o siłę i przebaczenie, a potem znów wiedziałem, że nie starczy mi satanistycznej siły, żeby "ot tak" zabić człowieka. Zabić ze strachu, wściekłości, nienawiści - to jeszcze mogłem sobie wyobrazić. Ale dokonać egzekucji na młodej, wesołej dziewczynie, tylko po to, żeby udowodnić Szatanowi i kapłanowi, że jestem w stanie to uczynić? Że posiadam wystarczająco dużo satanistycznej mocy? Niemożliwe! W postawionym do góry nogami satanistycznym świecie panuje nienawiść. W

porządku. Do tej pory jakoś się z tym godziłem. Ale dlaczego miałem nienawidzić kogoś, kogo w ogóle nie znałem? To nie mogło być po myśli Szatana. Dobrze, bez zastanowienia mordowałem i męczyłem zwierzęta.

One też mi nic nie zrobiły. Upajałem się tym wspaniałym poczuciem władzy nad życiem innej istoty. Tak, jak mnie nauczili. Teraz po trochu ten diabelski wąż coraz mocniej oplątał się wokół mojej szyi. Obietnicami i groźbami sprzymierzeńcy Szatana znęcali mnie aż nad sam brzeg przepaści. A ja pozwoliłem się znęcać. Jeszcze jeden krok i spadnę. Głęboko. Bardzo głęboko. Na zawsze. Nie mogłem dopuścić do tego wszystkiego. Musiałem się wreszcie zacząć bronić. Energicznie. Musiałem się ratować. Ostatecznie. Ale jak?

Potrzebowałem czasu. Czasu do namysłu. Ale nad czym się tu jeszcze zastanawiać? Jak i dokąd mógłbym odejść? A może chciałem się tylko lepiej przygotować do pozornie nieuniknionych wydarzeń? Do poprowadzenia ofiarnego rytuału, do morderstwa! Opuściłem dwie msze. Oprawcy z pewnością już na mnie czyhali. Czekali pewnie tylko na dogodną okazję, żeby mnie schwytać. No, ale co do cholery mogłem na to poradzić?

Przestraszony, żeby umknąć polowania na mnie, zdecydowałem się nie ruszać z domu. Kiedy już musiałem wyjść, unikałem ludzkich zgromadzeń i nie odważyłem się wsiadać ani do pełnego autobusu, ani przepelnionego tramwaju. Zbyt łatwo mógł mi ktoś w tłumie niepostrzeżenie wbić nóż między żebra. Unikałem także dyskotek, często odwiedzanych knajp i domów towarowych. Jak ścigane zwierzę starałem się mieć za plecami pustą przestrzeń. Wszędzie i o każdej porze.

Na niewiele się to zdało. Złapali mnie w trzecim tygodniu. W drodze do szewca. Z całkowitą swobodą niepostrzeżenie wzięli mnie w środek. Na chodniku, w miejscu publicznym. Obaj faceci byli ode mnie wyżsi o dobre dwadzieścia centymetrów. I byli dwa razy szersi ode mnie w ramionach. - Nawet nie próbuj uciec - syknął mi jeden z oprawców do ucha. Usta rozciągnęły mu się w wyniosłym uśmiechu, ale oczy pozostały zimne i nie znoszące sprzeciwu. Zaprowadzili mnie do kapłana.

Jego pogardliwy wzrok przeszył mnie do szpiku kości. Te oczy nie znały litości. Skąd zresztą? Mimo to byłem zdecydowany elegancko wytłumaczyć moją nieobecność. -.... ja byłem zalany i obrzygałem cały pokój. I za to wychowawca wlepił mi dwa tygodnie aresztu domowego - kłamałem. Szybko dodałem zaraz: - Coś takiego jeszcze mi się nie zdarzyło. Do tej pory zawsze przychodziłem. Nie opuściłem żadnej...!

Kapłan przerwał obronnym ruchem ręki mój potok wymowy. Przyglądał mi się intensywnie. Bez słowa. Denerwowałem się szaleńczo, ale zmusiłem się,

żeby wytrzymać spojrzenie tych rybich oczu spokojnie i nie tracąc panowania nad sobą. Po upływie całych wieków, wypowiedział te zbawienne słowa: - Dobrze, wierzę ci. Ale tylko dlatego, że do tej pory byłeś doskonałym i pełnym zapału wyznawcą nauki satanistycznej.

Pstryknął w palce i oprawca podał mi dwie kasety wideo. - To dla ciebie. Są tu nagrane msze, które opuściłeś. Masz je nadrobić! Najchętniej podskoczyłbym w powietrze z radości. Jeszcze raz mi się udało! Jednak kapłan nie skończył: - Zobaczymy się w sobotę, Łukaszu!

To nie było zaproszenie. To była groźba. W domu pojawił się nowy problem - jak mam obejrzeć te kasety? Nasz magnetowid został w zeszłym tygodniu zarekwirowany przez wychowawców, ponieważ całymi nocami, nie mogąc spać, oglądałem horrory. Poskarżyli się na mnie współlokatorzy. Teraz spróbowałem szczęścia u dyżurnego wychowawcy, Krzysztofa. - Nie sądzisz, że już najwyższy czas oddać nam wideo?

Bardzo starałem się mówić grzecznym tonem i uśmiechać przyjaźnie. Jednak nie wywarło to na Krzysztofie najmniejszego wrażenia. Kiedy nie pomagały ani przyrzeczenia, ani prośby i błaganie, zmieniło się moje nastawienie: - Gdzie ja właściwie jestem? Tutaj nic nie wolno, już lepiej żyłoby mi się w więzieniu - awanturowałem się. Sapiąc z wściekłości biegałem po pokoju. Aby nadać moim żądaniom większego wyrazu, tłukłem pięścią w ścianę i szafę. Krzysztof bez zrozumienia obserwował ten napad szału. Niewiele brakowało, a zaatakowałbym go. Mój wybuch złości nie zdał się na nic.

Całkowicie wkurzony i bliski eksplozji wpadłem do mojego pokoju. Kląłem w duchu - ten jeszcze popamięta. Nie chce ulec, to poniesie konsekwencje. Teraz musiałem, bowiem ukarać się z powodu "niewykonania rozkazu". Odpokutować przed Szatanem i w inny sposób udowodnić mu, że jestem jego posłusznym sługą. Podczas tego samokarania musiałem poświęcić Szatanowi własną krew. Tak było napisane w regulaminie na wypadek, gdy niewierni uniemożliwią wykonanie rozkazu.

Zatrzasnąłem za sobą drzwi i zapaliłem górne światło. Mój pokój miał być jasno oświetlony z prostego powodu - ci na zewnątrz, przed moimi oknami, powinni wszystko widzieć jak sam się karze, ponieważ nie dostałem magnetowidu i nie mogłem nadrobić straconych mszy. Z całą pewnością bowiem oprawcy czatowali w ogrodzie. Jak sępy śledzili mój każdy krok. Nie mogłem ich wprawdzie zobaczyć, ale czułem ich obecność. Chociaż kapłan niespodziewanie mi uwierzył, sataniści musieli mieć przecież teraz na mnie oko. Wpadłem nieprzyjemnie. I nie było żadnego wyjścia. Pozapalałem rozliczne, czarne świece, których nie może zabraknąć przy żadnym obrzędzie kultowym i ostrożnie zdjąłem ze ścian wszystkie własnoręcznie wykonane obrazy

okultystyczne. Ponieważ byłem dumny z moich dzieł, oprawiłem je starannie w szkło. Jeden po drugim układałem je teraz na stertę przed łóżkiem. Pierwszy akt mojego samo karania został dokonany.

Jednak dopiero w drugim akcie przeszedłem naprawdę do rzeczy. Jak opętany rozbijałem i tłukłem gołymi rękami szklane oprawy. Starłem się, żeby wszystkie odłamki znalazły się na prześcieradle - przygotowane do trzeciego aktu. Mój sąd skorupkowy chrząścił i trzeszczał należycie, ale to było niewystarczające. Krzysztof miał wszystko usłyszeć. Muszę teraz ponieść karę, ponieważ odmówił mi oddania magnetowidu. W końcu oprawcy stojący na zewnątrz powinni uwierzyć, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby obejrzeć kasetę z nagraniem mszy. Przede wszystkim ten przeklęty kapłan musi dalej we mnie wierzyć. Tylko dlatego muszę przekonać tych w ogrodzie, że jestem wiernym sługą Szatana.

Kiedy stłukłem już ostatnią szybę, zgasilem światło górnej lampy. W ciepłej poświacie licznych świec zdjęłem ubranie. Tylko w majtkach rzuciłem się na łóżko usiane odłamkami. Żadnego bólu, żadnego krzyku - nie ogarnęło mnie nic oprócz satysfakcji, że powiódł mi się trzeci akt mojego satanistycznego rytuału. Tak jakbym zwyczajnie kładł się do łóżka, przykryłem się i usiłowałem odprężyć. Nie udało mi się jednak. Wzbierająca we mnie bezradna wściekłość na Krzysztofa i jego zakaz zamieniła się w bezgraniczną nienawiść. Czy kiedykolwiek będę mógł robić, co mi się podoba? Czy już zawsze będzie istniał ktoś, kto ograniczy moją wolność osobistą? Pod tym względem wszyscy byli równi - chrześcijanie i sataniści. Wkurzony rzucałem się po moim łóżku fakira. Tysiące odłamków przecinały mi skórę. I dobrze! Kiedyś zasną i wykrwawię się. Jutro rano nie będę żył. Najlepsze rozwiązanie. Zbawienie dla mnie. Nareszcie ogarnęło mnie uczucie błogiego szczęścia. Wszystko będzie dobrze.

Nie upłynęło dużo czasu, a Krzysztof w towarzystwie dwóch moich współlokatorów wpadł do pokoju. Zdecydowany i z groźnym spojrzeniem zerwał ze mnie kołdrę. Chciał właśnie wrzasnąć, ale słowa utknęły mu w gardle, kiedy zobaczył moje zakrwawione łóżko. Najpierw usiłował dojść do siebie, później zdławionym głosem zapytał: - Czy ty zwariowałaś?

Momentalnie chwyciłem większy odłamek szkła i wyskoczyłem z łóżka. Groźnie skierowałem szkło w jego stronę. - Zostaw mnie w spokoju - wychrypiałem. - Jesteś wszystkiemu winien, ty sadystyczna świnię. Próbujesz udowodnić mi twoją śmiesznie małą władzę. Ale nie uda ci się to ze mną, ty żałosny, mały gnojku. Szatan ci za to zapłaci. Spływaj, zanim się nie zapomnę i nie rozetnę ci tym brzucha!

Jak bokser podskakiwałem wokół niego i wyciągałem odłamek w jego kierunku. Krew długimi strużkami spływała mi po ramionach i całym ciele na

podłogę. Musiałem wyglądać jak po masakrze. Na twarzy Krzysztofa malowały się strach i przerażenie. Odwrócił się w miejscu i wyprowadził pośpiesznie obu chłopców. Temu dopiero dałem szkołę. Zadowolony położyłem się z powrotem.

Piekła mnie prawa dłoń. Tak mocno ścisnąłem szkło, że jego ostre brzegi wbiły mi się głęboko w ciało. Obojętne. Jednak tej nocy spokój nie był mi pisany. Jakies dwadzieścia minut później ktoś gwałtownie otworzył moje drzwi. Krzysztof zadzwonił po policję, a ci zabrali ze sobą lekarza. Mówił do mnie uspokajająco i zbliżał się powoli, krok po kroku. Chciał mnie zbadać. Wściekły wyskoczyłem ponownie z łóżka i zatoczyłem się. Poczułem zawrót głowy i wpadłem na ścianę. Lekarz chciał mi pośpieszyć z pomocą, lecz ledwo odzyskałem przytomność, zagroziłem mu odłamkiem szkła, który momentalnie schwyciłem z nocnego stolika. - Jeśli mnie dotkniesz, podetnę ci gardło!

Później opowiadano mi, że jak zaszczute zwierzę kuciałem w kącie pokoju i mamrotałem łacińskie formułki. A moje gałki oczne przekręciły się tak potwornie, że widać było tylko białka. Za wszelką cenę chciałem się jeszcze raz podnieść. Jednym ruchem złapałem mój podkoszulek i wybiegłem z krzykiem na korytarz. Ciąłem powietrze na oślep kawałkiem szkła, minąłem w biegu wszystkich tych bezradnie stojących ludzi i uciekałem skrywając się w ciemnościach. Nie zaszedłem daleko - w majtkach i podkoszulku. Nic dziwnego. Właściwie musiało to być dla mnie jasne. Jednak w tym momencie nic już nie było normalne. Mój rozum przestał funkcjonować. Mój mózg się wyłączył.

Gliny znalazły mnie szybko i otoczyły. Czterech z nich wycelowało we mnie pistolety. - Rzuć szkło - rozkazał jeden. Rzeczywiście ciągle jeszcze kurczowo ścisnąłem odłamek. Podniosłem rękę, zakręciłem się wkoło i zaśmiałem szyderczo: - Zastrzelcie mnie! No, już, zróbcie to, tchórze!

Chciałem, żeby mnie wyręczyli. Niestety, nie mogłem mieć na oku wszystkich czterech jednocześnie. W ten sposób jednemu udało się wtrącić mi kopniakiem szkło z ręki. Drugi złapał mnie za nadgarstki i wykręcił ręce na plecy. Chwył policyjny. Chcieli mnie zabrać ze sobą i wsadzić do izby wytrzeźwień. Ale ja wcale nie byłem pijany. Gliny znowu nic nie rozumiały.

Powoli wracało opamiętanie. Mój zakrwawiony podkoszulek przyklejał się lepko i nieprzyjemnie do ciała, moje pocięte ręce piekły i drżały niekontrolowane. Zebrałem się w sobie i usiłowałem naprawić zawikłaną sytuację. Tylko nie do komisariatu policyjnego. Żeby się tylko nie dostać do akt. Muszę z powrotem. Chciałem wrócić do moich odłamków. Nie zrezygnowałem jeszcze z planu śmierci. Bądź miły dla glin, mówiłem sobie w duchu. Udowodnij im, że jesteś całkiem normalny, nawet jeśli na takiego nie wyglądasz.

Kiedy chwilę później doszedł do nas Krzysztof, najspokojniej w świecie rozmawiałem sobie właśnie ze stróżami porządku. Także i na nim zrobiłem wrażenie, że jestem znowu spokojny. Dobrodusznie uśmiechałem się na wszystkie strony i wyrażałem skruchę. I rzeczywiście zwolniono mnie pod opiekę wychowawcy.

Ledwie jednak policja zniknęła z pola widzenia, zrzuciłem przyjazną maskę. Ujawniło się moje prawdziwe oblicze - wykrzywiona nienawiścią twarz. Krzysztof patrzył na mnie z ukosa. Potem już tylko szedł obok w milczeniu, z podniesioną głową. Z pewnością pchały mu się na usta tysiące pytań. Nie odważył się jednak ich postawić. I miał szczęście. Później napisał w raporcie do kierownictwa internatu: "Jeszcze nigdy się tak nie bałem żadnego człowieka, jak wtedy Łukasza".

Zaraz po przyjściu do domu, bez słowa zniknąłem w moim pokoju. Było już krótko po północy. Krzysztof upewnił się jeszcze, że zmieniłem prześcieradło i wyrzuciłem odłamki do kosza i pojechał do domu. Aż do następnego ranka uprzątałem ślady moich okultystycznych poczynań. Czyściłem ze szkła i krwi podłogę między pokojem a łazienką, szorowałem kafelki po kąpieli, wyrzuciłem przesączzone krwią prześcieradło i ubranie i uprzątnąłem nawet resztę pokoju. I tak wiedziałem, że mimo to będę miał jeszcze poważne nieprzyjemności. Miałem nadzieję, że uda mi się ułagodzić wychowawców moją "grzecznością".

## **ROZDZIAŁ 16**

Nadciągnęła burza i to gwałtowna. Ja jednak otworzyłem serce przed wychowawcami i opowiedziałem wszystko. O coraz silniejszych i nieuniknionych więzach z satanistami, o rytuałach, o potwornych wahaniach, wątpliwościach i lękach, które przeżywałem, i o decyzji opuszczenia sekty. Czasami nie mogli uwierzyć w moje opowieści z dreszczykiem. I nie mogli sobie wyobrazić, że od tej chwili moje życie znajduje się w niebezpieczeństwie (odejście było nierozdzielnie związane z bezlitosnym polowaniem na mnie), i że sataniści dołożą wszelkich starań, żeby mnie odnaleźć i zlikwidować.

Wreszcie pod koniec naszego wielogodzinnego posiedzenia udało mi się ich przekonać. W końcu potraktowali mnie poważnie, ponieważ już kilka dni później, Timo, jeden z opiekunów, zaproponował mi nie rzucającą się w oczy przeprowadzkę do innej wspólnoty mieszkaniowej. Żądał w zamian za to, żebym spalił wszystkie satanistyczne papiery, książki, obrazy i kasety wideo i dobrowolnie zwrócił się do poradni zajmującej się ofiarami sekt. - Potrzebujesz profesjonalnej pomocy - zdecydował Stefan, inny wychowawca - I przyszedł czas, żebyś nam udowodnił, że poważnie myślisz o wyjściu z sekty.

Dlaczego nazywał mój tajny związek tak pogardliwie - sektą? I dlaczego wszystko we mnie buntowało się przeciw jego żądaniom? Dlatego, że w głębi serca wciąż jeszcze byłem satanistą. Nie wierz nikomu, nie kochaj nikogo nikomu nie pomagaj. Miałem okazję porozmawiać o moich lękach i poczuciu winy. Chcieli mi nawet pomóc wyzwolić się z zależności od tych potworów.

Ale zbyt głęboko miałem wpojone zasady satanizmu. Nic dziwnego, żyłem nimi przez cztery lata. Dlatego nikt nie mógł poważnie ode mnie wymagać, żebym w przeciągu kilku dni wyrzucił za burtę całą tę filozofię życiową. Ewentualnie spalił. Niemożliwe. Te papiery były skarbem, moją najcenniejszą własnością. Kolekcjonowane przez długi czas i z całą dumą pielęgnowane i chronione. Moja biblia - szósta i siódma księga Mojżesza. Kto pali biblię? W napadzie opętania spytałem Timo: - A co będzie, jeśli nie spalę tych rzeczy? - Będziemy cię wtedy, niestety, musieli wyrzucić - odparł sucho.

Zgodziłem się więc. Bardziej się bowiem bałem samotności niż wszystkiego innego. Stefan osobiście kontrolował akcję oczyszczania. Wspólnymi siłami i dosyć drobiazgowo przeszukaliśmy wszystkie zakamarki pokoju. Każda rzecz, która choćby w najmniejszym stopniu miała do czynienia z satanizmem lądowała w ogromnym tekturowym pudle - książki, materiały do nauki, kasyety wideo, rysunki. Nawet czarne świece. Z mojego satanistycznego dobytku utworzyliśmy w ogrodzie stos i podpaliliśmy go.

Kosztowało mnie dużo wysiłku, pozostawić na pastwę płomieni wszystkie moje drogocenne i ukochane przedmioty. Ogień pochłaniał po prostu całą moją przeszłość, niszcząc kawałek po kawałku. Nie mogłem prawie wytrzymać tego widoku. Ale jeszcze bardziej bałem się jednego - w każdej chwili z płomieni mógł podnieść się Szatan we własnej postaci i przekląć mnie na wieki, gdyż od tej pory byłem odszczepieńcem i zdrajcą.

Na koniec została mi tylko moja biblia. Jednak i z nią musiałem się rozstać. Na zawsze. Książka przykleiła się właśnie do moich spoconych dłoni. Wszystko we mnie buntowało się przeciwko zbrodni, przeciwko wrzuceniu jej w płomienie. Timo przeczuł, co się ze mną dzieje. Powiedział zachęcająco: - No, daj już. I bez najmniejszych oporów wrzucił moje "święte pismo" do ognia. Odwróciłem się na pięcie i pośpieszyłem do domu.

Zadzwoił telefon. Piotrek wiedział, co ja właśnie zmalowałem. Mimo to jego głos był zatroskany i przyjazny. Uporczywie prosił mnie, żebym powrócił. - Wiesz przecież, co oni z tobą robią. Nie masz szans, Łukasz, choćbym nawet bardzo ci tego życzył.

Co miałem na to odpowiedzieć? Nie było odwrotu, właśnie zerwałem z satanizmem. Na zawsze. Piotrek był satanistą. Ciągle jeszcze. Nie miałem mu już

nic więcej do powiedzenia. Bez słowa odłożyłem słuchawkę na widełki. Po raz pierwszy od wielu lat zamierzałem wziąć swój los we własne ręce. To była moja decyzja. Ale też i ja sam ryzykowałem. Nazbyt dobrze wiedziałem, co się teraz ze mną stanie, co mnie czeka. Ostrzeżenie Piotrka było niepotrzebne. Do tej pory byłem łatwym i posłusznym narzędziem w ręku Szatana. A tak wzorowego ucznia jak ja, kapłan nie zostawi w spokoju...

Poszedłem do pokoju, nastawiłem Pink Floydów i wyłowilem spod łóżka jedną z licznych butelek wódki. Łyknąłem zdrowo. Gównu, wszystko gównu. Już następnego dnia przeprowadziłem się. Z czteropokojowego mieszkania do domku. Hura! Na parterze była kuchnia, pokój gościnny, toaleta dla gości, biuro dla wychowawców, a ja rezydowałem na pierwszym piętrze. Już nie parter. To poprawiało samopoczucie. Tutaj czułem się znacznie bezpieczniej niż w starym mieszkaniu. Moi nowi współlokatorzy - Siggie i Gerd, też okazali się sympatyczni. Znali mój problem. Wychowawca uprzedził ich. A ja byłem zaskoczony, że mimo to przyjęli mnie tak serdecznie.

Pan Wegener, dyrektor internatu też nie próżnował. Znalazł dla mnie poradnię dla ofiar sekt. Timo zawiózł mnie swoim samochodem na spotkanie. Podczas dwugodzinnej jazdy utkwilem wzrok w lusterku wstecznym, ponieważ cholernie się bałem, że moi eksbracia będą mnie śledzić. Także w poradni czułem się bardzo nieswojo. Marlies, pani psycholog, starała się zawzięcie, ale bez skutku, zmniejszyć moją rezerwę. Milczałem uparcie i kręciłem się niecierpliwie na rogu kanapy. W porządku, chciałem odejść, ale czy tylko z tego powodu muszę zdradzić moją grupę? Wygadać tajemnice? Na nic zdały się starania. Kodeks satanisty miałem głęboko zakorzeniony.

Po kilku tygodniach jednostronnych prób podjęcia rozmowy, Marlies zaprosiła mnie na weekendowe spotkanie ludzi dotkniętych przez działalność sekt. Wyjaśniła mi, że zbiorą się tam ci, którzy opuścili różne sekty. Luźne rozmowy, możliwość poznania nowych ludzi, wspólne gotowanie, wycieczki, spanie - a jednocześnie możliwość odizolowania się w każdym momencie, jeśli komuś przyjdzie ochota być samemu. Propozycja była nęcąca. Wprawdzie gównu mnie obchodzili inni uczestnicy, ale chciałem wyrwać się z miasta, w którym mieszkałem. W którym aż się kłębiło od satanistów. Przez parę dni rozkoszowałem się bezpieczeństwem. Życie bez strachu. Dlatego pojechałem.

Jednak ten weekend miał większe znaczenie. Wprawdzie trzymałem się z dala od rozmów i dyskusji grupowych, ale dokładnie przysłuchiwałem i przyglądałem się. Fascynował mnie sposób, w jaki Marlies obchodziła się z tymi młodymi ludźmi, jak znajdowała odpowiedź na najbardziej drażliwe pytania i jak subtelnie reagowała w delikatnych sprawach. Wcześniej nie byłem w stanie zaufać jej ani odrobinę. Nie miałem najmniejszej ochoty na przemądrzałe uwagi



jakiejś chrześcijanki. Jednak podczas tych dwóch dni przekonałem się, że są dorośli, którzy nas - nieco może poplątaną młodzież, traktują jako równych partnerów do rozmowy.

Podczas następnego spotkania z Marlies zacząłem mówić. Najpierw jeszcze jękając się i ostrożnie. Licząc się z tym, że w każdym momencie zostaną nazwany kłamcą. Albo od razu wariatem. Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Marlies tylko słuchała z uwagą. Zdawało się, że nie zaskoczyły jej moje opisy czarnych mszy i okropnych rozkazów, które musiałem wykonywać. Także obawę przed moimi byłymi braćmi uznała za usprawiedliwioną.

W domu wciąż musiałem myśleć o moim pierwszym spotkaniu z amerykańskim kapłanem. Z czasów, gdy byłem jeszcze nowicjuszem. Wówczas pobił mnie brutalnie z powodu moich opętanych myśli. Nigdy tego nie zapomniałem. Lecz ostrzeżenie, którego mi tego wieczoru udzielił, odsunąłem od siebie natychmiast. Aż do teraz - moja podświadomość nagle je ujawniła. Pojawiło się w moich szalonych koszmarach. A teraz te słowa prześladowały mnie jak natarczywy owad i nigdy się ich nie pozbędę: - Jeśli odejdziesz, umrzesz. Jednak aż do śmierci będziesz nieskończenie nieszczęśliwy. Te dwa zdania zawładnęły moimi myślami i czynami. Aż do śmierci, powiedział kapłan! Z pewnością ogłosił nagonkę na mnie. Już nie tylko oprawcy, teraz ściagała mnie cała zgraja. Mój los był przesądzony. Bezapelacyjnie. To była tylko sprawa czasu.

Miałem spokój przez dwa tygodnie, później sprytni pomocnicy kapłana wyśledzili mój nowy dom. Od początku wiedziałem, że to nie potrwa długo. W końcu nowe domostwo leżało zaledwie parę ulic od starego. Zależało mi tylko, żeby przetrwać jeszcze przez kilka żałosnych dni, żeby jeszcze trochę pożyć, żeby przeżyć i żeby w tym czasie znaleźć może jakieś rozwiązanie. Dlatego żyłem z dnia na dzień. Tak jakbym jutro miał być już martwy. Koncentrowałem wszystkie siły na tym, żeby przetrwać niekończące się noce i uporać się jakoś z paraliżującym strachem. Wspomnienie następnych pięciu miesięcy zatarto się w mojej pamięci. W głowie panował ogromny chaos wywołany przez demony Pana. Bawili się ze mną w okrutny sposób.

Ponieważ przerwałem naukę stolarstwa i nie wychodziłem sam z domu, nie mieli do mnie dojścia. Przynajmniej nie na tyle, żeby mnie zabić. Jednak ja czułem i widziałem ich wszechobecność. Zło czaiło się wszędzie. Za dnia i nocy, zarówno w czasie snu, jak i na jawie.

Moje okna, ściana domu i drzwi wciąż były usmarowane symbolami satanistycznymi. Namalowanymi przez moich prześladowców, jako groźny znak ich obecności, jako ostrzeżenie albo żądanie, żebym się wreszcie stawił. Kiedy tylko sprowadzałem wychowawcę, żeby mu to pokazać, symbole zniknęły jakby

się zapadły pod ziemię. I ten terror psychiczny, który ze mną uprawiali, stawał się coraz gorszy. Telewizor włączał się bez mojego udziału, ale tylko wtedy, gdy siedziałem sam w domu. Pięć razy pod rząd. Nie był to więc przypadek. W moim pokoju znajdowałem świstki papieru, na których zapowiadano moją śmierć. Pewnego razu dostałem paczkę ze zdechłym szczurem. Innym znów razem przed moimi drzwiami leżało wycięte serce. To wszystko były znaki.

Czekali na okazję, żeby mnie złapać. Jednak za każdym razem, gdy chciałem wychowawcy pokazać dowody, rzeczy jakby się rozpywały w powietrzu. Niemożliwość udowodnienia, że mój strach był uzasadniony, doprowadzała mnie do szaleństwa. Przy tym nikt właściwie nie powątpiewał w moje opowieści. Gerd, Siggi, nasi trzej wychowawcy i ja staliśmy się z czasem jakby sprzysiężoną wspólnotą. Co noc wysłuchiwali na zmianę mojej gadaniny. Poświęcali mi swój sen, żeby ochronić mnie przed szaleństwem.

Cztery lata piekła - ucisku, przemocy, dotrzymywania tajemnicy i dręczące poczucie winy - mówiłem, mówiłem i mówiłem. Kierując się chyba zasadą - dopóki mówię, żyję. Najważniejszą rzeczą dla mnie było uświadomienie im, jak bezwzględna i niebezpieczna była moja sekta. Byli przerażeni, ale wierzyli mi. Nasi wychowawcy potraktowali poważnie mordercze chęci moich eksbraci i zamontowali nam telefon, żeby w każdej poważniejszej sytuacji można było zadzwonić na policję i żebym, kiedy moje lęki staną się nocą nie do wytrzymania, mógł porozmawiać z Marlies.

Wreszcie Siggi i Gerd zmieniali się nocą, żeby przy mnie czuwać. W ten sposób mogli przynajmniej na zmianę spać. Niezliczoną ilość razy wrywałem Marlies ze snu. A to dlatego, że widziałem z Siggi i Gerdem moich prześladowców, postacie przemykające po ogrodzie. Za każdym razem Marlies dzwoniła na policję. Ledwo jednak zjawiali się gliniarze, straszdyła w krzakach zniknęły. Wkrótce więc policja doszła do tego, że tylko dzwoniła do wychowawców i informowała ich, zamiast ruszać się z miejsca. Miałem jednak przynajmniej świadków - Gerda i Siggi.

Pomimo tego ofiarnego wsparcia i podpory, którą dawali mi współlokatorzy, mój strach rozrastał się do nieskończonych granic. Pewność, że skończę na ołtarzu, niszczyła mi nerwy. Większość czasu spędzałem w łóżku, skulony i w ponurym nastroju. Drżąc i trzęsąc się ze strachu. Zwłaszcza nocna cisza doprowadzała mnie do szaleństwa, wariowałem całkowicie i wtedy potrzebowałem Marlies. Dzwoniłem do niej, płacząc często i szlochając, wierząc święcie, że nie dożyję następnego dnia. W tak krytycznych sytuacjach umiała zawsze uspokoić mnie nieco, okazując mi zrozumienie. Mimo to co wieczór obiecywałem sobie na nowo - dzisiaj poradysz sobie sam. Chłopcy są w domu, nie jesteś samotny. Nie pomagało. W rezultacie mogłem zasnąć jedynie mając

pod ręką nóż. Wychowawcy wiedzieli o tym. Tolerowali to. Mieli nadzieje, że nóż da mi poczucie bezpieczeństwa i dzięki temu prześpię normalnie noc. Niestety, tak się nie działo. Nawet nóż nie zmienił mojego przekonania, że każda chwila może być ostatnia w moim życiu.

Kiedy wreszcie zupełnie wyczerpany przysypiałem nad ranem, moja podświadomość znajdowała ujście w snach. Prześladowały i goniły mnie demony, pokawałkowane trupy, wykrzywione bólem dziecięce twarze i szeroko rozwarte w śmiertelnej walce oczy zwierząt. Kiedy budziłem się później z krzykiem, zlany potem, miałem wrażenie, że nie zmrużyłem oka. Jaki sens miało takie podłe życie? Za dnia potworne koszmary, pozostawiające uczucie wielkiego zmęczenia. W nocy paniczny strach przed satanistami i dręczące wyrzuty sumienia z powodu popełnionych przeze mnie okrutnych czynów.

Powoli docierało do mnie, co ja takiego narobiłem, będąc satanistą. I co satanizm uczynił ze mną. Stałem się wrakiem człowieka. Wykończony psychicznie i fizycznie. Przede wszystkim psychicznie, widział to każdy, tylko ja nie chciałem tego zobaczyć. Za bardzo zaplątałem się w swój własny strach.

- Potrzebujesz pomocy psychiatrycznej, Łukaszu - stwierdził któregoś dnia Timo.
- Może się zdarzyć, że dźgniesz nożem Siggiego albo Gerda, kiedy pójdą w nocy do toalety. Tylko dlatego, że uroisz sobie, że są satanistami.

Wychowawcy też zaczęli się bać. Nie tyle z powodu satanistów, ale z troski o innych wychowanków. Coraz częściej namawiali mnie, żebym dobrowolnie zgłosił się do szpitala. Nie chciałem jednak absolutnie nic o tym słyszeć. Czy ja miałem nie po kolei pod sufitem? Albo halucynacje? Przecież nie wymyśliłem sobie tego, że jestem śledzony, prześladowany i obserwowany. To był fakt. Gerd i Saggi byli świadkami. A więc po co do cholery jasnej miałem iść do szpitala psychiatrycznego?

Jednak musiałem w pewnym momencie dostrzec, że jestem dla wszystkich ogromnym obciążeniem. Nastąpiła połowa listopada. Już prawie od pięciu miesięcy, mniej lub bardziej regularnie pozbawiałem moich współlokatorów i wychowawców zasłużonego nocnego wypoczynku. Nie chodziłem do pracy i spałem w ciągu dnia, podczas gdy tamci, całkowicie przemęczeni, musieli harować. Nie mogło to trwać wiecznie. Nic poza śmiertelnym strachem. Zrozumiałem, że sam masochistycznie odwlekam mój pewny koniec. Szatan zawsze wygrywa.

Podczas szkoleń kapłan często wychwalał pilność swoich pomocników: - Jak dotąd, jeszcze nikt nie przeżył próby odejścia. Wcześniej czy później ci ludzie złapią każdego. I nie śmierci się tak obawiałem. Bałem się okrutnych tortur, powolnego umierania w mękach, którego pragnąłem uniknąć za wszelką cenę. Istniała dla mnie teraz tylko jedyna szansa - popełnić samobójstwo.

Postarałem się o mocne środki uspokajające. Popite butelką wódki wybawią mnie. Na zawsze. Jednak Silke, nasza opiekunka, znalazła tabletki, zanim zdołałem zrealizować plan. I skonfiskowała opakowanie. - Dlaczego nie mogę się zabić? Nie chce iść do psychiatry i nie chce być dla was dłużej ciężarem - szalałem.

Na zewnątrz w ogrodzie znów stali oprawcy. Nie wytrzymałem i ruszyłem do kontrataku. Pognałem do kuchni i wyciągnąłem z szuflady dwa duże, ostre noże i za pomocą taśmy samoprzylepnej przymocowałem je do przedramienia. Tak uzbrojony popędziłem do ogrodu. Wielkimi, zdecydowanymi krokami przebiegłem po trawniku i podchodziłem do każdego krzaka, obchodziłem każde drzewo. Szalenie odważnie wydarłem się w ciemnościach: - Wiem, że tam jesteście. Wychodźcie. Pozabijam was wszystkich! Gdzie się chowacie, tchórze? Nagle złapały mnie dwie ręce. Jakieś głosy coś do mnie mówiły. To byli Silke i Gerd. Zaciągnęli mnie z powrotem do domu, ostrożnie odebrali mi noże i usiłowali uspokoić. Następnego dnia odbyło się nadzwyczajne posiedzenie.

Zebrali się wszyscy wychowawcy, dyrektor domu i Marlies, żeby przesądzić o moim dalszym losie. Koniec końców zostałem wezwany. Godzinami namawiali mnie, żebym poszedł do szpitala. Na oddział psychiatryczny. Marlies obiecała znaleźć dla mnie szpital w innym mieście. Tam moi prześladowcy nie odnajdą mnie tak szybko. I wytłumaczyła mi, że lepiej jest zgłosić się samemu, ponieważ wtedy mogę opuścić szpital, kiedy tylko zechcę. Jednocześnie zagrozili mi, że mnie tam umieszczą przymusem, jeśli miałbym się dłużej sprzeciwiać. Nie mam wtedy szansy być zwolnionym bez zgody lekarzy. Nie miałem więc wyboru. Musiałem wyrazić zgodę na dobrowolny pobyt na oddziale psychiatrycznym. Mimo to trafiłem najpierw na oddział zamknięty. Marlies twierdziła, że będę się tam czuł pewniej. Jednak było okropnie. Tylko wariaci i narkomani dookoła. Z nikim nie mogłem pogadać.

Po tygodniu zrobiłem awanturę i zagroziłem, że jeśli nie przeniosą mnie na oddział otwarty, porozbijam tutaj wszystko na drobne kawałki. Lekarze przystali na to. Później zostałem umieszczony na specjalnym oddziale. Pięć miesięcy. Terapeuci nazywali to "ponownym przysposobieniem do życia w społeczeństwie". Dla mnie szpital był azylem i schronieniem, w którym udało mi się pozbyć strachu i zyskać nową chęć do życia. Przechodziłem w tym czasie nieprawdopodobne męki, ciężkie momenty, ale był to też nowy początek. Moja wielka szansa.

## **ROZDZIAŁ 17**

Podczas mojego pobytu w szpitalu, kierownictwo internatu i Marlies starali się znaleźć dla mnie mieszkanie w innym mieście. Dla wszystkich było

bowiem rozumiałe, że nie mogłem powrócić do starego otoczenia. Zanim jednak opuściłem szpital, wydarzyło się coś wspaniałego. Poznałem w szpitalu Petrę, moją obecną towarzyszkę życia. Udało się jej dodać mi na nowo odwagi i chęci do życia. Petra dała mi bodziec, żeby od nowa uporządkować życie, szukać nowych perspektyw i przejąć panowanie nad swoim losem.

Z powodzeniem, gdyż krok po kroku chciałem nowego życia. Bez Szatana. Zamiast tego z kobietą, która mnie kocha. Która nie stawia niepotrzebnych pytań o moją przeszłość i akceptuje mnie ze wszystkimi moimi wadami i słabościami, która mnie wspiera i podziwia. Jednak ciągle jeszcze mam potrzebę bycia silniejszym. Być może będę tego potrzebował zawsze.

Razem z Petrą powróciło marzenie o normalnym życiu, które będąc satanistą, za każdym razem odrzucałem z wściekłością. Nagle pojawiło się w zasięgu ręki. Tylko ode mnie zależało, czy je zrealizuję. Petra potrzebowała mnie tak samo, jak ja jej. Razem byliśmy silni. I tylko wtedy.

Kiedy wyszedłem ze szpitala, nie potrzebowałem propozycji mieszkaniowych Marlies. Zamieszkałem z Petrą. W jej mieście znalazłem sobie praktykę i dokończyłem naukę. Nigdy już nie spotkałem Piotrka. Był moim przyjacielem, ale właśnie dlatego zostawił mnie w spokoju. Nie próbował mnie odszukać. Byłem mu za to wdzięczny. Jako satanista bowiem musiałby mnie zdradzić. Jego milczenie oznaczało, że życzy mi szczęścia. Mimo to wciąż dręczyła mnie niepewność, co też się z nim stało. Podczas pracy nad tą książką, kiedy przypominałem sobie wszystkie okropieństwa, powracał także stale temat Piotrka. W pewnym momencie postanowiłem stawić czoła temu niewyjaśnionemu pytaniu. Musiałem dowiedzieć się, co się z nim stało. Może i jemu udało się odejść. Odważyłem się więc zadzwonić do jego siostry. Piotrek zniknął bez śladu. Uznano go za zaginionego.

Nawiedzają mnie wciąż jeszcze moje koszmarne sny. Mężczyzna z nożem. I nikt nie uwolni mnie już do końca moich dni od obawy, że sataniści mnie odnajdą. Również sam muszę uporać się ze świadomością, że nigdy nie będę mógł prowadzić "normalnego" życia. Mam dzisiaj dwadzieścia jeden lat i unikam zarówno dyskotek, jak i innych imprez, na których należy się liczyć z tłumem. Nie mogę iść na pływalnię, gdyż moje ciało usiane jest bliznami. Kazałem sobie wprawdzie usunąć tatuaż, który napiętnował mnie, jako satanistę, ale sama blizna może mnie zdradzić przed znawcą subkultur. W skrytce samochodu zawsze trzymam nóż. Nigdy bez noża w kieszeni nie wychodzę na ulicę. Nie po to, żeby kogoś zabić, ale żeby popełnić samobójstwo, gdyby odnaleźli mnie oprawcy.

W czasie snu często wpadam w trans. Nikt nie jest w stanie mnie z niego wyprowadzić i nikomu nie udaje się mnie wtedy obudzić. Rzucam się jak

oszały, podczas gdy moja twarz zamienia się w bladą maskę. Mam na wpół otwarte oczy i mamrocę łacińskie formułki. Nigdy nie uczyłem się łaciny. Czasem wstając w transie i chcę wyskoczyć przez okno. Jak do tej pory Petrze udało się każdorazowo temu zapobiec. Podczas takich nocy Petra śpi na podłodze obok naszego łóżka, żebym nie zrobił jej krzywdy. Następnego ranka niczego nie mogę sobie przypomnieć. Zdarzają mi się także do dziś czarne dziury w pamięci. Jest to dla mnie szczególnie przykre. Wiem o tym, ponieważ zdarzyło mi się to często w towarzystwie przyjaciół.

Jednak najgorsze jest poczucie winy. Unieszczęśliwiłem zbyt wielu ludzi, nad zbyt wieloma znęcałem się i źle ich traktowałem. Moja wina pozostanie, i nic nie mogę na to poradzić. I będzie mnie niszczyć i dręczyć - tak jak to wówczas zapowiedział amerykański kapłan: aż do śmierci będziesz nieskończenie nieszczęśliwy".

## **POSŁOWIE**

**Od Marites, która zajmowała się Łukaszem podczas odchodzenia od sekty**

**Czy miała pani kochającą matkę?** – To istotne pytanie Łukasza dobrze zapamiętałam.

Po raz pierwszy siedzimy naprzeciwko siebie, Łukasz w towarzystwie swojego opiekuna i ja. Obok kilku wyjąkanych słów i strzępów nic nie mówiących zdań, jest to pierwsza konkretna wypowiedź, którą mi rzuca, niejako tłumacząc w ten sposób cały świat.

Wydaje mi się, że to zdanie wyraża całe jego zwątpienie i rezygnację. Czy ma to znaczyć - mnie i tak nikt nie może pomóc, dla mnie już od początku wszystko źle się potoczyło moje rany nie dadzą się uleczyć? No, bo kto w jego życiu rzeczywiście jest w stanie wynagrodzić mu brak kochającej matki? A może chce w ten sposób udowodnić mi - ty w żadnym razie nie możesz mnie zrozumieć, miałaś z pewnością matkę, która cię kochała. Czy jest to odruch samoobrony, żeby tylko z różnych powodów nie musieć się "odstąpić"?

W tej wypowiedzi znalazłam wyraźną wskazówkę, że Łukasz stawia sobie właśnie pytanie - "dlaczego", próbując określić swoją winę. Łukasz nie zgłosił się z własnej woli do naszego zakładu. Psycholog z internatu, któremu podlegała wspólnota mieszkaniowa Łukasza, zadzwonił do mnie dzień wcześniej z informacją, że pewien młody człowiek podjął próbę samobójczą. Znalazł go w łóżku wychowawca, zlanego krwią. Chłopiec potłukł szkło wyjęte z ram obrazów, rozsypał odłamki w łóżku i tarzał się po nich. Zadzwoniono po lekarza i policję, jednak musieli odejść, nic nie osiągnąwszy. Było niemożliwością

zawieźć chłopca do szpitala. Stwierdziłam, że Łukasz, bo o niego właśnie chodziło, jest wyznawcą szatana.

Umówiliśmy się, że zaraz następnego dnia przeprowadzę rozmowę z Łukaszem. Dzięki długoletniemu doświadczeniu z satanistami, wiedzieliśmy, że nie można zwlekać z udzieleniem pomocy. Po pierwsze, wpaja się satanistom, już od pierwszego spotkania z sektą, że w razie odejścia stanie się coś strasznego. Z reguły jednoznacznie oznacza to śmierć. Podczas obrzędów kultowych wyznawcy są często świadkami, w jak brutalny sposób traktuje się zdrajców. Po drugie, oczekują oni kary szatana. Tak więc, czy powoduje nimi strach przed sektą, czy też przed szatanem, najmniejsza zwłoka w udzieleniu pomocy grozi niebezpieczeństwem. Łukasz próbował odebrać sobie życie.

Chłopiec został odstawiony do nas pod same drzwi przez swojego opiekuna. Miał na sobie jasne ubranie, co jest niezwykle dla satanistów, którzy z reguły ubierają się na czarno od stóp do głów. Nie spojrzał na mnie witając się, podczas rozmowy siedział skulony na kanapie i patrzył tępo w podłogę. W jego twarzy nie było życia. Jeśli coś mówił, były to tylko pojedyncze słowa: - Przyjdą po..... Dawał do zrozumienia, że chciał odebrać sobie życie, ponieważ niemożliwe jest odejście od sekty. A satanista musi godnie umrzeć dla szatana, a więc w mękach... Dlatego te odłamki szkła.

Usiłowaliśmy z opiekunem Łukasza, i o ile było to możliwe z nim samym, podjąć najpierw środki zapewniające mu bezpieczeństwo. Szybko został przeniesiony do innej wspólnoty mieszkaniowej. Współmieszkańcy i opiekun mieli go ochraniać. Umówiliśmy się na regularne, ustalane z krótkim wyprzedzeniem rozmowy.

Kiedy, żegnając się przy drzwiach, Łukasz podniósł wzrok z podłogi i spojrzał na mnie przez krótki moment, wiedziałam, że spotkanie odniosło jakiś skutek. Prowadziliśmy później rozmowy zarówno w naszej poradni, jak i w mieszkaniu u Łukasza. Nie było jednak żadnych widocznych postępów.

Naprawdę największą przeszkodą wydawało mi się nastawienie Łukasza. Nikt mi nie może pomóc, nikt nie zrozumie tak wiele zła, ile ja przeżyłem. Blokował wszelkie próby podjęcia kontaktu, swoim głęboko nieufnym podejściem: wszyscy chcą mi zaszkodzić, wszyscy są przeciwko mnie. W rozmowach pojawiały się właściwie tylko dwa tematy - skarga na satanistów, wychowawców, internat, taką sytuację i podobne sprawy, i oczywiście strach przed tym, że sekta przyjdzie po niego. Jak to się stanie, wiedział dokładnie.

Jeśli ktoś opuszcza sektę satanistyczną, istotne jest natychmiastowe umieszczenie go w możliwie dużej od niej odległości. Łukasz sprzeciwiał się energicznie takiemu pomysłowi, ponieważ w żadnym razie nie chciał przerywać

nauki. Wydawało mi się, że jest to ogromnie ważny punkt, który, o ile to możliwe, nie powinien być zagrożony. Zakończenie nauki było dla niego absolutnym celem, i myślał już nawet o specjalizacji w swoim zawodzie.

Tak więc mogliśmy go chronić tylko dzięki pomocy jego otoczenia. Upraszczając sytuację, życie Łukasza przypominało życie więźnia. Zarówno zewnętrznie - nie mógł się swobodnie poruszać, jak i psychicznie - był w niewoli strachu.

Próbował pozbyć się koszmarów nocnych, z całych sił powstrzymując się od snu. Siedział nocami na łóżku, ze słuchawkami od walkmana na uszach i znieczulał się alkoholem. W tym czasie nasz zakład zaplanował weekendowe spotkanie dla opuszczających sekty i zgrupowania kultowe. Na moje zaproszenie do udziału Łukasz zareagował kategoryczną odmową. Chciałam go przynajmniej na dwa dni wyciągnąć z jego "bagna" i miałam nadzieję, że spotkanie z ludźmi, którzy przeżyli równie silną fazę uzależnienia jak on, pomoże mu znaleźć sposób na przezwycięzenie problemu. Nie zwracałam uwagi na jego "nie" i powiedziałam mu, kiedy po niego przyjadę..., i zdarzył się pierwszy cud - czekał na mnie z torbą.

Ten weekend stanowił dla Łukasza przełom. W poniedziałek z radością mogłam poinformować moich współpracowników, że Łukasz otworzył się. Otworzył się psychicznie - zaczął mówić, i zewnętrznie zaczął się poruszać. Zniknął jakiś nieobecny sposób jego bycia, twarz stała się otwarta. Był w stanie się śmiać, żartować, flirtować z dziewczynami... W czasie sesji ze zrozumieniem zajmował się sytuacją i potrzebami innych.

Moja cała nadzieja, że terapia teraz wreszcie pójdzie naprzód, spełzła początkowo na niczym. W domu, w znanym otoczeniu powrócił do starego stylu bycia. Agresja na zewnątrz, z dnia na dzień rosnący lęk wewnątrz. Często dzwonił do mnie w panice, także w nocy, kiedy widział na dworze cienie oprawców. Słyszał odgłosy i poczynił obserwacje, które stanowiły dla niego dowód - teraz mnie zabiorą. Próbowałam uspokoić go telefonicznie, dzwoniłam na policję, informowałam dyżurnych wychowawców. Także i jego współmieszkańcy dzwoniли do mnie, kiedy nie mogli sobie z nim dać rady. Istniała obawa, że Łukasz w panicznym lęku nie rozpozna rzeczywistości i weźmie swoich współlokatorów za oprawców. W nocy zawsze miał przywiązany do ręki nóż, żeby być w każdym momencie gotowym do obrony. W każdej chwili mogło dojść do morderstwa.

Stało się dla mnie jasne, że Łukasz musi się dostać na oddział zamknięty szpitala psychiatrycznego. Tylko tam nie będzie prześladowany, odpręży się i uspokoi. Wraz z jego wychowawcami pracowaliśmy nad tym ciężko, żeby go przekonać. Po wielogodzinnych rozmowach, ordynator szpitala, który już nieraz



pomógł mi w krytycznych sytuacjach z pacjentami, zgodził się przyjąć Łukasza na oddział psychiatryczny.

Nasze rozmowy, w porozumieniu z lekarzami, mogą się dalej odbywać podczas jego stacjonarnego pobytu w szpitalu. Z upływem czasu dowiadaliśmy się kawałek po kawałku o pobycie w sekcie. Teraz najważniejsze było to, żeby jakoś "przerobić" te przeżycia. Do tego dochodziły zmartwienia, jakie sprawiało Łukaszowi jego zachowanie, którego nauczył się w okresie kultu szatana, tak jak na przykład brutalność. Nie chcąc tego, stawał się coraz bardziej niedelikatny. Znęcał się psychicznie i fizycznie nawet nad ludźmi, których lubił. W końcu latami uczył się, że miłość należy zamienić w nienawiść.

**A Łukasz dziś?** Stał się świadomym swojej wartości młodym człowiekiem. Zrozumiał, że życie, jeśli się je tylko weźmie we własne ręce, może się udać, mimo niesprzyjających warunków i wielu trudnych do pokonania przeszkód. Zdaje sobie sprawę, że proces radzenia sobie z przeżyciami jeszcze się nie skończył. Wie też jednak, że ma "dobre podstawy" i duży zasób sił, który może rozwinąć. Odwiedza mnie od czasu do czasu i opowiada o swojej pracy, planach, dziewczynie, wakacjach... Coraz rzadziej prosi o rozmowę. Ale czasami ja muszę go prosić o szybkie przyjście. Mianowicie wtedy, gdy znów zjawia się u mnie ktoś, kto nie wierzy, że odejście od kultu jest możliwe. Łukasz staje się wtedy bardzo dobrze wszystko rozumiejącym "współterapeutą". Tylko on, czego ja nigdy nie będę mogła, może udowodnić - mnie się udało, ty też sobie poradzisz.

## **OSTRZEŻENIE DLA MOICH BYŁYCH BRACI**

Dla mojego bezpieczeństwa notarialnie zabezpieczyłem w kilku miejscach wszystkie znane mi nazwiska osób żyjących i zmarłych, jak i nazwy miejscowości. Gdyby mi, moim bliskim lub przyjacielom stało się coś, co wyglądałoby na zemstę satanistów, notariusz jest zobowiązany otworzyć koperty i rozpocząć odpowiednie dochodzenie.

## **ZAKOŃCZENIE**

Kończąc tą smutną historię młodego człowieka należy wygłosić zdanie; **PIĘKNO I SACRUM ISTNIEJĄ OD POCZĄTKU ŚWIATA I ZAKORZENIONE SĄ W STWÓRCY, O KTÓRYM ŁUKASZ ZAPOMNIAŁ.** Towarzyszy ono każdemu człowiekowi od powołania go do życia przez Boga, na Jego obraz i podobieństwo. Dziś człowiek podobnie jak Łukasz sam siebie obdziera z tego piękna wybierając Szatana: wydaje mu się, że jest szczęśliwy, ale tak naprawdę karłowacieje i sam siebie rani; zamyka się sam w sobie. Jeśli nie będzie próbował powrócić do sfery świętości Bożej, jaką może znaleźć szczególnie w liturgii Kościoła, to umrze - duchowo się uduśi.